

„ORZEŁ BIAŁY”
(White Eagle)
(L'Aigle Blanc)

Avril 1968

Cena 3/6
\$ 0.50; 2.50 F.



SYRENA

ORZEŁ BIAŁY

KWIECIEŃ
1968

Nr 45/1192

Polska walcząca o wolność

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM WSPÓŁCZESNYM



Z.T.

FP 2156

W NUMERZE :

<i>J. Poniatowski:</i> Polska „apolityczna“ młodzież	1
<i>W. Cichy:</i> O pamięć dla ofiar Katynia	3
<i>F. Goldschlag:</i> Czapkę wicher niesie...	5
<i>T. Podgórski:</i> Styczniowa panika	6
<i>W. Opolski:</i> W Komekonie bez zmian	8
<i>A. Stambrowski:</i> Przemiany i ewolucje	10
Bezprawie sowieckie na Ukrainie	13
<i>Wiślan:</i> Kraj kontrastów	13
<i>M. Tomkiewicz:</i> Tam się też żyło	14
<i>Kage:</i> Kronika wojskowa	17
<i>Z. L. Zaleski:</i> Moja działalność w czasie drugiej wojny światowej	19
<i>J. Pększyc:</i> Drzewiej	20
<i>Z. Grabowski:</i> Spowiedź poety	22
<i>L. Bojczuk:</i> Sienkiewicz żywy	23
<i>K. Evans:</i> Romeo i Julia à la Polonaise	24
<i>H. Jankowska:</i> Stulecie urodzin Or-Ota	25
<i>M. Wilczewska:</i> Z Kazachstanu do domu	26
<i>W. Strzałkowski:</i> Melodie zmierzchu	28
<i>S. Legeżyński:</i> Dzisiaj w Londynie	28
Ankieta „Kultury“	28
<i>W. Netter:</i> Oktawa Jedności Chrześcijan w Anglii	29
Z życia polskiego	30
<i>S. Kleczkowski:</i> Pamiątki polskie w Londynie i w Lunerville	32
<i>J. Ostr.:</i> Notatnik kulturalny	33
<i>J. Ostrowski:</i> „Gałązka rozmarynu“ po 54 latach	34
<i>Dr Michał:</i> Starzy, młodzi, dzieci	35
<i>Z. Wolmuntowa:</i> Brain Washing	36
Śp. Jan Jaxa-Axentowicz (Gielgud)	38
<i>W. Stefański:</i> Słoneczko	39



CZYTELNIKOM
„ORŁA
BIAŁEGO“
WESOŁEGO
ALLELUJA
życzy
REDAKCJA

LISTY DO REDAKCJI

JERZY IWANOW-SZAJNOWICZ
NIE ZAPOMNIANY

Szanowny Panie Redaktorze,

W związku z listem p. Jerzego Piątkowskiego z Sao Paulo w marcowym numerze „O.B.“ chciałbym poinformować, że śp. Jerzy Iwanow-Szajnowicz nie jest „zapomnianym bohaterem“. Wśród jego kolegów z Samodzielnej Brygady Strzelców Karpackich pamięć o nim i jego czynach trwa. W piśmie Tobrukczyków „Ku Wolnej Polsce“, ukazującym się w Londynie, pisano o nim kilkakrotnie, ostatnio w roku 1965 w numerze 61-64, Bogdan Znowski ogłosił dłuższy artykuł (str. 180—189) „Jerzy Iwanow-Szajnowicz, heroiczny żołnierz podziemia“. Posiadamy zbiór książek i artykułów, jakie o nim napisano, łącznie z artykułami (licznymi) p. Piątkowskiego. Z matką śp. Szanowicza, dzielną p. Leonardą Lambrianides jesteśmy, oczywiście, w kontakcie.

Łączę wyrazy poważania

M. R. Młotek
Londyn

„CYWIL“ PIŁSUDSKI

Szanowny Panie Redaktorze,

Czekałem długo, że ktoś bardziej kompetentny zechce sprostować dziwne wypowiedzi o Marszałku Piłsudskim p. A. Stambrowskiego w jego kontrowersyjnym artykule „Rządy pułkowników“ („O.B.“ nr 39/1186). Ponieważ nikt nie zabrał głosu proszę o przyjęcie moich uwag.

Twierdzenie, że „Marszałek Piłsudski nigdy z ducha i z usposobienia nie był wojskowym, lecz stuprocentowym cywilem“ jest chyba jednym z większych nieporozumień w stosunku do tego, który dzierżył tak słusznie tytuł Pierwszego Żołnierza Polski Odrodzonej. Dziwna to opinia o

człowieku, który wzrósł w atmosferze walki, w atmosferze walki całe swoje życie działał, do tej walki przysposabiał siebie i innych. Marszałek często mówił o sobie jako o żołnierzu i miał niewątpliwie prawo pod każdym względem tak o sobie mówić. Nie wiem również co uprawnia p. Stambrowskiego do wypowiedzi, że „sposób mówienia, myślenia i bycia zdradzały głęboko zakorzenionego w nim (Piłsudskim) cywila“. Czyżby p. Stambrowski znał tak dobrze Piłsudskiego, przebywał i rozmawiał z nim tak często, że może stawiać tak kateryczne twierdzenia? Autor chyba nie czytał nic z pism Piłsudskiego, żadnego z jego naprawdę sławnych i robiących głębokie wrażenie rozkazów.

Dziwny jest stosunek p. Stambrowskiego do stopni wojskowych Józefa Piłsudskiego, które uważa najwidoczniej za najważniejszy wykładnik żołnierskości. Piłsudski był rzadkim raczej wyjątkiem nie zaznaczającym organizacji oddziałów Strzelca, ani nie wykorzystującym momentu wyjścia z nimi na wojnę w 1914 roku, ani historycznej chwili objęcia stanowiska Naczelnego Wodza w odrodzonej Polsce w 1918 roku, od nadania sobie wysokiego stopnia wojskowego. Uważał to za rzecz zupełnie drugorzędną. Stopnia wojskowego nadanego mu przez władze austriackie nie używał, ze względów zrozumiałych. Pisząc o stopniu marszałkowskim Józefa Piłsudskiego p. Stambrowski obraca się w sferze zupełnej fantazji. Rzekoma chęć Francuzów nadania Piłsudskiemu godności Marszałka Francji jest wynalazkiem p. Stambrowskiego. Przypuszczenie, że dopiero ten rzekomy zamiar francuski miał skłonić Piłsudskiego do

(Dokończenie na przedostatniej stronie okładki)

POLSKA „APOLITYCZNA” MŁODZIEŻ

Manifestacje młodzieży akademickiej w Polsce wstrząsnęły umysłami narodu w kraju jak i na obczyźnie. Wywołały spore i na ogół przyjazne echo wśród obcych. Nie znamy dalszego ciągu, a i obraz wydarzeń dotychczasowych nie jest pełny. Brak dotąd zgodnego sądu o właściwych przyczynach tego co zaszło. Tylko prasa reżymowa głosi jednomyślnie swą nakazaną wersję. Jej zdaniem „chuligańskie awantury” inspirowali sjonisiści, w sojuszu ze „złotą młodzieżą”, „kołami reakcyjnymi” i mętami społecznymi, w interesie światowego imperializmu. Nie ma obawy, by ktoś zdrowy na umyśle szczerze tę brednię przyjął, ale młodzież poczuła się obrażoną i wstawiła do swych postulatów odwołanie tych kłamstw przez prasę. Paliła też na ulicach egzemplarze tej prasy.

Nie wszystkim mieści się w głowie, aby nasza „apolityczna”, dbała o spokojną przyszłość młodzież ruszyła do masowych demonstracji bez przygotowania i jakiejś organizacji. Czyje? tu domysły się gubią.

W 1956 r. w Polsce i na Węgrzech, później w Rumunii i ostatnio w Czechosłowacji odegrały rolę grupy czynne wewnątrz partii, pragnące zmian. Dziś w PRL są w partii gierki o władzę, ale żaden miarodajny dygnitarz nie wysuwał hasła wolności, ani innych haseł widniejących na transparentach niesionych przez młodzież. Propaganda „mijałowców” wyraźnie zwalcza reżym, ale w imię — przywrócenia stalinizmu.

Wpływy obce? Może niektóre koła niemieckie marzyłyby o rozruchach w Polsce, ale jakież wpływy mogłyby wyrzucić na naszą młodzież? Anglosasi i Francja pragną uniknąć wszystkiego, co może zaognić stosunki z Rosją, a np. londyński „Observer” nie tai uczucia strachu. Więc kto?

Przypomnijmy niedawną przeszłość.

Po latach terroru i więziennej martwoty lata 1956 i 1957 to dla młodzieży polskiej okres zwycięskiego zrywu, głębokich przeżyć, wzbudzonych nadziei. Na łamanie obietnic studenci reagowali w jesieni 1957 roku burzliwie ale już bezskutecznie. Bezpiekę odbudowano, partia na no-

wo okrzepla. Gomułka wyznaczył linię wiodącą wstecz, ale łagodnie. Społeczeństwo cieszyło się jeszcze poprawą po tragicznym „okresie minionym”. Także sytuacja na wyższych uczelniach była dużo lepsza. Eksplozja kulturalna dawała możliwości wyżycia się jednostek twórczych.

Młodzież wyciągnęła konsekwencje. Przystosowała się. Wzięła się do nauki, do zapewnienia sobie warunków bytu. Otoczyła pogardą donkiszoterię, romantyczny frazes. Realnie wyglądały tylko cele minimalne, o niedługiej fali. Na świat szły wieści, że młodzież jest bezideowa, kieruje się oportunistycznym. Aliści te same zarzuty stawiają jej w kraju komuniści. Można stąd co najmniej wnosić, że ów oportunizm nie posunął się daleko, albo nie objął zbyt wielu. Bo w interesie własnym każdego leżałoby angażowanie się w „budowę socjalizmu”, okazywanie zapału.

To prawda, że Związek Młodzieży Socjalistycznej, Związek Młodzieży Wiejskiej, upartyjnione od góry harcerstwo — pęczniały dość szybko. Ale stałym zmartwieniem ich władz jest brak aktywności członków. Przynależność do związku traktują z cynizmem jako formalność potrzebną w tym ustroju, bez głębszej treści.

Ta postawa ograniczonych zainteresowań była znośna, zanim atmosfera życia zbiorowego stała się nieznośna. Stopniowa likwidacja pism, które dopuszczały śmielsze głosy nielicznych możliwości publicznej dyskusji, zaostrzenie cenzury, brak informacji, łamanie praworządności, stosowanie osławionego Małego Kodeksu Karnego tworzyły atmosferę duszną, bez wszelkiej wentylacji. Obojętność przemieniała się w niezadowolenie. Młodzież silnie odczuła wędnięcie świeżo rozkwitłej twórczości kulturalnej, represje przeciw pisarzom i uczynom.

Represje te są chyba wyrazem niepokoju, który ogarnia partię. Na „ideologicznym” XIII plenum Komitetu Centralnego PZPR w połowie 1963 roku Gomułka gromi już nie tyle bierność, ile tolerancję dla po-

glądów, które przypisuje, jak zwykle, „wrogom” prowadzącym „antysocjalistyczną i antypolską kampanię”. Zapowiada, że partia „nie dopuści i nie będzie dopuszczać treści wrogich socjalizmowi”. Gorszy się, że niektórzy uczeni radzi by odpolitycznić nauki społeczne w imię obiektywizmu. Występuje „przeciwko krytyce destrukcyjnej, przeciwko krytyce złośliwej, jadowitej, z którą spotykamy się np. w działalności estradowo-kabaretowej”. — Strach przed prawdą i strach przed śmiechem skłaniają partię do przywrócenia metod policyjnych.

Te metody zdołały w sporym stopniu upolitycznić młodzież, chociaż nie w kierunku pożądanym przez partię. Aresztowanie Karola Modzelewskiego i Jacka Kuronia, sąd nad nimi w lipcu 1965 roku i drakońskie kary, to kamienie milowe na tej drodze. Młodzież poczuła się dotknięta bezpośrednio. Jawnie się solidaryzowała ze skazanymi przed gmachem sądu i później. Domagała się wyjaśnień na zebraniach ZMS i komórek partyjnych. Rewizje, śledztwa i aresztowania, które nastąpiły potem, dołwały oliwy do ognia. Dalszy kamień milowy, to zebranie ZMS na Uniwersytecie Warszawskim 21. X. 1966 roku, gdzie główne przemówienie wygłosił prof. Leszek Kołakowski, a kilkuset zebranych oklaskiwało zredagowane bardzo spokojnie wnioski, domagające się m.in. zniesienia Małego Kodeksu Karnego i cenzury prewencyjnej. Partia odpowiedziała usunięciem ze swych szeregów prof. Kołakowskiego i nowymi represjami wobec uczestników zebrania, a także wprowadzeniem zmian w postępowaniu dyscyplinarnym wobec studentów. Ich treścią jest tajność rozpraw, brak postępowania dowodowego na rozprawie i pozbawienie obwinionych obrońcy.

Na ogólnopolskiej naradzie ZMS we Wrocławiu, 5 kwietnia 1967 roku Ryszard Strzelecki, członek Biura Politycznego i Sekretariatu KC PZPR, stwierdza, że „Młodzież posiada zainteresowania, reaguje żywo, myśli, dyskutuje, wyraża swoje

(Ciąg dalszy na str. 2)

opinie... Nie powiedział, że idzie na trzy lata do więzienia, jeśli je wyraża szczerze i jawnie. Dodał za to, że wróg na walkę ideologiczną „przeznacza olbrzymie środki finansowe i techniczne“. Podobnie insynuuje Kłiszko na VIII plenum KC w maju ub. roku.

Zagranicy nie można tu pominąć, ale zwłaszcza tej „bratniej“. I tam nie jest wesoło, do demokracji daleko, ale prawie we wszystkich „demokracjach ludowych“ coś dodatniego się dzieje. W NRD jest imponujący rozwój gospodarczy. Na Węgrzech łagodniejszy, ale spory postęp, nadzieje reform gospodarczych, znaczne zmniejszenie strachu, więcej wolności. W Rumunii brak swobód, ale jakąś satysfakcję społeczeństwu daje uniezależnienie polityki zagranicznej i gospodarczej, a rosnące stosunki z Zachodem budzą nadzieję, że i jakieś rozluźnienie wewnątrz kraju nadejdzie. PRL jest jedynym bodaj krajem, gdzie zarazem uciska wewnątrz wzrasta, gospodarka kuleje, a poważne reformy nie są nawet projektowane. Za to w polityce zagranicznej jest najusłuszniejszym obok NRD wasalem Moskwy i poddaje jej w sposób oczywisty własne interesy, domagając się ściślejszej integracji gospodarczej bloku, wywołując u siebie hecę antysemitką, zrywając stosunki z Izraelem, ponosząc duże ofiary na rzecz Kuby, Wietnamu czy Egiptu. Świadomość tego stanu rzeczy nie jest bez wpływu na ocenę polityki reżymu przez naród, a wrażliwą młodzież w szczególności.

Ten czynnik nabrał szczególnej wagi od początku 1968 roku. To, co się stało w Pradze wywołuje ogromną ciekawość w Warszawie. Usamodzielnienie się Rumunii budziło zazdrość, ale rozumiano, że inne są warunki geopolityczne, mamy te 17 dywizji sowieckich za plecami, widmo Budapesztu wciąż straszy. Ale Czesi są w prawie równie eksponowanym położeniu, co Polska. Gdy zaś z doświadczenia sąsiadów wyciągają wnioski i z góry przyjmują sojusz z Sowietami za podstawę swej polityki, jest oczywiste, że nie prowokują Moskwy, nie zmuszają jej do użycia siły, co przecież byłoby spółce Breżniew-Kosygin diabło nie na rękę.

Nie wiemy jeszcze, co postanowi zwołały na 26 marca Komitet Cen-

tralny partii czechosłowackiej. Obiecywane zniesienie cenzury poza ochroną tajemnic wojskowych byłoby czymś za Żelazną Kurtyną bez precedensu. Oznaczałoby zburzenie jednej z głównych dotąd podstaw ustojów komunistycznych, jaką jest zakłamanie. Ważne też są personalia. Słusznie ostrzega Victor Zorza („The Guardian“, 13 marca), że pozostawienie wielkiej części aparatu nie wyłączając dygnitarzy poprzedniego reżymu, jak to się stało w Polsce, grozi późniejszym cofnięciem reform. Może jednak Dubczek nie okaże się Gomulką.

Lodowate przyjęcie zmian u szczytu partii w Pradze przez Warszawę jest dla interesów Polski szkodliwe, ale odbija szczere uczucia Gomulki. Zarazem wali się hołubiony przezeń trójkąt współpracy Warszawa-Praga-Pankow i słabnie pozycja PZPR wobec społeczeństwa. To ostatnie śledzi wydarzenia u sąsiada z radością i nadzieją, a Gomulka staje się jedynym obok Ulbrichta dyktatorem w środkowej Europie prowadzącym otwartą walkę z własnym narodem. O ile dotąd nie ma w Komitecie Centralnym frakcji reformistycznej, może ona po najbliższym zjeździe partii powstać.

Na tym tle przychodzi konflikt o „Dziady“. Wystawił je Teatr Polski 25 listopada ub.r. i po 12 przedstawieniach zjął z afisza 30 stycznia, na żądanie władz. Motywem były antytyrosyjskie emocje publiczności. Po zakazie i demonstracji w teatrze pochod studentów udał się pod pomnik Mickiewicza, gdzie około 50 zatrzymano i zwolniono.

Opinia pozostawała rozgrzana, tak wśród studentów jak i pisarzy. Pod koniec lutego zaognił ją bardziej wyrok skazujący Janusza Szpotańskiego na 3 lata więzienia za satyryczne dowcipy nigdzie nie drukowane. 29 lutego nadzwyczajny Zjazd Okręgu Warszawskiego Związku Pisarzy zwołany w sprawie zatargu o „Dziady“, odrzucił wniosek komórki partyjnej, a uchwalił inny, żądający wznowienia „Dziadów“, potępiający represję, a co ważniejsze, domagający się ograniczenia cenzury i większej swobody dla pisarzy. Wiadomość o tej uchwale wywołała duże i dodatnie wrażenie wśród studentów.

O południu 8 marca zebrał się na podwórzu Uniwersytetu Warszaw-

skiego wiec studentów o spokojnym przebiegu. Rezolucja uchwalona przez aklamację żądała wznowienia „Dziadów“, zwolnienia i anulowania wydalenia z uczelni studentów Adama Michnika i Henryka Szlaifera. Na podwórze wjechało 6 autobusów wypełnionych bojówkami fabrycznymi i tajniakami. Usiłovali zebranych rozpędzić, niektórych zatrzymali. Tłum wzywał rektora. Pod jego nieobecność ukazał się prorektor Rybicki. Obiecał przyjąć delegację, jeśli młodzież się rozejdzie. Odpowiedziano żądaniem, by najpierw wyniosły się bojówki. Dziekan wydziału ekonomicznego prof. Bobrowski i prof. Herbst z wydz. historii osiągnęli zwolnienie studentów zatrzymanych i odjazd nieproszonych gości. Gdy prof. Bobrowski poprosił studentów, by się rozeszli dla ułatwienia rozmowy z delegatami, podniesiono go na rękach, odśpiewano „Sto lat“ i wołano: „Niech żyje nowy rektor“. W tym właśnie czasie rezerwa specjalna policji, w hełmach i z pałkami zaatakowała młodzież brutalnie. Bernard Margueritte z „Le Monde“ stwierdza, że dziewczęta zwalano na ziemię, bito pałkami i kopano. Poturbowano także prof. Bobrowskiego i Herbst. Wielu rannych w głowy zabrano do szpitala. Według „Trybuny Ludu“ pomocy lekarskiej udzielono 30 uczestnikom zajść i 28 milicjantom i „ormowcom“. Liczby te należy przyjmować z rezerwą, opis bowiem zajść podany w tym piśmie jest w świetle zgodnych relacji obserwatorów zagranicznych kłamliwy.

W następnych dniach miały miejsce zajścia w innych wyższych uczelniach całej Polski, znane Czytelnikom z prasy codziennej. Wspólną cechą jest podkreślana przez świadków wielka brutalność policji, wykazywana nie tylko w walce, czy dla rozproszenia tłumu, ale wobec uciekających, chroniących się po domach i kątach. Szczególną brutalność wykazała policja w Katowicach, gdzie jak stwierdza Margueritte, wyraźnie chodziło o „danie nauczki“ młodzieży. Ta ostatnia zachowywała się z godnością i umiarem, zanim ją zaatakowano. Wtedy padały okrzyki: „Gestapo! Faszyści“. Wołano i pisano: „Nie ma chleba bez wolności!“, „Nie ma nauki bez wolności“, „Demokracja!“, „Konstytucja!“, „Wol-

ność słowa!“, „Chcemy Dziadów!“, „Niech żyją pisarze!“. Nie są to hasła demagogiczne. Ulotki „antypaństwowej“ rzekomo rozdawanej na Uniwersytecie (według „Trybuny Ludu“), jakoś nie pokazano.

Wydaje się oczywiste, że demonstracje nie były przez nikogo inspirowane. Reżym doprowadził do atmosfery, w której stały się nieuniknione. Jeżeli o to właśnie chodziło — mielibyśmy do czynienia z prowokacją. Za taką diagnozą przemawiałyby m.in. sprawa „Diadów“. Nie mogło być dla partii zaskoczeniem, że ustępy antyrosyjskie i skierowane przeciw tyranii wzbudzą entuzjazm. Przecie już w ubiegłych latach wystarczały zawody sportowe, by wywołać głośne ujawnianie uczuć. „Dziady“ mają dla despotyzmu treść wybuchową — świetnie to wykazał w swej satyrze W. Wasiutyński w „Tygodniu Polskim“ z 16 marca br. Niedopuszczenie wystawienia sztuki zrobione zawczasu i dyskretnie, nikogo by w policyjnym państwie nie zdziwiło. Dopuszczenie i potem zakaz, to był oczywisty posiew burzy. Potem nie było żadnej potrzeby drażnienia ludności aresztowaniem niewinnie manifestujących pod pomnikiem Mickiewicza.

Decydujące jednak były zajścia 8 marca. Tu komuś wyraźnie zależało na zaognieniu sytuacji. Prowokacją było zwiezienie bojówek, a potem atak policji właśnie wtedy, gdy zajście było na w pół zlikwidowane. Od tej chwili spokojna manifestacja, zupełnie usprawiedliwiona, nabrała cech dramatu. Dodało mu wagi znęcanie się policji nad bezbronnymi i masowe aresztowania, ponure groźby.

Kłopotliwe milczenie prowodyrów partii ma swoją wymowę.

Trudniej zgadnąć, na co to było potrzebne. Despoci stosują zwykle prowokację dla umocnienia swej władzy. Chodzi o uzasadnienie dla zastosowania terroru, mającego odstraszyć od wszelkiej akcji przeciw władzy. Innym wyjaśnieniem mogłaby być chęć użycia zajść jako podnieci dla demagogii antysemitkiej, którą rzeczywiście partia rozpętała na ogromną skalę. Ten antysemityzm może być z kolei pożądany dla rozładowania niezadowolenia ludności, może także dla dogodzenia Moskwi. Nie można wyłączać i jakichś rozgrywek osobistych, np. między Gomułą a Moczarem, co nie przekreślałoby ich współodpowiedzialności.

Na przewidywania następstw za

wcześniej, gdy jeszcze nie wiemy (piszę 18 marca), co dalsze dni przyniesie mogą. Jeden skutek wskazuje cytowany już wyżej Marguéritte chyba całkiem logicznie: oto po ewentualnym zwycięstwie totalnego państwa nad młodzieżą uniwersytecką, ta ostatnia będzie rozgoryczona, a dzięki temu zachowa na długie lata mocną postawę antyreżimową.

VIII plenum KC poleciło jako ważną metodę „socjalistycznego“ wychowania kult „bohatera pozytywnego“. Należy przyznać, że nasza młodzież usiłuje tu iść za wskazaniami partii: Wybrała sobie już niektórych pozytywnych bohaterów: Kuroń i Modzelewski (ponownie aresztowani), może prof Kołakowski, Nina Karsow lepiej odpowiadają zwłaszcza temu kryterium nonkonformizmu niż np. Kliszko czy Cyrankiewicz.

Mam do dodania do tego, co już znakomicie wyraził Adam Ciołkosz w „Dzienniku Polskim“ z 14 marca: „Jesteśmy z ludnością w kraju solidarni. Nie ośmielamy się udzielać jej rad. Nie oczekujemy od niej rzeczy niemożliwych. Wszystkie nasze myśli i wszystkie nasze uczucia są z tymi, co walczą o Wolność...“ Podobnie jak Autor, nie wątpię w ostateczne zwycięstwo.

WŁADYSŁAW CICHY

O PAMIĘĆ DLA OFIAR KATYNIA

W KWIETNIU mija 28 lat od wymordowania przez władze sowieckie około 15.000 jeńców wojennych, naszych oficerów, podchorążych, podoficerów, szeregowych, policji i osób cywilnych. Miano zbrodni katyńskiej pochodzi od lasku miejscowości Katyń, położonej w pobliżu Smoleńska, w którym — w kwietniu 1943 roku — Niemcy odkryli groby zawierające zwłoki około 4.500 jeńców wojennych, więzionych przez bolszewików w obozie kozielskim. Ale nazwa ta obejmuje również groby dotychczas nie odnalezione, jeńców więzionych w obozach Starobielsk (około 4.000) i Ostaszków (około 6.500). Pamięć o tych ofiarach poległych w służbie ojczyzny jest czczona wśród Polaków rozproszonych po całym świecie, ale nie jest natomiast, przynajmniej oficjalnie, przez rodaków w kraju. Posłuszny rozkazom Moskwy reżim warszawski posunął się do takiego stopnia zakłamania, że — według doniesień prasowych — sąd wojewódzki w Lublinie mógł dopuścić się wydania prowokacyjnego wyroku, w którym skazał dwu studentów

na kary więzienia za to, że w dyskusji przypisywali odpowiedzialność za zbrodnię katyńską Związkowi Sowieckiemu.

Jestem jednym z kruszącej już liczby b. więźniów sowieckich, którzy cudem losu, albo z powodu pomyłki administracji sowieckiej, uniknęli grobu katyńskiego. Jako młody podchorąży zostałem wzięty do niewoli sowieckiej 20-go września 1939 roku z garnizonem Włodzimierza Wołyńskiego. Z miejsca zapoznaliśmy się z podstępny i dwulicowym stanowiskiem władz bolszewickich: sowiecki dowódca wojskowy zapewnił nas, że Związek Sowiecki nie jest w wojnie z Polską i że jesteśmy wolni i możemy wracać do domów. Wszakże po przemaszerowaniu kilku kilometrów w kierunku zachodnim, oddział czołgów sowieckich zawrócił nas na kierunek wschodni i — znaleźliśmy się na historycznym szlaku „na Sybir“.

Do obozu w Kozielsku zostałem przewieziony w pierwszych dniach listopada 1939 roku, po krótkim pobycie w obozie Tietkino na Ukrainie. Obóz mieścił się w kompleksie budynków poklasztornych,

Budynki duże, wśród nich dwie cerkwie, stały na zboczu wzgórza, otoczone wysokim murem, patrząc na pobliskie miasto Kozielsk (250 km na płd.-wschód od Smoleńska). W obozie zastałem innych jeńców, a ponadto transporty kolejowe przywoziły codziennie nowe grupy z różnych stron lub z innych obozów. W połowie listopada ruch ustał. Obóz był wypełniony do ostatniej trzy-piętrowej przycy, które bolszewicy pobudowali w większych budynkach (tzw. blokach), liczne posterunki „bojcow“ rozstawione przy bramach trzymały nieustanną straż, a administracja obozowa zabrała się do przesłuchiwań i ścisłej rejestracji mieszkańców obozu.

Było nas około 4.500 jeńców reprezentujących wszystkie stopnie wojskowe, różne rodzaje broni i służb. Wśród osób cywilnych i oficerów rezerwy była duża liczba ludzi nauki. Nie stanowiliśmy wszakże zwartej grupy. Z punktu widzenia wojskowego byliśmy szczątkami różnych oddziałów, dowództw, a nawet byli indywidualni oficerowie, pod-

(Ciąg dalszy na str. 4)

chorążowie i osoby cywilne. Ale rzadko co zbliża do siebie ludzi bardziej niż wspólna niedola. W krótkim czasie dawne znajomości zostały odnowione i nowe przyjaźnie zadzierżgnięte. Przede wszystkim musieliśmy się otrząsnąć od uderzenia obuchem, jakim była dla nas nieoczekiwana i raptowna klęska wrześniowa. Roztrząsaliśmy i gorączkowo dyskutowaliśmy nad przyczynami naszej porażki. W braku wiarygodnych informacji o wypadkach w Polsce i na Zachodzie Europy oddawaliśmy się różnym złudzeniom. Wierzyliśmy, że nasi zachodni sprzymierzeńcy najpóźniej do Bożego Narodzenia tego samego roku 1939 rozpoczną energiczną ofensywę przeciwko Niemcom i wystarczą jedno uderzenie aliantów, aby machina wojenna Hitlera legła w gruzach. Na nasze opłakane warunki bytowania, na niedostateczne wyżywienie, na zmagające się mrozy i wzrastające choroby nie zwracaliśmy początkowo żadnej uwagi.

Boże Narodzenie przeminęło, a spodziewane uderzenie aliantów nie nastąpiło. Zostaliśmy zmuszeni do zastanowienia się nad naszą rzeczywistością. Bolszewicy zaczęli rozrzucać propagandę w postaci ulotek, filmów, zebrań w tzw. czerwonym kąci. Propaganda ta odniosła minimalny skutek, ale zdawaliśmy sobie sprawę, że jednym z głównych zadań bolszewickich było, re-educować nas i przekształcić na komunistów. Zaczęliśmy sobie uświadamiać, że naszym najważniejszym zadaniem jest wytrwać fizycznie i moralnie. W stosunku do starszych stopniem obowiązywała w dalszym ciągu ścisła dyscyplina wojskowa: byliśmy w dalszym ciągu żołnierzami R.P.

Wczesną wiosną 1940 roku zaczęły się pojawiać pogłoski, że zostaniemy wywiezieni z Kozielska. Nie mieliśmy na to żadnego potwierdzenia, ale bolszewicy obozowi nie zaprzeczali. Obóz był bardzo przepełniony i prymitywne warunki sanitarne nie pozwoliły by nam na przetrwanie do lata. Wreszcie sami bolszewicy zaczęli nadmieniać, że niedługo wyjedziemy. W braku konkretnych informacji pojawiły się różne teorie wyjazdowe. Optymiści wierzyli, że zostaniemy wydani aliantom i zaczęli studiować mapy, doszukując się szlaków podróży przez Węgry, Rumunię itp., inni przepowiadali, że wrócimy do kraju. Kiedy wreszcie 3-go kwietnia 1940 roku bolszewicy wyprowadzili z obozu pierwszy transport, nasze rozgorączkowanie i nadzieje doszły do szczytu. Nikt z nas wtedy nie przypuszczał, że ten pierwszy transport, który obejmował zarówno oficerów różnych stopni, jak i podchorążych, otworzył jedną z najbardziej tragicznych kart naszych dziejów.

Od tego dnia, prawie codziennie, opuszczają obóz grupy jeńców, żegnane w nadziei powrotu do kraju, lub wyjazd

na Bliski Wschód do podjęcia walki. Jakie było rzeczywiste przeznaczenie transportów, albo jaka była podstawa selekcji jeńców — na to nie było żadnej odpowiedzi. Ani stopnie wojskowe, wiek, pochodzenie z Polski — nie dawały żadnego wyjaśnienia.

26-go kwietnia wartownik wyczytał moje nazwisko. Wreszcie wyjaśni się tajemnica. Było nas 107. Otrzymaliśmy suchy prowiant składający się z chleba, śledzia, suchej herbaty i cukru. Najstarsi w naszej grupie — gen. Wołkowiński i płk. Bolesławicz. W budynku wartowniczym bolszewicy przeprowadzili ścisłą rewizję osobistą, odbierając wszelkie ostre przedmioty. Za bramą zaprowadzili nas na samochody ciężarowe. Podjeżdżamy do boczny kolejowej, patrząc, przed nami wagony więzienne szczelnie okratowane. Ścisnęło mi się serce: zostaliśmy zdegradowani do roli pospolitych przestępców, dotychczas bowiem pokonując olbrzymie odległości na kolejach sowieckich, korzystaliśmy z luksusu wagonów bydłowych.

Wartownicy stoczyli nas w przedziałach i szczelnie zamknęli drzwi łańcuchami. Jako najmłodszy stopniem ulokowałem się na najwyższej półce na bagaż i stamtąd obserwowałem otoczenie. Zauważyliśmy, że na ścianach i suficie przedziału były napisy polskie dzielnie wykonane. Nie było w tym nic dziwnego. Wiedzieliśmy, że koleje przewoziły tysiące naszych żołnierzy. Staraliśmy się doszukać wieści od naszych poprzedników, ale napisy w rodzaju „jedziemy na zachód“, albo „wysiadamy na stacji Gniazdowo“ nie nam wtedy nie mówiły. Po dwu dniach podróży pociąg zatrzymał się na stacji Babynino. Ppłk. Mar-Meyer krzyknął z sąsiedniego przedziału: „Jedziemy do obozu Pawliszczew Bór“. I rzeczywiście. Po paru godzinnym przejeździe ciężarówkami znaleźliśmy się w obozie Pawliszczew Bór.

W ciągu kilku dni dołączyły do nas grupy jeńców ze Starobielska (m.in. Józef Czapski i ppłk. Berling), z Ostaszkowa (głównie szeregowi i oficerowie policji), oraz dwie dalsze grupy z naszego Kozielska. Ogółem liczba nasza doszła do ok. 390 jeńców. Od kolegów ze Starobielska i Ostaszkowa dowiedzieliśmy się, że ich warunki obozowe były podobne do naszych, i że rozładowanie ich obozów odbyło się analogicznie do rozładowania Kozielska. Byliśmy wtedy przekonani, że pozostałe transporty zostały skierowane do podobnych mniejszych obozów i poczytywaliśmy to bolszewikom za dobre, że zamienili na lepsze warunki naszej niewoli.

Po kilku tygodniach pobytu w Pawliszczew Bór przewieziono nas do Griażowca, położonego 500 km na północ od Moskwy, na linii kolejowej do Archangielska. Wyjazd był zapowiedziany przez bolszewików bez osłony tajemnicy,

jaką otaczali rozładowanie Kozielska. W czasie transportu kolejowego doszła nas wiadomość o upadku Francji. W porównaniu z Kozielskiem warunki były bardziej znośne. Wszakże nacisk propagandy bolszewickiej uległ znacznemu nasileniu. Skromna liczba jeńców poszła na przynętę obietnic bolszewickich, a kilkunastu oficerów, przeważnie wyższych stopni z Berlingiem na czele, opowiedziało się za jawną współpracą z sowietami. Zostali oni wkrótce wywiezieni do tzw. dacz, albo willi szczęścia, pod Moskwą, o czym dowiedzieliśmy się znacznie później. Staraliśmy się wypełnić czas dyskusjami, odczytami, czytaniem książek, ale głównie śledziliśmy wypadki wojenne i polityczne. Otrzymywaliśmy prasę sowiecką i mogliśmy słuchać radia, ale tylko sowieckich stacji. Zdawaliśmy sobie sprawę, że jedynie przychylny rozwój działań wojennych może nas wyswobodzić.

Chwila wolności nadeszła z wybuchem wojny niemiecko-sowieckiej, 22-go czerwca 1941 roku. Na podstawie układu rządu gen. Sikorskiego ze Związkiem Sowieckim staliśmy się wolnymi. W sierpniu tego roku odwiedził nas gen. Anders, świeżo zwolniony z Łubianki, jako dowódca mających się tworzyć Polskich Sił Zbrojnych w ZSSR, a we wrześniu byliśmy już w obozach wojska polskiego Tockoje, Tatiszczewo, czy w dowództwie w Buzułuku.

O losie naszych pozostałych kolegów z Kozielska, Starobielska i Ostaszkowa nie mieliśmy w tym czasie żadnych wiadomości. Nie było po nich absolutnie żadnego śladu. Do obozów wojskowych ściągali Polacy z najdalszych zakątków Związku Sowieckiego, a specjalne biuro informacyjne z J. Czapskim na czele przesiewało wszelkie informacje i szczegółowo badało ruchy wysiedleńców i skazanych do obozów pracy przymusowej, jednakże nikt nie umiał podać żadnych informacji. Oficjalne interwencje w Moskwie nie dały żadnych rezultatów. Wszelkie wiadomości od nich urywały się na korespondencji do Polski z marca—kwietnia 1940 roku. Dopiero w półtora roku później, kiedy armia nasza kontynuowała szkolenie na Środkowym Wschodzie, znaleźliśmy potwierdzenie tragicznego zaginięcia naszych kolegów z komunikatu radia niemieckiego, o odkryciu grobów Katynia.

Istnieją dzisiaj obszernie materiały dowodowe na stwierdzenie miejsca i okoliczności mordu jeńców obozu kozielskiego. Nie ulega wątpliwości, że w podobny sposób zostali straceni pozostali jeńcy Starobielska i Ostaszkowa, aczkolwiek nie odnaleziono miejsca kaźni. Za zbrodnię Katynia sprawcy nie zostali pociągnięci do odpowiedzialności i tej sprawiedliwości dla ofiar Katynia domaga się naród polski.

Władysław Cichy

CZAPKĘ WICHER NIESIE...

Kto z was bez grzechu niech pierwszy rzuci kamień.

(Ewang. św. Jana. VIII. 7.)

W prasie codziennej i tygodniowej pojawiły się w związku z obchodem 100-letniej rocznicy urodzin Józefa Piłsudskiego głosy, omawiające wypadki i odpowiedzialność za nie w okresie dwudziestolecia niepodległości. Wsunąłem też, że ograniczanie się do poszczególnych osób, a nawet partii, jak sanacja i endecja mija się ze sprawiedliwością. Za nasze położenie wewnętrzne i ostateczną katastrofę winię całe społeczeństwo, które z biernością i masochizmem znosiło wszystkie razy, utrwalając w ten sposób aparat rządzący na błędnie obranej drodze.

W dyskusji zabrał głos p. A. Ciołkosz i zapewnił, że w Polsce „nie było masochizmu“, że „prócz sanacji i prócz endecji były w Polsce także inne kierunki polityczne, nieposzlakowane w swych dążeniach demokratycznych i nieugięte w walce o demokrację“, a dalej, że większość społeczeństwa, w szczególności ruch socjalistyczny i ruch ludowy „broniły się przed upokorzeniem i walczyły „z wszystkimi odmianami schorzeń“.

Postawienie tak sprawy może — wydaje mi się — stanowić zachętę do wypowiedzenia się na ten temat. Gdy dwaj ludzie patrzą na tę samą rzecz, to, mimo identycznych obrazów na swych siatkówkach, widzą ją odmiennie dzięki różnicom w strukturze mózgowej. Zdaję sobie z tego sprawę i nie przywdziewam togi oskarżyciela. Pragnę pozostać nieuprzedzonym świadkiem. I jako taki podpisuję się pod sąd p. Ciołkosza, że jeden i drugi ruch, wspomniany przez niego ma trwałą i zasłużoną kartę w historii Polski. Ich wyraźnie jednak rozbieżne drogi wolę śledzić oddzielnie. Aby uniknąć nieporozumienia, zaznaczam, że „ruch ludowy“ łączę z osobą Witosasa. Były w sejmie różne partie, podszycujące się pod nazwy „chłopskie“, ale ich charakter był bardzo

wątpliwy, a czas trwania nieraz efemeryczny.

Przedstawiciele stronnictwa socjalistycznego: Daszyński, który w roku 1929 udaremnił Piłsudskiemu „krwawą łaźnię dla posłów“, niezapomnianej pamięci Niedziałkowski, ofiary sadyzmu brzeskiego: Barlicki, Ciołkosz, Pragier i Lieberman, szczególnie prześladowany za wystąpienie w procesie Czechowicza, zasłużyli się dobrze jako prawdziwi trybuni ludu i wzorowi interpretatorzy demokracji. *Senatores boni viri!* Nawet — *optimi viri!* Ale *senatus* — jakaś szczególna bestia.

W listopadzie roku 1923 robotnicy krakowscy wyszli na ulicę, aby demonstrować przeciw, bądź co bądź, parlamentarnym rządóm Chjeno-Piasta, z największym trudem zmontowanym przez ludowca Witosasa. W przewrocie majowym, zainscenizowanym przez juntę wojskową, rola partii socjalistycznej nie zasługuje na miano demokratycznej lub chlubnej. Że Witos przywódca bratniego „ruchu ludowego“ padł ofiarą przedziwnej kombinacji, świadczy o przedziale, jeśli nie o przepaści, między oboma kierunkami politycznymi. Reakcja na opanowanie ulicy przez „gwardię republikańską miasta Warszawy“ w dniu ślubowania prezydenta Narutowicza nie miała w sobie nic z gniewu ludu lub rewolucyjnej odpowiedzi. Mimo Brześcia, o którym za chwilę, w sejmie zaznaczała się kompromisowość, ustępliwość wobec władzy, unikanie ostrzejszych konfliktów, aż do samozaparcia. Podziwiać jedynie można tę cierpliwość, a nawet pokorę wobec wyraźnego cezaryzmu. „Przy braku tradycji politycznych“, pisze Paweł Hostowiec, „i obojętności ludności instytucje te, (ma na myśli instytucje republikańskie), mogły być zniesione“. Więc nawet tak nieśpieszny obserwator, jak Hostowiec notuje „obojętność ludności“. Gdzie więc była ta „większość narodu“ p. Ciołkosza?

Za najtragiczniejszą postać Polski międzywojennej uważam Witosasa. Gdy się czyta jego pamiętniki, ma się chwilami wrażenie, że pisze czło-

wiek w rozpaczy, kiedy uświadomił sobie, że spadł z obcej planety na niegościnną ziemię. 30 procent ludności, jeszcze w roku 1930, rejestrowano jako analfabetów, wśród nich dużo chłopów. Należało im przede wszystkim wszczepić poczucie przynależności do narodu, rozdmuchać iskierkę tego, co nazywa się patriotyzmem. Już to było syzyfową pracą. „Na pojawienie się chłopów w sejmie patrzono jak na dalszy ciąg bitwy pod Racławicami“, zauważa sucho Hostowiec. Na Witosasa — jak na zbyt ciężki i kłopotliwy chama w butach. Gdzież byli przewodnicy i cierpliwi pedagodzy polskiej wsi? Niestety kler, co podkreśla niejednokrotnie Witos, nie stanął na wysokości zadania. Chłoptwo pozostało na uboczu, polski elitaryzm wyznaczył mu ostatni szczebel na drabinie społecznej, tuż przed Żydem. Rezultat — chłop nienawdził starosty i wszelkiej władzy. „Jeśli ktoś ucieka przed policją, wszystko jedno z jakiego powodu, nikt go nie wyda, każdy mu pomoże się ukryć“ oświadczyli dwaj młodzi wieśniacy, gdy, zbłądziwszy nad Wisłą, pytał Hostowiec o drogę. W roku 1926 podjudzał „Naprzód“: powiesić Witosasa! Jak na wystąpienie socjalistycznego dziennika, bardzo nieortodoksyjne wezwanie. W roku 1937 doszło do strajku zrozpaczonych chłopów, który pociągnął za sobą bolesne straty w ludziach. I wówczas szeptało tylko; żaden ruch nie ujął się za krzywdą. W roku 1938, wstyd pisać, palono cerkwie prawosławne w powiecie chełmskim. Żadna partia polityczna nie protestowała. Frekwencja wyborcza w tym roku była dwukrotna w stosunku do r. 1935, co oznaczało walne zwycięstwo władzy, reprezentowanej już przez Ozon. Gdzież więc, na litość Boga, ślad nieugiętości? Gdzie rezultat walki już nie „z niewinnymi odmianami schorzeń“, ale ze zgorzelą w postaci Falangi, różnych Obozów czy Ozonów?

Uwięzienie posłów w Brześciu było ostatnim gwoździem do trumny vegetującej już tylko demokracji,

(Dokończenie na str. 6)

RUN NA OKIENKA PKO MIARĄ NIEUFNOSCI WOBEC KOMUNISTÓW

Mamy jeden dowód więcej, że społeczeństwo w kraju nie dało się przekonać o stabilizacji polityczno-gospodarczej systemu komunistycznego. Wyrazem tego była styczniowa panika na rynku pieniężnym.

Musiały to nawet przyznać same władze komunistyczne. Wiemy bowiem z prasy krajowej, że przez cały styczeń krążyły w Polsce „upor-

ich proces — niegodną farsą. Leaderzy obu ruchów, Witos i Lieberman, schronili się za granicę, w ucieczce przed mściwą ręką „praworządności“. Ich wierni paladyni w sejmie i partii pogodzili się z losem. Protesty brzmiały nieśmiało. Partia Witosowa rozpadała się zresztą wyraźnie. Było w niej za dużo oportunistów i kombinatorów, pasożytujących na licznie poważnej grupie parlamentarnej. Witos nie ufał im i gardził nimi. Radykalizm chłopski, gdy trzeba było nim straszyć, reprezentował Sanojca, najgorszy sprzedawczyk i renegat. Przechodził z jednego stronnictwa chłopskiego do drugiego aż wylądował jako najmita i bravo w B.B.W.R. Klęska i degradacja sejmu, a dezorientacja biernego społeczeństwa była zupełna. Nie grzmiał z trybuny żaden Skarga, nie rozdzierał szat żaden Rejtan. Mam więc prawo mówić o bierności i winie społeczeństwa, reprezentowanego i symbolizowanego przez swych wybrańców.

Przedłożyłem swoje spostrzeżenia i wprost żałuję, że dałem się unieść bolesnym wspomnieniom. Przyświecała mi idea rozciągnięcia kompleksu winy na całe społeczeństwo, jego czynną i bierną stronę. Jeśli p. A. Ciołkosz jest rzecznikiem odmiennej opinii, nie zmienia to mego szacunku dla osoby i zasług prawego obywatela. Oddala jedynie od polityka i każe szukać pociechy u filozofa. A ten zapewnia mnie: Omnes mali sumus. Quidquid itaque in alio reprehenditur, id unusquisque in suo situ inveniet. (Wszyscy jesteśmy źli. Cokolwiek przeto u innych nas razi, każdy z nas może odnaleźć w sobie samym. Seneca był nie najgorszym psychoanalitykiem.

Fryderyk Goldschlag

TADEUSZ PODGÓRSKI

STYCZNIOWA

czywe pogłoski“ o wymianie pieniędzy. W związku z tym nastąpił run na okienka PKO. Jedni obywatele podejmowali w panice skromne oszczędności, aby nabyć za nie co wpadnie pod rękę, drudzy zaś — prawdopodobnie ci, którzy z braku zaufania do władz oszczędności przechowują w domu — wpłacali do banków większe sumy, aby — jak łatwo się domyśleć — zapewnić sobie legalną ich wymianę. Na nic się zdały perswazje propagandy, że pogłoski o wymianie pieniędzy nie mają podstaw. Obawy wobec polityki gospodarczej komunistów okazały się silniejsze niż najbardziej logiczna argumentacja. Nic dziwnego, bo społeczeństwo przekonało się wielokrotnie, że decyzje kierownictwa komunistycznego są najczęściej nielogiczne.

Sytuacja musiała być poważna skoro 22 stycznia br. Radio Warszawa nadało oświadczenie prezesa Narodowego Banku Polskiego, Stanisława Majewskiego, który w imieniu władz powiedział: „Pragnę stanowczo stwierdzić, że wszelkie pogłoski o wymianie pieniędzy są całkowicie bezpodstawne. Nie ma żadnych przesłanek ekonomicznych ani społecznych, ani jakichkolwiek innych do przeprowadzenia wymiany pieniędzy“.

Lecz i to paniki nie powstrzymało. Jeszcze przez dłuższy czas utrzymywała się w społeczeństwie wątpliwość czy władze mimo wszystko czegoś nie knują co obywateli uderzy po kieszeni. Wykupywanie w sklepach artykułów trwałego użytku było masowe, a zapewnienia prasy partyjnej, dementujące pogłoski nikomu nie trafiały do przekonania.

ŹRÓDŁA NIEPOKOJU

W zasadzie można przyjąć, że władze komunistyczne nie mają obecnie żadnego interesu w wymianie pieniędzy. Wolą raczej, aby obywatele oszczędzali, a oszczędzać można tylko taki pieniądz, który jest względnie pewny. Jak zresztą wiadomo, w ostatnich dwóch latach wzrost oszczędności na kontach PKO prze-

kroczył 52 miliardy zł., co na Polskę „Ludową“, gdzie zarobki są niskie, a obawy przed niespodziewanymi zarządzeniami władz duże — trzeba uznać za znaczne. Większość oszczędności stanowiły grosze ciułane z wielkim poświęceniem na mieszkania spółdzielcze, ale jakkolwiek by nie było, faktem jest, że ilość ciułaczy znacznie wzrosła.

Skąd więc wzięła się styczniowa panika?

Przyczyny ustalić nie trudno. Moim zdaniem należy się ich dopatrywać w wypowiedziach i decyzjach przywódców PZPR na listopadowym X plenum KC z końca listopada zeszłego roku. Jak pamiętamy, dyskusja na tym plenum miała trzy kierunki:

Po pierwsze — zarówno Gomułka, jak też Stefan Jędrzychowski, przewodniczący komisji planowania przy radzie ministrów, złożyli groźne oświadczenie, z których wynikało, że w ocenie partii siła nabywczego społeczeństwa jest zbyt duża i zakłóca równowagę rynkową. Przedstawiali cyfry ilustrujące, że na rynku jest nadmiar pieniędzy, a niedobór niektórych pożądaných przez społeczeństwo towarów.

Po drugie — dla ograniczenia zdolności nabywczego społeczeństwa podniesiono drastycznie ceny mięsa, a co za tym idzie, przyzwolono po cichu na podnoszenie cen artykułów przemysłowych codziennego użytku.

Po trzecie — zagrożono obywatelom zaostreniem rygorów finansowych i dyscypliny pracy.

Czy wobec tego można się dziwić, że pociągnięcia tego rodzaju wzbudziły szeroką nieufność społeczeństwa do władz i stworzyły podłoże w którym pogłoski o wymianie pieniędzy łatwo mogły się rozpowszechnić?

PRZYKRE DOŚWIADCZENIE

Stanisław Majewski, prezes Narodowego Banku Polskiego, złożył wprawdzie logicznie brzmiące zaprzeczenie, że te pogłoski są niczym nie uzasadnione — ale kto na podstawie dawnych doświadczeń mógł mu uwierzyć? Przecież doświadcze-

P A N I K A

nie uczy, że o takich sprawach nie decydują w Polsce fachowcy od bankowości, jak nie fachowcy decydują o gospodarce, oświacie, administracji czy czymkolwiek innym. Wszystkie zasadnicze decyzje tego typu zapadają w biurze politycznym KC PZPR bez liczenia się z rzeczywistymi interesami społeczeństwa. Dowodów na to jest aż w nadmiarze. Oto najbardziej rażące błędy z okresu zeszłego roku:

— Biuro polityczne KC lekceważąc rzeczywiste potrzeby społeczeństwa ustaliło niewłaściwe proporcje planu gospodarczego. Zadania przemysłu ciężkiego, profilowane od lat interesami Sowietów, przeciążają nadmiernie możliwości inwestycyjne gospodarki polskiej. Natomiast ignorowanie potrzeb inwestycyjnych przemysłu lekkiego przesądza o złym zapotrzeniu rynku wewnętrznego..

— Biuro polityczne faworyzuje inwestycje pokazowe i marnotrawi na to ogromne środki zdobywane wysiłkiem i wyrzeczeniami całego społeczeństwa, a jednocześnie nie wywiązuje się z wieloletnich obietnic ożywienia zaniedbanych gospodarczo rejonów kraju.

— Polityka gospodarcza biura politycznego partii hamuje znacznie szybszy wzrost stopy życiowej ludności. Bagatelizuje konieczność rozwoju usług na rzecz obywateli. Przyczynia się do nadmiernego zbiurokratyzowania życia i niekorzystnego w stosunku do zarobków ruchu cen.

Listę przewinień tego „nadrządu“ można przedłużać w nieskończoność. Większość tych niefortunnych decyzji, fatalnych dla naszej gospodarki i stosunków społecznych była w oczywisty sposób nielogiczna i sprzeczna z opiniami fachowców — a jednak je podjęto. Oto przyczyna dłaczego i tym razem budzą się w społeczeństwie obawy, że nie przemyślana polityka PZPR może doprowadzić do niepotrzebnej i sprzecznej z logiką ekonomiczną wymiany pieniędzy.

W tych warunkach nastroje społeczeństwa muszą być wobec polityki partii skrajnie nieufne. Wiadomo zresztą z przykrego doświadcze-

nia, że wszystkie powojenne wymiany pieniędzy były skierowane przeciwko społeczeństwu i jego skromnym oszczędnościom. Bo władza komunistyczna nie lubi, gdy obywatele mają nieco więcej pieniędzy i zaczynają grymasić. Gdy stawiają wymagania państwowemu wytwórcy. Gdy domagają się lepszych artykułów codziennego użytku. A ponieważ w listopadzie władze partyjne zagroziły obywatelom polityką zaciskania pasa i przykręcania śruby — obywatele odpowiedzieli aktem nieufności, panicznym wycofywaniem wkładów z PKO.

JESZCZE JEDNA MOŻLIWOŚĆ

Jeszcze w lutym, w rozmowie z przyjezdnym z kraju, zapytywałem czym tłumaczy sobie tak nagłą i powszechną pogłoskę o wymianie pieniędzy? Zastrzegł się, że nie potrafi dać pełnej odpowiedzi, ale w zasadzie potwierdził moje przypuszczenia o zasadniczej nieufności społeczeństwa wobec władz partyjno-rządowych. Dodał tylko, że nie wyklucza ze strony tych władz swoiste go podstęp.

Jakiego? — zapytałem zacieka- wiony.

Widzi pan — odpowiedział — u nas wszystko jest możliwe. Pogłoski o wymianie pieniędzy były tak uporcezywe i tak masowe, a rozeszły się natychmiast po całym kraju, że nie można wykluczyć współdziałania władz w ich rozpowszechnieniu.

Przerwałem mu: przecież władze temu zaprzeczały!

— Tak, lecz dopiero po paru tygodniach.

I następnie wyluszczył swoją opinię, która sprowadza się do następującego przypuszczenia:

— W magazynach różnych przedsiębiorstw państwowych nagromadziło się moc artykułów, na które nie było chętnych. Różnych przestarzałych modeli lodówek, radioodbiorników, pralek, telewizorów i wielu innych tego typu „bubli“. Na upłynienie tego „towaru“ nie pomogły przeceny i agitacja. Więc nie wykluczam — powiada mój rozmów-

ca krajowy — że władze uciekły się do podstępu. Tuż przed świętami dyskretnie rozpuściły wiadomość o wymianie pieniędzy, aby wyzbyć się z magazynów obciążających je „bubli“. Panikę wobec niepewności zło- tówki tolerowano przeszło cztery, a może nawet do sześciu tygodni. Dopiero wówczas, gdy zepchnięto „bubli“ na kilka miliardów poproszono prezesa Banku Polskiego, aby zaprzeczył pogłoskom o wymianie pieniędzy.

Przypuszczenie to może być nie- prawdziwe, ale nie można powie- dzieć, że jest wykluczone. „Fachow- cy“ z biura politycznego KC PZPR zdolni są do każdej mistyfikacji byle tylko „rozwiązać“ doraźnie stworzo- ne przez siebie samych kłopoty. Ta- ki „genialny chwyt“ jest nawet w sam raz na umysłowość Gomułki. Jak było naprawdę — okaże przy- szłość.

FALE

„UPORCZYWYCH POGŁOSEK“

Na zakończenie jeszcze jedna uwaga. „Uporcezywe pogłoski“ o wy- mianie pieniędzy nie są jedynymi jakie krążą po kraju. Raz po raz zrywa się tam fala niesprawdzo- nych informacji podających z ust do ust jakieś ukrywane przed spo- łeczeństwem zamierzenia partii.

Skąd się to bierze?

Otóż trzeba stwierdzić, że wszel- kie „uporcezywe pogłoski“ są w ustroju komunistycznym niejako in- tuicyjne. Ludzie nie wierzą władzy, na którą nie mają wpływu. Intuicja zaś mówi lub podpowiada spo- łeczeństwu na co się zanoszą. Ponieważ wszystko wskazuje, że w najbliż- szych miesiącach zanoszą się w Pol- sce na znaczne zmiany w kierowni- ctwie politycznym — wszystko wy- daje się ludziom możliwe. Nawet wymiana pieniędzy, która — logi- cznie biorąc — nie ma dziś żadnego uzasadnienia. To tylko jeden dowód więcej, jak bardzo społeczeństwo nie ufa rządowi Gomułki.

W tej sytuacji oświadczenie pre- zesa Narodowego Banku Polskiego, że wymiany pieniędzy nie będzie nie mogło mieć poważniejszego znacze- nia. Jedynym skutecznym sposobem powstrzymania tych i wielu innych „uporcezywych pogłosek“ może być

(Dokończenie na str. 8)

W SWOJEJ książce, wydanej pod koniec 1965 roku pt. „Dyskusje, propozycje, decyzje“, Mieczysław Rakowski, omawiając sytuację tak między państwami, jak i między partyjami, jaka panowała w orbicie sowieckiej w 1964 r., wyraźnie zaprzeczył, jakoby w tych dwóch dziedzinach osiągnięto stabilizację. Jest to określenie, pisze autor, które fałszuje rzeczywistość, bo krajom socjalistycznym daleko dziś do stabilizacji. Za to z całą pewnością bardziej charakterystyczną cechą jest twórczy niepokój i próby rozwiązania po nowemu różnego rodzaju trudności i sprzeczności.

Wypadki, jakie zaszły w obrębie orbity państw komunistycznych w ostatnich trzech latach, dowodzą ponad wszelką wątpliwość pogłębiania się tego „twórczego niepokój“, tak w dziedzinie politycznej jak i ekonomicznej. Twarde stanowisko Rumunii, nawiązanie stosunków dyplomatycznych przez Rumunię i Jugosławię z Niemiecką Republiką Federalną, usunięcie w Czechosłowacji Nowotnego, a ostatnio wyraźnie antysowieckie nastawienie Kuby, świadczą o postępującym osłabieniu roli przywódczej Sowietów w światowym ruchu komunistycznym.

W tym samym czasie sytuacja w RWPG, nazwanej popularnie Komekonem, wskazuje na wzrastający brak stabilizacji. Pomyślany około 20 lat temu jako organizacja, która miała przeciwdziałać planowi Marshalla, Komekon w istocie rzeczy

(Dokończenie ze strony 7)

tylko zasadnicza zmiana stosunków politycznych w kraju. A więc przede wszystkim: poszerzenie zakresu swobód obywatelskich, dopuszczenie społeczeństwa do rzeczywistej kontroli nad rządem i zniesienie systemu monopartii komunistycznej. Pierwszym krokiem w tym kierunku powinna być — o czym również krążą „uporczywe pogłoski“ — zasadnicza zmiana obecnej nieudolnej ekipy rządzącej.

Bez takiej zasadniczej zmiany zawsze będzie istniał podatny grunt do rozpowszechniania się nie sprawdzonych wiadomości, którym ogół obywateli pozbawionych rzetelnej informacji chętnie daje ucha.

Tadeusz Podgórski

W. OPOLSKI

W KOMEKONIE

miał służyć jako organ koordynujący gospodarkę wszystkich państw członkowskich, z wyraźnym celem uzależnienia ich gospodarczo od Sowietów. Ostatnie dwie dekady istnienia Komekonu potwierdziły w całej rozciągłości, że pod hasłem pomocy gospodarczej, Sowiety zbudowały sobie instrument dla wywierania wpływu politycznego. Jako dostawcy głównych surowców mogą, pod groźbą pewnych sankcji gospodarczych, wywierać wpływ na gospodarkę państw członkowskich, na ich handel zagraniczny z państwami kapitalistycznymi, dyktować im udział w pomocy gospodarczej dla państw, walczących o wyzwolenie spod zachodniego „neokolonializmu“. Mogą wreszcie żądać usunięcia z wpływowych stanowisk osób, które bronią interesów własnego państwa, odważyły się na krytykę tej dyktatorskiej polityki. Zmiany, jakie zaszły w ostatnich latach na stanowiskach przedstawicieli państw członkowskich w Komekonie, potwierdzają technikę oddziaływania na skład personalny tej instytucji.

SESJA W BUDAPESZCIE

W dniach 12—14 grudnia ub. roku odbyła się w Budapeszcie 21 sesja Komekonu, a po niej posiedzenie komitetu wykonawczego. Delegatów musiał uderzyć fakt absencji Piotra Jaroszewicza, wicepremiera i stałego delegata Polski ludowej do RWPG. Jego miejsce zajął wicepremier Zenon Nowak, który do tej pory nigdy nie reprezentował swego kraju na sesjach, nie mówiąc już o komitecie wykonawczym, którego członkiem jest Jaroszewicz. Absencję Jaroszewicza można tłumaczyć albo chwilową przeszkodą, albo też początkiem końca jego stanowiska w Komekonie. To ostatnie przypuszczenie umacnia fakt, że na 10 plenum komitetu centralnego przemawiał tylko o nieuzasadnionej absencji robotników, o lekkomyślnym wydawaniu przez lekarzy świadectw chorobowych i konieczności nowych norm prawnych dla zahamowania tych nadużyć. (Odnosną ustawę sejm w międzyczasie uchwalił).

Skrót przemówienia Nowaka ogłosiła Trybuna Ludu z 14 grudnia ub.r., a jakkolwiek jak wynika z komunikatu, starał się wyrażać bardzo oględnie, niemniej zwrócił uwagę, iż „tylko przez wspólne działanie można przyspieszyć rozwój gospodarczy naszych krajów... widzimy jednak, pewne niedostatki w zakresie naszego współdziałania, które musimy zdecydowanie usunąć. „Nie określił jednak bliżej, o jakie „niedostatki“ chodzi i kto za nie odpowiada“. Trybuna Ludu dodała, iż delegaci innych krajów poparli polskie poglądy.

Za to w Trybunie Ludu z 1 stycznia br. opisał te niedostatki, w pełnym artykule, sam Jaroszewicz, któremu, jako autorytetowi w sprawach Komekonu i zastępcy członka Politbiura, cenzura nie mogła zmienić treści jego spostrzeżeń.

Autor artykułu stwierdził na wstępie, że w okresie minionych 12 miesięcy, podobnie jak nawet i wcześniej, działalność Komekonu zmierziała do pogłębienia i stabilizacji wzajemnych powiązań gospodarczych. Stabilizacja, zdaniem jego, ma jednak znaczenie podwójne: może być czynnikiem oddziaływającym pozytywnie na gospodarkę krajów członkowskich, na ich perspektywiczne planowanie, zgłoszone i przyjęte na sesjach. Z drugiej strony, brak stabilizacji, może stać się elementem niepokojącym i może wpłynąć ujemnie na tempo wzrostu wzajemnych obrotów między krajami członkowskimi. A tu zwłaszcza rok ubiegły dostarczył wiele dowodów tego ujemnego elementu. W latach 1966 i 67 miało miejsce nie tylko zwolnienie tempa wzrostu, ale nastąpiła nawet stagnacja. Wystąpiły nowe tendencje, które wywołały niepokojące zjawiska w polskim handlu zagranicznym, a jedną z tych tendencji, to zmiana w programach inwestycyjnych u importerów polskich maszyn i urządzeń, zmiany o charakterze strukturalnym, które uderzyły w różne gałęzie polskiego przemysłu. Jaroszewicz nie zawahał się wymienić wyraźnie kraje, które bez uprzedniego powiadomienia polskiego par-

BEZ ZMIAN



tnera, wprowadziły w swoim programie gospodarczym zmiany, w przyjętych już wcześniej zobowiązaniach w dziedzinie nowych inwestycji. Dalej stwierdza, że „należy wymienić przesunięcia w programie inwestowania w Związku radzieckim. Na skutek tych zmian musieliśmy wycofać się z części planowanych dla tego kraju dostaw kompletnych linii technologicznych dla przemysłu chemicznego i drzewnego. Podobnie zresztą z powodu rozwoju własnej bazy energetycznej oraz zmiany struktury zużywanych paliw w Czechosłowacji, NRD i na Węgrzech, ograniczony został wzrost naszego eksportu węgla energetycznego.“

Ponadto kontynuuje Jaroszewicz, drugim elementem ograniczenia tempa wzrostu obrotów, były zmiany w systemie planowania i zarządzania które zmniejszyły znacznie dotychczasowe formy aktywizacji handlu zagranicznego pomiędzy krajami członkowskimi, wskutek czego już w 1966 r., Polska miała ujemne saldo płatnicze z Czechosłowacją, NRD i Jugosławią. „Brak zrozumienia naszych importerów dla naszej sytuacji gospodarczej zmusza nas do wyciągnięcia już na rok bieżący odpowiednich wniosków. Od szeregu już lat dwie trzecie naszych obrotów handlowych to obroty z krajami członkowskimi Komekonu.“ Maszyny i urządzenia techniczne, zamawiane przez Związek Radziecki, stanowią podstawę rozwoju polskiego przemysłu, za to Polska wywiązała się ze swoich zobowiązań zgodnie z przyrzeczeniem, bowiem całe zapotrzebowanie jej przemysłu w podstawowe surowce i materiały pokrywała z materiałów importowanych z krajów członkowskich RWPG.

Jaroszewicz przepowiada, że istotny wpływ na rozwój stosunków ekonomicznych między krajami członkowskimi Komekonu i brak udoskonalenia metod koordynacji wystąpi z całą siłą w latach 1970—1975. Musi przeto zniknąć do tego czasu nieuzasadniony paralelizm, i właśnie tu Komekon musi skoordynować plany inwestycyjne, które muszą wiązać wszystkich członków.

W tym miejscu, w przystępie szczerości, autor stwierdza z żalem, iż mimo wielu wysiłków, krajom RWPG nie udało się dotychczas dokonać żadnej zasadniczej poprawy w dziedzinie specjalizacji i kooperacji produkcji w przemysłach przetwórczych.“ Wprawdzie komitet wykonawczy przyjął na początku roku 1967, (po dwuletnich naradach) dokument o koordynacji na zasadach komercyjnych, produkcji w przemyśle elektromaszynowym, na którym miał być oparty obowiązek ścisłego stosowania się każdego partnera. Praktyka jednak poszła innym torem. Toteż, jeśli wymiana w przemyśle elektromaszynowym ma nastąpić zgodnie z dokumentem, zasady w nim zawarte muszą być respektowane przez wszystkich członków, którzy je przyjęli.

Ponadto, zdaniem Jaroszewicza, muszą być podjęte dalsze kroki, mające na celu kształtowanie cen w handlu zagranicznym oraz polityka banku RWPG w dziedzinie operowania rublem transferowym. Nie wspominał jednak już o żądaniu krajów członkowskich wypłacania im bodaj pewnej części ich nadwyżek w walutach twardych, z czego można wnioskować, że strona sowiecka, widocznie zastrzegła się przeciw podnoszeniu tego żądania na sesjach Komekonu, bowiem taka koncesja byłaby równoznaczna z dalszym uniezależnieniem się krajów członkowskich od kierowania ich gospodarki przez Sowiety.

Jaroszewicz zakończył swój artykuł ostrzeżeniem, że od tempa wzrostu potencjału gospodarczego zależeć będzie w przyszłości stopa życiowa i warunki bytowe ludzi pracy w Polsce i innych krajach członkowskich Komekonu.

Brak stabilizacji, o czym wspominał Rakowski cytując rok 1963 i brak kooperacji w ramach Komekonu, który zilustrował w 1968 roku Jaroszewicz nie rokuje polepszenia w okresie 1970—1975, który sam także nazwał krytycznym. Kilka lat temu, Gomułka, oburzony paralelizmem, stosowanym przez członków Komekonu w dziedzinie produk-

cji przemysłowej, określił ich postępowanie polskim przysłowiem, „každy sobie rzepkę skrobie“, nie wymienił jednak Związku Radzieckiego. Jaroszewicz to uczynił. Toteż najbliższy czas wykaże, czy wobec tak wyraźnego oskarżenia Związku Radzieckiego utrzyma się na stanowisku delegata Polski ludowej w Komekonie, czy też będzie musiał ustąpić miejsca Nowakowi.

ŻYCZENIA

miłych, pogodnych

ŚWIĄT

WIELKANOCNYCH

przesyła

Klientom i Znajomym

DYREKCJA

ZYLAN LTD.

IMPORT I HURT ŻYWNOSCI

55, Pitfield Street,

London, N. 1.

Tel.: 253 2951

BIBLIOTEKA „KULTURY“

BORYS PASTERNAK

DOKTÓR ŻIWAGO

NOWE

wydanie głośniejszej powieści

Przekład

PAWŁA HOSTOWCA

Str. 544.

Cena: dol. 5.50

sh. 38/6

BOLSZEWICCY politycy, ekonomiści i publicyści dzielą świat na socjalistyczny i kapitalistyczny. Ten kompartmentalny i wodoszczelny podział nie jest zgodny z istotnym stanem rzeczy, albowiem kapitalizm w sensie klasycznym zamiera, a doktryną socjalistyczna jako będąca wynikiem spekulacji czysto filozoficznej i utopijnej, a zatem istniejąca w oderwaniu od rzeczywistości, nigdy nie miała i nigdy nie będzie miała praktycznego zastosowania w życiu gospodarczo-społecznym, bo mieć nie może.

W związku z tym należy odróżnić system rządzenia od ustroju gospodarczo-społecznego. Na Zachodzie kapitalizm powstał w okresie rządów teokracji i istniał podczas rządów arystokracji i oligarchii. Obecnie resztki kapitalizmu pod rządami technokracji szybko ustępują miejsca czemuś nowemu, czego jeszcze nie dało się dotąd ściśle określić i sklasyfikować. W Rosji, gdzie nigdy nie było kapitalizmu, przed rewolucją bolszewicką rządziła autokracja, a obecnie rządzi ideokracja, której duchową ostoją i pożywką jest utopijny socjalizm, nie mający nic wspólnego z ustrojem społeczno-gospodarczym, przy czym tak samo jak na Zachodzie powoli i systematycznie wysuwa się na czoło technokracja.

ISTOTA SOCJALIZMU

Koncepcja socjalizmu i komunizmu jako doktryny społeczno-gospodarczej, zwłaszcza według Marxa, polega na tym, że wyłącznie robotnicy mają kierować życiem gospodarczo-społecznym i jednocześnie pracować fizycznie, w wyniku czego zanikną różnice klasowe i powstanie wspólna własność środków produkcji. Marx nie wnikał w szczegóły, jak to ma być w praktyce stosowane, natomiast Lenin wyraźnie i szczegółowo zakreślił program i przedstawił obraz przyszłego raju socjalistyczno-komunistycznego, mający być nienaruszalnym osiągnięciem i szczytem rozwoju organizacji społeczno-gospodarczej. Według Lenina, ci sami ludzie jednego dnia będą zamiatali ulice lub kopali rowy, a następnego zasiadają przy biurkach dyrektorów banków, inżynierów sporządzających plany i innych specjalistów, będą malowali obrazy, pisali książki itp., albowiem, zdaniem jego, obecnie wszystkie czynności są do tego stopnia uproszczone i zschematyzowane, że żaden zawód nie wymaga specjalnej wiedzy. Za swą pracę, oczywiście, wszyscy będą otrzymywali to samo wynagrodzenie.

Po zdobyciu władzy Lenin szybko zorientował się, że klasyczna koncepcja socjalizmu jest utopią i nakazał wprowadzenie oraz zastosowanie w praktyce na wielką skalę kapitalizmu państwowego, bez próby teoretycznego uzasadnienia swego postępowania. W dodatku z braku rosyjskich specjalistów, któ-

ALEKSANDER STAMBROWKI

PRZEMIANY

rych wymordowano lub rozpedzono na cztery wiatry, sprowadził specjalistów zagranicznych i płacił im wysokie uposażenie w twardej walucie. Nie był to współczesny rewizjonizm, lecz absolutne zerwanie z doktryną socjalistyczną, albowiem Marx surowo potępił kapitalizm państwowy, jako będący spadkobiercą „barbarzyńskiego, azjatyckiego systemu gospodarczego“ i mający w tym czasie szerokie zastosowanie w Rosji carskiej oraz na mniejszą skalę w cesarskich Niemczech i innych krajach. W przeciwieństwie do tego obecny rewizjonizm, uprawiany głównie przez technokratów i ekonomistów, zmierza tylko do zmian w bolszewickim systemie kapitalizmu państwowego.

Na tle powyższego dziwnym jest, że obecnie zachodni socjaliści uważają kapitalizm państwowy za istotę i podstawę socjalizmu i walczą o przejęcie przez państwo prywatnych zakładów pracy, nie zdając z tego sobie sprawy, że przez to zmierzają do oddania losu robotników w ręce biurokracji państwowej, która nie jest więcej zainteresowana ich losem niż prywatni właściciele.

UTOPIJNA TEZA JULIUSZA MIEROSZEWSKIEGO

Teza J. Mieroszewskiego („Ewolucjonizm“, Paryż, 1964) polega na tym, że klasyczny socjalizm uległ w krajach bolszewickich wypaczeniu i degeneracji, wskutek czego ludzie cierpią niedostatek i nie mają praw demokratycznych. Istnieją jednak widoki, a nawet pewność, że w przyszłości w wyniku ewolucji socjalizm w tych krajach odzyska nadwężone zdrowie i stanie się jedynym, najdoskonalszym i nieśmiertelnym systemem ekonomicznym, społecznym i politycznym.

Mogło by tak być, gdyby socjalizm był systemem społeczno-gospodarczym, ale ponieważ socjalizm jest utopijną i metafizyczną doktryną filozoficzną więc nie ma żadnych widoków na jego ewolucję albowiem systemy filozoficzne, jako wyłącznie wynik spekulacji umysłowej, są oderwane od rzeczywistości, sztywne i bardzo odporne na jakiegokolwiek zmiany. Słowem, to co nie istnieje w świecie realnym, nie może ulegać rzeczywistej i materialnej ewolucji.

Kiedyś jeden z nielicznych wyznawców solipsyzmu (filozof) zapytał Bertranda Russella, dlaczego jest ich tak mało i doktryna nie przejawia żywotności. Russell wyjaśnił mu, że nie ma nic w tym dziwnego, albowiem według

ich doktryny tylko świadomość własnej osoby jest rzeczywistością, a cały świat zewnętrzny jest złudzeniem i dlatego byłoby dziwnym, gdyby poza jego osobą był na świecie jakiś inny solipsysta.

Z drugiej strony bolszewizm, jako oparty głównie na kapitalizmie państwowym, a więc zjawisko realne, może i rzeczywiście ulega pod naciskiem ekonomistów i technokratów ewolucji. Obecnie ewolucja ta jest znikoma i nie wiadać jej praktycznych wyników, ale teoretycznie rzecz biorąc jest duży postęp w rozwoju myśli ludzkiej, chociaż „postęp“ ten (jeżeli można użyć tego słowa w tym kontekście) jest reakcyjny, albowiem zmierza raczej do rehabilitacji przestarzałego już i zanikającego na Zachodzie kapitalizmu klasycznego.

Gdyby więc Mieroszewski pisał o ewolucji bolszewizmu, można było by z nim się zgodzić. Z drugiej strony, jeżeli socjalizm, komunizm, czy bolszewizm, obojętnie jak to się nazwie, ulegnie tak daleko posuniętej ewolucji, jak uległ kapitalizm, nie z tych „izmów“ nie pozostanie.

PRZEMIANY NA ZACHODZIE

W odległych czasach faktyczna władza należała do wielkich właścicieli ziemskich (arystokracja i ziemiaństwo). Z biegiem czasu i po długich zmaganiach, wydarli im władzę kapitaliści, operujący kapitałem będącym ich osobistą własnością, albowiem zarówno przedsiębiorca był bezpośrednim i jedynym właścicielem swego zakładu pracy jak i bankier swego banku. Na tych przesłankach Marx oparł swą, zdaniem jego i jego uczniów, nieśmiertelną, a dziś już przestarzałą i nieaktualną, teorię kapitalizmu.

W ostatnich czasach, a zwłaszcza po drugiej wojnie światowej, nastąpiła w krajach wysoce uprzemysłowionych stopniowa likwidacja kapitalizmu klasycznego. W wielkim przemyśle i bankowości już nie istnieje kapitalizm. Pozostały tylko niedobitki prywatnych przedsiębiorców o charakterze raczej rzemieślniczym, rozporządzający małym kapitałem i prywatni właściciele kapitału w rolnictwie i handlu detalicznym na większą skalę. To jest powodem, że rzemiosła, handlu detalicznego i rolnictwa nie można obecnie inaczej zorganizować, niż na zasadach kapitalistycznych.

W ślad za zanikiem przedsiębiorców i kapitalistów powstają olbrzymie tzw. „dojrzałe korporacje“ przemysłowe,

i EWOLUCJA

B.D.I.C

przeważnie jako spółki akcyjne, które są fikcyjnymi i anonimowymi właścicielami przedsiębiorstw i kapitału. Zarządzają tymi przedsiębiorstwami płatni funkcjonariusze, należący do technokracji, rozporządzającej „kapitałem intelektualnym”. Z reguły nie mają oni swoich udziałów w spółkach, albowiem rzadko zdarza się, że nawet dyrektorzy mają więcej niż 2% akcji. Na kapitał więc przedsiębiorstwa składa się własny kapitał firmy i udziały akcjonariuszy, przy czym istnieje silna tendencja do uniezależnienia się przedsiębiorstw od kapitału akcjonariuszy i finansowo (pożyczki bankowe) i poleganie na kapitale pochodzącym z zysków przedsiębiorstw, uzyskanych w dużej mierze przez obniżanie dywidend akcjonariuszy.

Charakterystyczną jest rzeczą, że te olbrzymie przedsiębiorstwa doskonale funkcjonują i prosperują, pomimo, że nie istnieje „motyw zysku” osobistego dla ich funkcjonariuszy, albowiem tak czy inaczej otrzymują oni swoje miesięczne czy tygodniowe zarobki, a wynik ich pracy i zapobiegliwości staje się zyskiem anonimowego i fikcyjnego właściciela przedsiębiorstwa, tj. firmy.

Toteż wytworzył się wśród technokratów esprit du corps, wyrażający się w automatycznym i odruchowym dążeniu do powiększenia przedsiębiorstwa i gromadzenia jego zasobów w celu wzmocnienia prestiżu firmy.

Na tle powyższego widać wyraźnie jak bezsensowna i archaiczna jest koncepcja „motywu zysku” Libermana i jego uczniów dla wielkich przedsiębiorstw przemysłowych. Koncepcja ta była na miejscu i aktualna za czasów Marxa gdy istnieli prywatni przedsiębiorcy, dla których motywem i pobudką działania było gromadzenie zysków i powiększanie ich własnych przedsiębiorstw. Oczywiście, również w krajach bolszewickich „motyw zysku” osobistego w rzemiośle, handlu detalicznym i rolnictwie jest obecnie aktualny. Świadczy o tym chociażby fakt, że w krajach tych z braku „motywu zysku” te właśnie działy gospodarki narodowej najgorzej funkcjonują i prosperują.

Władze amerykańskie obawiały się, że wielkie korporacje powstałe w wyniku karteli spowodują zanik konkurencji na wolnym rynku i wskutek tego wywołają wzrost cen w wyniku zmonopolizowania produkcji i obrotów handlowych. W związku z tym wydano szereg ustaw antyhandlowych („anti-trust laws”) zabraniających łączenia (fuzje) przedsiębiorstw. Nie można je-

dnak było zapobiec powstawaniu tzw. „eligopolii”, polegających na tym, że nieliczne i wielkie firmy porozumiewają się ze sobą potajemnie co do jednolitych cen, tworząc w ten sposób monopol rynku na swe towary.

Obawy te okazały się płonne, albowiem firmy należące do eligopolii chociaż mogły narzucić rynkowi ceny na swe produkty, nie mogły ich podwyższyć znacznie w obawie, aby nie zmniejszyć popytu, co obniżyłoby zyski przedsiębiorstw. Z drugiej zaś strony przyczyniło się to poważnie do stabilizacji cen, które stały się mniej zależne od kaprysu mechanizmu wolnego rynku.

O potęgę i moc technokracji świadczy fakt, że wskutek postępu technicznego szybko zanika klasa robotników fizycznych („blue-collar workers”) i wzrasta gwałtownie ilość pracowników umysłowych („white-collar workers”). Obecnie w Ameryce, biorąc ogólnie, jest prawie równa ilość robotników fizycznych i umysłowych. Jeżeli chodzi o poszczególne działy gospodarki narodowej w 1965 r. było w Ameryce zatrudnionych w przemyśle 44,5 mlna pracowników umysłowych, a tylko 36,7 mlna robotników fizycznych. W latach 1947-65 ilość zatrudnionych w przemyśle pracowników umysłowych wzrosła o 9,6 miliona, a robotników fizycznych spadła o 4 miliony. W usługach jednak pracownicy umysłowi stanowili 12,9 procent, a w rolnictwie tylko 3,9 proc. ogółu zatrudnionych.

Ta tendencja i ewolucja świadczą, że proroctwa i groźby Marxa oraz jego uczniów, iż w przyszłości „czornoroboczy” ciemny proletariąt zmiecie z powierzchni ziemi kapitalistów i ich sprzedajne sługi — pracowników umysłowych nie opierają się na realnych przesłankach, albowiem to co nie istnieje, lub istnieje w nikomej ilości nie może zniszczyć tego, co realnie i masowo istnieje.

Na tle powyższego odczuwa się obecnie w krajach wysoce uprzemysłowionych wielki brak ludzi wykształconych, a przede wszystkim z uniwersyteckim wykształceniem technicznym i istnieje nadmiar robotników fizycznych, w wyniku czego nie ma absolutnie bezrobocia wśród pracowników umysłowych. W Ameryce istnieje największe bezrobocie wśród Murzynów, nie tyle ze względów rasowych, ile dlatego, że niewielu z nich ma wykształcenie wymagane przez współczesną technostруктурę.

W związku z tym tracą stopniowo znaczenie mające do niedawna tak po-

teżne wpływy na życie gospodarcze związki zawodowe, do których należy coraz mniej ludzi pracy. Np. w Ameryce tylko około 5% pracowników umysłowych należy do związków zawodowych, a w latach 1956-62 ilość członków związków zawodowych robotników fizycznych zmniejszyła się o 1,7 miliona.. Nic w tym dziwnego. Dawniej zadaniem związków zawodowych było kierowanie walką robotników z wyzyskiem kapitalistów. Obecnie, gdy ilość uczestników zmagania się po obu stronach barykady topnieje w szybkim tempie, nie wiele ich pozostaje na placu boju. W dodatku, zanika też barykada.

Toteż zdarzające się dość często strajki nie mają obecnie charakteru tej zaciętości i uporu jak było to dawniej i raczej są przejawem przyzwyczajenia i nawyków, czyli są czymś w rodzaju dążenia do zachowania tradycji. W Anglii jednak, gdzie istnieje mała, lecz dobrze zorganizowana partia komunistyczna, mająca duże wpływy wśród politycznie nie uświadomionych robotników, której zadaniem i dążeniem jest rozłożenie państwa „kapitalistycznego”, strajki wyrządzają poważną szkodę gospodarce narodowej, zwłaszcza, że obecnie strajk kilku robotników może sparaliżować produkcję na wielką skalę.

Z drugiej strony, istnieje obawa, że z rozwojem techniki, a zwłaszcza, automatyzacji, powstanie olbrzymie i trwałe bezrobocie. Obawy te jednak nie znajdują uzasadnienia w dotychczasowym doświadczeniu, w związku z postępowaniem wiedzy technicznej. Oczywiście, przy szybkim rozwoju automatyzacji pewna ilość starszych i niewykwalifikowanych robotników może być dotknięta nadmiernym bezrobociem i bez nadziei znaleźnia pracy w przyszłości, ale młode roczniki mogą być specjalnie wykształcone i przeszkolone, co obecnie czyni się na wielką skalę, i w konsekwencji znaleźć miejsce pod słońcem w ramach technostруктуры.

Nie ma też obawy, że w związku z postępowaniem techniki nastąpi nadprodukcja towarów i artykułów pierwszej potrzeby, mogąca wywołać bezrobocie. Technokracja znalazła sposoby (głównie przy pomocy reklamy oraz sprzedawania na kredyt i na raty, co powoduje, że robotnicy są stale zadłużeni i muszą dłużej pracować, aby spłacać długi) tworzenia nowych i trudnych do zaspokojenia potrzeb, wskutek czego robotnicy pomimo wzrastających płac realnych pracują coraz dłużej. Np. w Ameryce w 1961 r. przeciętne pracowano z godzinami nadliczbowymi 40,6 godzin tygodniowo, a w 1965 r. długość tygodnia pracy wynosiła już 41,1 godzin. Obliczono też, że gdyby dzisiejsze potrzeby były równe potrzebom z 1939 r., wy-

(Dokończenie na str. 11)

Bezprawie Sowieckie na Ukrainie

W PIŚMIE kanadyjskim „The Weekend Telegram“, wydanym w Toronto, ukazała się seria artykułów informujących o przesładowaniach na Ukrainie sowieckiej patriotów ukraińskich i stosowaniu metod stalinowskich w tłumieniu przejawów ukraińskiego życia narodowego, artystycznego oraz o postępującej gwałtownie rusyfikacji tego kraju.

Pretekstem do silniejszego niż dotychczas ujawnienia tych faktów stała się sprawa Wiaczesława Czornowiła, 29-letniego dziennikarza ukraińskiego, pracującego w telewizji we Lwowie, skazanego tamże na trzy lata obozu pracy za odmówienie zeznań przed sądem w sprawie 20-tu intelektualistów ukraińskich. Powołany na świadka, uważał on, że cały proces jest spreparowany, oskarżeni zmuszani najgorszymi środkami nacisku, jak za czasów stalinowskich, do składania zeznań przeciwko sobie samym i że tym samym cały proces

(Dokończenie na str. 11)

starczyłoby obecnie pracować o połowę mniej, aby je zaspokoić.

W związku z wybitną rolą odgrywaną przez technokrację na Zachodzie i coraz większą w Sowietach istniejące szeroko rozpowszechnione mniemanie, że kwestia zatarcia się różnicy między systemami ekonomicznymi krajów „kapitalistycznych“ i „socjalistycznych“ jest tylko kwestią czasu. Głównym reprezentantem tej szkoły myślenia jest wybitny ekonomista amerykański J. K. Galbraith.

Wszystko jest możliwe pod słońcem i na tym niedoskonałym świecie i wydaje się, że rzeczywiście prądy zbieżne zmierzają w tym kierunku. Jednakże jeżeli chodzi o Związek Sowiecki trzeba chyba będzie długo na to czekać, a to dlatego, że podczas gdy w krajach wolnego świata technokracja ma już do czynienia z niedobitkami kapitalistów, w Sowietach działa potężna i najlepsza na świecie maszyna przymusu ideokracji, realizującej swe prawa nabyte i zdaniem jej niezbywalne, wobec której technokracja jest prawie bezsilna.

Na dłuższą metę oczywiście czas działa na korzyść technokracji, która stale ilościowo wzrasta, a ideokracja maleje, co w końcu musi doprowadzić do uwiadu bolszewizmu.

Aleksander Stambrowski

był bezprawny i gwałcący w wielu punktach konstytucję państwa sowieckiego. Czornowił, nie tylko odmówił zeznań, ale zaprotestował publicznie w imieniu swoim i takich jak on — zmuszanych do zeznań narzucanych wymuszeniami lub terrorem — wysyłając petycje i apele do władz sowieckich w tym duchu. Jego wypowiedź — 80-cio stronicowy dokument, zawierający wymienienie wszystkich nieprawości popełnionych przez tajną policję (KGB), sądy i cały system sowiecki, była ostatnim aktem jego działalności przed skazaniem go i zesłaniem do obozu.

Czornowił napisał również książkę na temat procesów tajnych, zatytułowaną: Portrety dwudziestu „przestępców kryminalnych“, w której szeroko omawia przebieg śledztwa i procesów dwudziestu patriotów ukraińskich, walczących z rusyfikacją Ukrainy, broniących języka ukraińskiego i ukraińskiej kultury, tłumionych przez władze rosyjskie. Wszyscy, nie wyłączając samego autora książki, zostali skazani za działalność antysowiecką. Książka Czornowiła została przemycona za granicę i ukazuje się wkrótce w wydaniu angielskim.

Jest rzeczą charakterystyczną, że tak Czornowił jak i skazani jego towarzysze, nie byli nastawieni antysowiecko i ich działalność nie była wcale nastawiona na działalność antyrosyjską czy antykomunistyczną. Żądali tylko poszanowania obowiązującej konstytucji sowieckiej, zapewniającej rozwój narodowy i kulturalny swego narodu, żyjącego w łonie Związku Sowieckiego oraz poszanowania swobód obywatelskich, jak wolność słowa, prasy, zebrań i demonstracji, jakie zapewnia ta konstytucja. Oczywiście, książka Czornowiła będzie jeszcze jednym świadectwem nieskończonego cynizmu systemu komunistycznego, dla którego piękne hasła wypisane w konstytucji pierwszego kraju „socjalistycznego“ są środkiem propagandy i to na zewnątrz, a których praktyczne stosowanie przez obywateli, czy tylko nieśmiałe próby stosowania, są kla-

syfikowane jako działalność antypaństwowa.

Klasycznym przykładem bezwzględnego łamania prawa jest — wśród wielu innych — wypadek ukraińskiego działacza niepodległościowego, Światosława Karawańskiego. Skazany w 1944 r. na 25 lat więzienia, został zwolniony w 1960 r. po odbyciu 16 lat i 5 miesięcy kary, na podstawie ustawy państwowej określającej najwyższy wymiar kary więzienia na lat 15. Powróciwszy do rodzinnej Odessy, Karawański ożenił się, studiował na uniwersytecie i pracował jako tłumacz. W 1965 roku wysłał starannie opracowany protest do naczelnego prokuratora przeciw działalności ukraińskiego ministra oświaty, zachęcającego studentów ukraińskich do zaniebdywania języka ukraińskiego na korzyść rosyjskiego, co było niezgodne z zasadami Lenina i konstytucją Związku sowieckiego. Ponieważ skarga Karawańskiego rozszerzyła się w odpisach między studentami uniwersytetu w Odessie, został on aresztowany i bez żadnej sprawy sądowej ani wytłumaczenia zesłany do obozu pracy dla odbycia... pozostałości darowanej kary 8 lat i siedmiu miesięcy, do pełnego jej wymiaru 25 lat, zniesionych przecież przez ustawę rządu sowieckiego. To bezprawie nie złamało Karawańskiego. Wniósł on szereg protestów przeciwko postępowaniu władz, oskarżył jednego z dziennikarzy sowieckich o oszczerstwo, szerzone o nim w prasie sowieckiej. Czy odniesie to jakiś skutek? Na razie, za wysłanie protestów z powodu bezprawnego powtórnego zesłania go, został zamknięty w odosobnieniu, na zmniejszonej racji żywienia i pozbawiony przywilejów z jakich korzystać mogą więźniowie.

Wypadek Karawańskiego jest jednym z wielu. Wspomniane pismo kanadyjskie wymienia nazwiska innych patriotów i intelektualistów ukraińskich, jak Horyn, Masiutko, Zaliwaka skazanych nie za opór przeciw komunizmowi, ale za protesty łamania konstytucji i stosowanie metod stalinowskich. Książka Wiaczesława Czornowiła ujawni nam więcej nazwisk i więcej szczegółów o ponurej „praworządności“ rosyjskiej i systemu komunistycznego.

**CZYTAJ
POLSKĄ
KSIĄŻKĘ!**

KRAJ KONTRASTÓW

B.D.I.C

DWIE MIARY ABSENCJI

Poseł Tadeusz Toczek referował w Sejmie ustawę o zaostrzeniu dyscypliny pracy. Znamienne, że nie dano tego zlecenia żadnemu posłowi PZPR, lecz przedstawicielowi koncesjonowanego Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego. Przedkładając swoje wynurzenia posłuszny poseł Toczek podał, że codziennie nie stawia się w Polsce do pracy z przy czynem nieuzasadnionych 19 tysięcy robotników. Ostrożny rzecznik ustawy rządowej nie nadmienił jednak, że również codziennie nie stawia się do pracy 9 tys. robotników zwalnianych przez PZPR do tzw. pracy społecznej.

Inaczej mówiąc, obok absencji nieuzasadnionej, mamy również absencję uzasadnioną posługami dla partii, ale nieuzasadnioną w ocenie społeczeństwa.

KLUB „OCZEKUJĄCYCH“

Potrzeba jest matką wynalazków. Oto przy łódzkiej spółdzielni mieszkaniowej przy „Osiedlu Młodych“ utworzono Klub Członków Oczekujących. Zrzesza on tych, którzy nie mają jeszcze mieszkania, ale na nie czekają. Celem istnienia klubu jest... działalność rozrywkowa mająca skrócić czas oczekiwania na mieszkanie.

DECYZJA

NA NAJWYŻSZYM SZCZEBLU

We Wrocławskim Zjednoczeniu Przedsiębiorstw Handlowych odbyła się narada dyrektorów z handlu i wyższych instancji przemysłu piekarniczego. Wygłaszano referaty socjalno-ekonomiczne i debatowano przez kilka godzin. Oczywiście, podjęto szereg odpowiednich wniosków.

A czego dotyczył problem?

A no tartej bułki, której nie można dostać w żadnym sklepie.

Jaka jest zasadnicza decyzja wysokich przedstawicieli gospodarki narodowej,

Sprowadza się ona do stwierdzenia, że „problem tartej bułki“ jest zagadnieniem trudnym. Wobec tego odpowiednie władze zdecydowały, że w najbliższym czasie tarta bułka będzie dostarczana tylko do niektórych sklepów. Natomiast „na szerszym tle ekonomiczno-społecznym“ znajdzie rozwiązanie dopiero w następnej pięciolatce.

NIE PODSKAKUJ

Niewiasta, która inspirowana troską obywatelską zawiadomiła administrację

Domów Mieszkalnych we Wrocławiu, że jej zdaniem żarówki oświetlające numery domów przy ul. Świdnickiej nie powinny się palić całą dobę, ponieważ w ten sposób marnotrawi się energię elektryczną — została niemile zaskoczona reakcją władzy dbającej o interesy narodowe. Urzędnik ADM. oświadczył jej, że za przybycie „z donosem“ zostanie przykładowo ukarana.

Stąd wniosek, że „donosy“ są przez władze pożądane, ale tylko w Urzędzie Bezpieczeństwa.

WYJAŚNIENIE

Powszechnie wiadomo, że handel i gastronomia cierpi na niedowład organizacyjny. Obsługa konsumentów jest powolna, a zaopatrzenie lokali pozostawia wiele do życzenia. Teraz okazuje się, że w stosunku do powierzchni i ilości lokali personel gastronomiczny jest raczej spory. Jego nieporadność ma inne przyczyny. Po zbadaniu 27 przedsiębiorstw handlu detalicznego, sklepów oraz zakładów gastronomicznych i przetwórczych okazało się, że łącznie z ich wojewódzką nadbudową administracyjną zatrudniają ponad 9.600 pracowników, z czego 1.900 osób to pracownicy administracji. Wynika z tego, że na każdym pięciu pracowników tych przedsiębiorstw wypada więcej niż jeden pracownik administracji.

Tak więc wszystko się wyjaśniło. Wiadomo już dlaczego personel usługowy nie może podołać obsłudze klienteli i skąd bierze się nadmiar tej klienteli.

CZYN SPOŁECZNY POMYŚLANY ASPOŁECZNIE

Władze miasta Krakowa wdrożyły dochodzenie w sprawie pobudowania w czynnie społecznym przez mieszkańców dzielnicy Zwierzyniec półtorakilometrowej ulicy w dzielnicy Kleparz. Okazało się, że ulica została zbudowana przez pomyłkę.

Trzeba się również zapytać, czy nie ma w tym jakiej pomyłki, względnie nawet zboczenia, że czyny społeczne mieszkańców jednej dzielnicy wykonywane są w innej części miasta. A może jest w tym metoda? Może zwiększa się wartość społecznego „przerobu“ o pedałowanie zainteresowanych z jednej dzielnicy do drugiej?

ZDJĘCIE I RZECZYWISTOŚĆ

„Dziennik Zachodni“ ogłosił niedawno zdjęcie gustownej kamieniczki opatrując je podpisem: „Katowice stają się

coraz piękniejsze... Gustowne elewacje okrywają piękno i urok katowickich kamienic“.

Po dwóch dniach redakcja musiała kajać się za to, że fotoreporter nie obejrzał kamieniczki wewnątrz. Okazało się bowiem, że od kilku lat zapadają się w niej podłogi, zawalają stropy i zaciekają sufity, bo ze wszystkich rur i rynien cieknie woda. Okazało się jednocześnie, że lokatorzy czekający na remont od lat pięciu nie doczekali się naprawy wewnątrz, lecz odpacykowano im tylko fasadę starego domu, co zresztą nie na wiele się przyda, bo w tym stanie fasada szybko ulegnie ruinie.

Ale doraźny efekt prasowy jest!

CO TRUDNIEJSZE?

Kto poszpera w dokumentach może się przekonać, że krócej trwałoby wybudowanie ogromnych zakładów petrochemicznych w Płocku czy kombinatu azotowego w Puławach, mniej czasu zajęło uruchomienie od podstaw przemysłu matematycznych maszyn elektronicznych, niż opracowanie konstrukcji pieca do wiejskich mieszkań. Jak nie było, tak nie ma rezultatów tego przedsięwzięcia, chociaż działa w tej sprawie kilka specjalnych komisji, które odbyły już parę tysięcy posiedzeń. Trzy prototypy pieca wprowadzane kolejno do produkcji nie zdały egzaminu. A skutek jest taki, że wieś polska nadal nie ma innego sposobu opalania mieszkań, jak archaiczne dzieło piastowskich zdunów zalegające potężną przestrzeń chłopskich izb.

DOLAR ZA 3 ZŁOTE 50 GROSZY

W łódzkiej „Desie“ ustawiła się niedawno kolejka cudzoziemców, którzy wykupywali masowo fenigi Wolnego Miasta Gańska sprzedawane po 14 zł. za sztukę. Okazało się, że w antykwariatach Europy Zachodniej można sprzedawać te numizmaty po 4 dolary za sztukę, co w przeliczeniu daje dolara za 3 zł. 50 gr..

Zachodzi obawa, że ktoś w poczciwej i mało obrotowej „Desie“ będzie miał dochodzenie za niewykorzystanie możliwości dewizowych.

Wiślan

Dobry uczynek —

zachęcić przyjaciela
do prenumerowania
„ORŁA BIAŁEGO“

KA: Po wyjeździe Bergauowców żyliśmy krótki czas w raju głupców: pokrzepialiśmy się zwiększonymi porcjami żywności, robili zapasy ze spadkowego węgla i drzewa, szabrowaliśmy po opustoszałych barakach skarby w postaci blaszanek, sznurków, pudełek. Mnie osobiście było jednak gorzej niż przed ich wyjazdem. Naraz zabrakło ludzi, którzy mnie znali sprzed wojny, skończyło się dla mnie życie na rachunek przeszłości. Byłam sama, źle ubrana młoda kobieta z tlenionymi „na aryjsko“ włosami w kilku kolorach, w podartych pantoflach i męskich skarpetach łańcuch kolorowymi skrawkami, z rozwydrzonym dzieckiem w wyrosniętych łańcuchach. Przedtem mogłam spokojnie topić się w bólu, bo wiedziałam, że przyniosą mi nienaruszone przydziały, zrozumieją. Teraz wszystko uległo zmianie. Co innego bowiem, jak o nędzarce myśli się, ach, co wojna zrobiła z tej eleganckiej Naty, pamiętam ją jeszcze w breitszwancach i w kapelusiku z woalką, a ta jej rodzina!, i przez pryzmat tego co było oceniana się pobłażliwiej niezaradność życiową i inne braki, a co innego kiedy nędza stanowi *status quo* bez żadnego podkładu, a instynkt samoobrony nie pozwala wglębiać się w różne „dlaczego“. Co prawda po pewnym czasie także ci wiedzący przyzwyczajają się do stanu faktycznego i jeżeli ofiara losu za bardzo i za długo żeruje na przeszłości — odrzucają ją z pardonem albo bez. W prymitywnej walce o byt, a taka była w obozie, człowiek jest sam, i od niego tylko zależy, czy da się złamać czy jak trzcina oprze się najstraszniejszym wichrom.

Uczyłam się żyć od nowa, inaczej niż byłam wychowana i przyzwyczajona. Niemile zaskoczona, po pierwszych oporach zakasałam rękawy i stanęłam na nogi. Głodem, mrozem, nędzą, samotnością, w cierpieniu własnym i ogólnym, dawało mi życie lekcję, do jakiej nigdy nie miałam okazji. Nie mając innej rady zaczęłam zwalczać w sobie „burżuazyjne“ przesady i nawyki, delikatność, nieśmiałość, niechęć do pchania się i przepychania. Zmieniałam się, twardniałam, dostosowywałam do warunków, parta nieświadomą ale przemożną chęcią życia, w jego najbardziej nagiej formie. Było nas więcej takich, byłych kobiet-laleczek, kobiet-pieszczotek, które wojna zamieniała w pełnowartościowych ludzi, o wiele więcej niż mężczyzn. Zdobyłam w obozie nowe przyjaźni, nową rodzinę, na całe życie.

WALKA O LEPSZE MIEJSCE: Z dużego terenu przeprowadzono nas na znacznie mniejszy, pokryty błotem do pasa. Mieszkaliśmy teraz w olbrzymim

baraku z betonu, przedzielonym cienkimi przepierzeniami na mniejsze jednostki. Barak nazywał się Blok 10 — Sonderlager, że niby „cudzoziemcy“. Zostało nas około 1.000. Dach baraku przeciekał, więc podczas deszczów, a padało, padało bez przerwy, spaliliśmy z miskami na pledach; nieliczni posiadacze parasoli rozpinali je w nocy nad pryzcami, widok co najmniej egzotyczny.

Przy zajmowaniu pryzek obozowi zaradniacy, tzw. „binochy“, wykazywali swoje talenty „organizacyjne“, toteż awantury godne lepszej sprawy cechowały tę pierwszą przeprowadzkę, jak i wszystkie następne. Bo na krócej czy na dłużej każdy chciał mieć lepszą pryzkę, to jest koło jednego z dwóch barakowych okienek, pod jedyną lampą, czy koło ściany, no, tam gdzie można było stworzyć „kącik“ dla siebie. Prycza to był przecież cały nasz dom, czy można więc dziwić się ludziom w obozie, kiedy dzisiaj, nawet w autobusie na 15-minutową drogę, staramy się wybrać dla siebie „najlepsze“ miejsce. Po pewnym czasie, zresztą, każdy przyzwyczajał się do swojej pryzki i trudno go było namówić żeby ją zmienił, z takich czy innych barakowych względów.

Centrum baraku stanowił nieduży żelazny piecyk z rurą, wokoło którego skupiał się cały ruch. Mimo że wybierana przez barak „piecowa“ zapisywała kolejkę do gotowania czy do grzania, nie obywało się bez skandali, ta za długo pichci, tamten wykazuje zbyt małą gorliwość w dokładaniu brykietów, „ja tylko na minutkę, dla chorego męża“, „znamy tę minutkę, i od kiedy to masz męża?!“ Nasze kulinarne wyuczyny ograniczały się do gotowania tzw. „chlebówki“, czyli wodnistej zupy, na którą składało się kilkanaście kostek brukwi, kilka kawałków chleba, dużo czarnej soli z pieprzem i mnóstwo wody. Zupa była gorąca i było jej dużo, napompowany żołądek dawał na krótko złudzenie sytości.

Miałam szczęście i pecha jednocześnie, bo dostałam pryzkę koło piecyka. Szczęście, bo było cieplej, a pecha, bo wszyscy siadali lub opierali się o moją pryzkę, a ja bałam się panicznie zawszczenia. Jak i reszta urządziłam ciągłe awantury, uważając je za rodzaj ćwiczenia w zwalczaniu nieśmiałości. Byłam co prawda zawsze przegrana, ale miały te pyskówki swoje pedagogiczne znaczenie: stanowiły ujście dla nerwów, zabijały czas, rodziły także obozowe przyjaźni i nienawiści.

WSZĘDZIE BŁOTO, BŁOTO: Byliśmy już w Bergen-Belzen około pół roku. Przydziały były coraz mniejsze i mniej sytne, byliśmy coraz bardziej głodni i słabi. Wraz z głodem zwiększyła się ilość kradzieży, rozpanoszyła korrupcja, co było logicznym rezultatem niemieckich „metod“, a możliwe że i w zgodzie z prawami i nieobozowego życia. Kradziono wszystko co było jadalne i co można było zamienić na coś do jedzenia; na obozowej giełdzie chleb był najtwardszą walutą, której wartość ustalano w dolarach, brylantach, ciuchach. Kradziono z kotłów, z walizek, spod pleców na pryzkach, skąd się tylko dało. Najodważniejsi, albo najbardziej zdesperowani, robili wypadki do niemieckiej kuchni, albo wyłapywali ile się dało z kopców kartofli i brukwi przed kuchnią, z narażeniem życia. Nie myślę, dzisiaj, żeby słowo „kradzież“ było odpowiednie dla większości popełnianych występków: moralność obozowego życia i jej prawa, ukształtowane przez twórców obozów i przez wojnę, były i musiałyby być inne niż w czasie pokoju. Dziwić się tylko można, że olbrzymia większość obozowiczów miała tyle siły charakteru albo może była tak już słaba, że jeszcze wciąż trzymała się kurczowo anachronicznych w naszych warunkach zasad. Po prostu ginęli w oczach, a na kradzieże nie mogli się zdobyć. Tym niemniej, nie sądząc tych którzy kradli, stwierdzić muszę, że w wyniku ich „zaradności“ mała grupa binochów jadła więcej, podczas kiedy reszta nie dostawała w całości i tak głodowych przydziałów. Od tego czasu zostało mi, że nie lubię posiadających władzę, za silnych, za zaradnych, za szczęśliwych, o ile tacy są; moje serce jest zawsze ze słabymi.

Nieporządna z natury, kilka razy padłam ofiarą kradzieży: zabrano mi bochenek chleba uciulany na czarną godzinę, dwie złote monety i branzoletkę, chowane na „po wojnie“. Musiałam bardziej uważać, zaczęłam być podejrzliwa. Coraz bardziej głodna zrezygnowałam z dotychczasowej obojętności wobec przydziałów, wyklócałam się o wszystko jak inni, szczególnie że było jeszcze dziecko, coraz szczuplejsze i słabsze, „chlebka“, wołał, „mamo chlebka“, gdy czteroletni organizm nie mógł strawić zupy na liściach i robakach.

Zalewało nas błoto, moralnie i fizycznie. Wszędzie brodziło się w brudnej, cuchnącej papce. Od tego czasu słowo

TEŻ ŻYŁO (II)

„źle“ łączy się dla mnie z błotem. Jako tako broniliśmy się przed moralnym błotem, trudniej było przed tym prawdziwym. Nie mieliśmy obuwia.

Wraz z nadzieją rozpadały się także pantofle, w których nas zabrano. Eh, powiecie dzisiaj, zawsze przecież coś tam było. Jeżeli obuwem można nazwać kawałek drzewa oblepionego filcem, macie rację. Filc odlepił się od drzewa, bo obuwie preparowane było przez amatorów za 40 deko chleba; raz palce były w błocie, raz pięty, najczęściej cała noga. Kto sam nigdy nie był zimą bez butów, nie zrozumie.

Kiedyś Niemcy przysłali nam olbrzymie drewniane saboty, po parze na 15 osób. Jak wielu innych i ja nie mogłam korzystać z tych sabotów, bo zaraz puchły mi nogi, po tym jak dobrze namęczyłam się, żeby wyciągnąć je z błota. Normalne pantofle kosztowały 5—6 kilo chleba, równowartość dużego brylantu, lub sctki dolarów.

Dużo później, kiedy zostało nas już tylko około 500, Niemcy zaczęli przysyłać nam stopy starych butów, często nie do pary. „Z czyich, czyich nóg?“, pytałyśmy siebie wzrokiem, dopasowując wiadomego pochodzenia obuwie, którego fasony czy pobródźzona skóra snuły opowieści bez końca o ludziach, którzy je nosili, których już nie było. Tym, którzy przeżyli, obuwiane komplekсы i obsesje pozostały długie lata po wojnie.

Przez dwie obozowe zimy ani razu nie miałam suchych nóg i trzeba było mego końskiego zdrowia, żeby nie zachorować nawet na tak popularną gryję. Ciężkie warunki albo wykańczają ludzi, albo hartują; mnie zahartowały, korzystałam przecież ze szczodrego zapasu tłustych lat. Nieraz jednak marzyłam, żeby umrzeć na krótko, żeby zachorować, nie czuć i nie myśleć. Nic z tego, prócz jakichś tam głodowych zawrotów głowy, czy biegunek, obozowe drobiazgi, byłam zupełnie zdrowa.

NIEMIECKIE SZYKANY: Było to tym dziwniejsze, że właśnie w najgorsze pogody zaczęły się niemieckie szykany, które tak wielu położyły. Najpierw były apele z miskami. Jeden z nadzorujących nas Niemców, którego nazywaliśmy „Śmieszek“ od głupkowatego uśmiechu przyklepionego do ptasiej twarzy pół-głupka, doszedł do wniosku, że chorujemy na tyfus z powodu brudnych naczyń, rudych blaszanych misek i 0.70 litrowych kubków. Naczynia były

nie tyle brudne ile poobijane i przypalone, na co nie mieliśmy żadnej rady. Śmieszek wypędzał nas kilka razy dziennie do apelu z naczyniami, które musiały błyszczeć jak guziki jego munduru. Deszcz, śnieg, wichura, godzinami bez końca stoimy w szeregach, fioletowi, zieloni, drżący i przemoczeni do szpiku kości, dbający tylko o to, żeby miska lśniła jak brylant, jak iza. Wycierałiśmy je paltami, lub pledami, w które byliśmy okutani, pluliśmy na nie, a potem pucowali na glanc, żeby nie zasły parą lub nie zmoczyły się na deszczu, inaczej Śmieszek trzaśnie kogoś w głowę, albo każe stać jeszcze kilka godzin. Z sinych ust padał czasem cichy dowcip, wmawialiśmy sobie z wisielczym humorem, że w końcu my jego zmęczymy.

Ale skąd! Kiedy przeszedł mu bzik naczyniowy, który większość z nas odchorowała, nastąpił okres „generalnych porządków“. Setki razy dziennie, tam i z powrotem, po deszczu i błocie, fruwały nasze lary i penaty, z pryczami włącznie, a kamienna podłoga baraku myta była iza. Muszę pochwalić się, że raz stałam się bohaterką mimo woli, bo Śmieszek zezłościł się na widok moich niezbyt zręcznych wyczynów w zakresie sprzątnięcia, dał mi kilka kopniaków i własnoręcznie sprzątnął moją pryczę, w czym Bubuś pomagał mu z dużą gorliwością. To „pokazowe“ sprzątnięcie było przez krótki czas tematem dnia.

Kiedy i to mu się znudziło, rozpoczął zabawę z naczyniami do siusiania, często tymi samymi miskami, które musieliśmy używać do zupy. Fi donc, ktoś skrzywi się. Dla nas to nie fi donc, tylko życiowa konieczność ze względu na osłabione pęcherze i niemożliwość dostania się w ciemnościach do położonej za barakiem jedynej ubikacji. Śmieszek zrobił kiedyś inspekcję nad ranem i na pryczy adwokata B., jednego z najkulturalniejszych naszych ludzi, znalazł naczynie z pełnym litrażem. „Co w misce“, warknął, na co adwokat odpowiedział niemczyzną Goethego, że mocz. „Wypij!“, padł rozkaz. Biedny mecenas nie zdobył się na tyle stoicyzmu, wobec czego poszedł do bunkra, z którego już nie wrócił, a dla nas zaczęły się nowe szykany, z nocnymi wypadami, karami, apelami, zabieraniem przydziałów itp. Zabawialiśmy niebezpieczny płyn czarną kawą, chowali naczynia pod głowę, baliśmy się bardzo, ale nie byliśmy w stanie zrezygnować. Przedziwne sceny działy się w nocy,

kiedy tylko w ciszy baraku rozległ się stuk butów, a po ścianach zaczynał pełzać chybotliwy płomyk świecy... Ale i to przeszło.

NIE SAMĄ TYLKO ZUPĄ... Żeby zapomnieć o szykanach i cierpieniach, obozowa młodzież z moim bratem Stasiem na czele urządziła od czasu do czasu „wieczory literackie“. Szesnastoletnia Nina Gitler deklamowała własne wiersze o ghetowych dzieciach, kilku chłopców z ŻObu opowiadało o powstaniu w ghecie warszawskim, Stasio odczytał wstrząsające sprawozdanie o Umschlagplatzu, inni recytowali zapamiętane wiersze wielkich poetów, których słowa służyły się jak złota nić, a czasem krzyczały poetyckim buntem. Wieczory te kontynuowaliśmy, dawały nam tak bardzo dużo!, chociaż sprzeciwiali im się członkowie tzw. lwowskiej grupy, jeszcze tchórzliwi, bo mniej przeszli od nas, jeszcze „praworządni“, bo wierzyli, że to ich może uratować.

Ale my, z Warszawy, Łodzi czy Lublina, wiedzieliśmy lepiej. Żyliśmy przecież tylko dlatego, że postępowaliśmy wbrew i na przekór niemieckim be-

(Dokończenie na str. 16)

WESOŁEGO
ALLELUJA

życzy

WSZYSTKIM KLIENTOM

I DOSTAWCOM

L. SCHWEIZER Ltd.

IMPORT I HURT ŻYWNOSCI

55, Farringdon Road,

London, E.C. 1.

Tel.: CHA 7257, 9610

SZYBKO I TANIO!
Biuletyny, ulotki reklamowe,
druki jedno- i wielobarwne
w y k o n u j ą
ZAKŁADY GRAFICZNE
GRYF PRINTERS (H.C.) LTD.
171, Battersea Church Road,
LONDON, S.W. 11.
Tel. BAT 0879

scheidom, a poza tym, byliśmy już do-
syć „nastraszeni“, wiedzieliśmy, że ludz-
kie prawa są dla ludzi, a my dla Niem-
ców nie byliśmy ludźmi, tak jak i oni
dla nas. Wyciągaliśmy więc nici z nie-
mieckich koców, szliśmy z tych koców
ubrania dla siebie i dla dzieci, komu-
nikowaliśmy się przez druty z kaelow-
cami, a nawet, tak, dostawaliśmy od
nich gazety, chociaż każda z tych rzeczy
oddzielnie mogła grozić śmiercią. „Jak
nie wolno to prędko“, stało się naszym
hasłem, i nawet ja, prawniczka z wy-
kształcenia, po zwalczeniu w sobie
pierwszych legalistycznych zastrzeżeń,
włączyłam się do ogólnego prądu. Zbio-
rowa odpowiedzialność? Oczywiście, gro-
ziła, ale co zmieliśmy zrobić, pół-nadzy,
bosi, głodni i zmarnięci, w nieludzkim
świecie. Wedle „kadenowskiej filozofii
podszewki“ poza frontonem człowieka
kryje się zawsze ciemny egoizm
i ciemny egotyzm, a cóż dopiero w KL
Bergen-Belzen, Tym ważniejsze, pięk-
niejsze i bardziej bohaterские były wszel-
kie przejawy ducha i ludzkości, a i tych
nie brakowało.

W tym okresie od moralnego, a co
za tym idzie i fizycznego wykończenia
ratował nas prosty chłopak ze Stawek,
tzw. „Kolumbia“, bo był w obozie na
papierach tego kraju, o którego istnie-
niu nie wiedział do chwili, gdy po wy-
skoczeniu z pociągu śmierci przestąpił
progi Hotelu Polskiego. Kolumbia or-
ganizował gazety, skrawki gazet i wiad-
omości radiowe. Odważny jak niewielu
i na dodatek wielki spryciarz, kontak-
tował się Kolumbia przez druty z Ho-
lendrami z sąsiedniego obozu i z kael-
owcami różnych narodowości, których
zatrudniali Niemcy. Za chleb i papie-
rosy, czasem za darmo, za uśmiech czy
dobre słowo, dostawał Kolumbia gazy-
ty, które ludzie kradli od Niemców.
Jak wszystkie inne „kradzieże“, a może
i więcej, i te groziły biciem, bunkrem,
rozszarpaniem przez psy, śmiercią w
gazie lub od kuli. Ale wiadomości do-
dawały ognia zamierającej nadziei, głód
ich był silniejszy od obawy przed śmier-
cią, która zresztą stała się tak już co-
dziennym chlebem, że mało kogo prze-
rażała, Strach przed śmiercią jest pro-
porcjonalny do żądzy życia, a w nas
żądza życia była już bardzo przytę-
piona.

„No, i co ty mówisz na dzisiejszy
tramwaj?“, „Tak, mam tramwaj pod
siennikiem, ale uważaj“, zły tramwaj,
dobry tramwaj, te enigmatyczne słowa
stanowiły naszą świętą tajemnicę, któ-
rej nikt nigdy, do samego gorzkiego
czy dobrego końca nie zdradził.

Na pryczy, w najdalszym kącie ba-
raku, siedzieliśmy jeden za drugim jak
w tramwaju, wobec czego dla bezpie-
czeństwa nazwaliśmy czytanie gazety
„tramwajem“. Kiedy po raz pierwszy

grupka najbardziej politycznie nastaw-
wionych ludzi zdobyła skrawek gazety
sprzed miesiąca, wrzuceniu nie było
końca. Gadzinówka czy nie, gazeta sta-
nowiła dla nas oddech jeszcze wolnego
świata, namiastkę marzenia i nadziei.
Przed drukowaną stronicą rozstępowały
się druty, pękały granice, ginęli straż-
nicy z trupimi czaszkami, znikają dzia-
siaj. Ktoś pełnił zawsze straż przed
barakiem, oddzielaliśmy się kocem od
reszty, podnieceni, niespokojni, głodni
nowin jak chleba, wsłuchiwałam się
w słowa referentów z inżynierem So-
wiejczykiem na czele. Zdrajca Badoglio,
pisali Niemcy, a myśmy czytali, włoski
generał o pieszczącym ucho nazwisku
przeszedł na stronę Aliantów. Na Monte
Cassino wyrosły maki po polskich bo-
haterach, czytaliśmy, i myśl unosiła nas
do klasztoru czerwonego od krwi, czyjej
krwi?, i maków. Niebieszczył się Don,
srebrzył Dniestr, migotał Dniepr, Kirow
kreślił nam się z Kijowem, padały nazwy
dalekich miast, znanych-nieznanych, z
ludźmi jak my, którzy już może byli
wolni. Cieszyliśmy się z „wesołego ką-
cika“ niemieckich nekrologów, coraz po-
kaźniejszego; błogosławiliśmy amery-
kańskich żołnierzy, tylko przedzej, przed-
zej, błagaliśmy niemią modlitwą. Nieu-
dany zamach na Hitlera bardzo bolał,
mogliśmy już być wolni, a tak, kto
wie, kto doczeka. Przetrwał z nami
tramwaj do końca.

Do innych rozrywek duchowych, w do-
słownym tego słowa znaczeniu, bo z
udziałem duchów, należały seanse spi-
rytystyczne urządzone przez warszaw-
skiego aktora, Różę-Rytowskiego, w zro-
bionej z koców „separatce“ rodziców
jedyne naszego niemowlęcia, Janki i
Stefana M. Poruszające się pod hyp-

nozą brudną ręką na arkuszu białego
papieru z wyrzowanym alfabetem; od-
powiedzi duchów, Napoleona, Temisto-
klesa i innych jak „dziecko“, „kole-
jarz“ itp. pasjonowały nas do nieprzy-
tomności. Na seansie przychodziła obo-
zowa „elita“, trzeba było szukać pro-
tekcji taty Stefana i mistrza Rytow-
skiego, aby dostać się do sanktuarium
za brudnym kocem. Niemowlę wrzesz-
czało w niebogłoso, całkiem bez sza-
cunku dla zaświatowych potęg, kobiety
dostawały hysterii, mężczyźni chrząkali
i stękali na znak podziwu i zrozumie-
nia. W małym cyganku palił się bez
przerwy ogień, bo zaradny Stefan do-
stawał extra brykiety, duszno było nie
do wytrzymania, stan osłabienia gło-
dowego bardzo ułatwiał komunikację z
zaświatem, od którego nie byliśmy już
daleko. W brudnym półmroku Rytow-
ski dyktował grobowym głosem litery,
które potem ktoś odcyfrowywał.

Duchy nie były łaskawe, odpowiedzi
ich rzadko mogły nas pocieszyć. Biedny
Rytowski nawet własną bliską śmierć
wyczytał, duchy omyliły się tylko o
kilka miesięcy. Najczęściej pytałśmy
o wyjazd, a informacje z drugiego świa-
ta pomnażały ilość terminów jakie mie-
liśmy z innych źródeł. Tym niemniej
romantyka seansów nadawała barwę
ponurej beznadziei, pozwalała zapomnieć
o czarnej rzeczywistości.

Nierealne, oderwane od czasu i prze-
strzeni seanse spirytystyczne bardziej
mnie emocjonowały niż konkretne fakty
„tramwaju“. Brutalnie wyrwana ze
wszystkiego w czym wyrosłam, nie-
bardzo jeszcze wiedziałam, co zrobić
z wolnością, jeśli dożyję. Bałam się,
wolałam nie myśleć, a już na pewno
nie planować. c.d.n.

Co wysłać teraz ?

Po co pudłować skoro poinformuje najlepiej najnowszy
biuletyn TAZABA ★ ★ ★ (TRZY GWIAZDY)

„POLO“ bluzki, z kołnierzykiem lub „Golfy“? Ortaliony? Jeżeli — to tylko
dobre i z wszystkimi „szykanami“ bo dobry gatunek najlepiej się optaca.

OSTRZA do golenia „Gillette Super Silver“, kalkulujące się u TAZABA:
£1 ca: 500 zł, sprzedają się „jak bułki“ po 12—15 zł. za sztukę (cło 75 gr. za
szukę). Łącznie z wysyłką: 50 szt. 29/6; 100 szt. 55/-; 500 szt. £12,15.0;
1000 szt. £22.15.0.

Biuletynami ★ ★ ★, najnowszymi cennikami najbardziej aktualnych leków
angielskich, niemieckich, szwajcarskich i doświadczeniem 20 lat służy

Największy na świecie Polski Dom Wysyłkowy

TAZAB

22, ROLAND GARDENS, LONDON, S.W.7.
100 EAST 10th STREET, NEW YORK,
TEL. ALGONQUIN 4-4161

20 RUE LEGENDRE, PARIS 17e. — TEL. WAG 0645

NIEMCY ZACHODNIE.

Stan liczebny sojusznicznych oddziałów stacjonowanych w N.R.F., który obecnie wynosi około 431.000 zostanie prawdopodobnie w ciągu bieżącego roku zmniejszony o ok. 50.000. Przewiduje się redukcję amerykańskich oddziałów o ok. 35.000, brytyjskich o 6.000 i francuskich o pięć do sześć tysięcy. Redukcje te mogą być jeszcze znaczniejsze, jeśli nie dojdzie do porozumienia między Bonn a Waszyngtonem względnie Londynem w sprawie wyrównania kosztów utrzymania sił anglosaskich przez N.R.F. Dotychczasowa umowa amerykańsko-niemiecka w tej sprawie wygasa 30 czerwca, a brytyjsko-niemiecka już 31 marca. Dotychczasowe pertraktacje nie dały rezultatu, bo rząd niemiecki broni się przed zwiększeniem zakupów sprzętu amerykańskiego czy brytyjskiego, a Bank Federalny we Frankfurcie przed nabyciem większej ilości amerykańskich papierów wartościowych, jak się domaga Waszyngton.

Jak wykazały lekarskie badania poborowych, nawet stan roczników wojennych (1940—1946) jest pod względem zdrowotnym dobry, bowiem aż 75% uznano za w pełni zdolnych, 16% za warunkowo zdolnych, 5% za przejściowo niezdolnych i tylko 3% za stale niezdolnych.

Jeśli idzie o nastroje wśród zwalnianych do rezerwy poborowych, to, jak wykazały powszechne badania, 37% wynosi ze służby wojskowej lepsze wrażenie niż się spodziewało, 33% znalazło w służbie to, czego się spodziewało, a tylko 27% doznało rozczarowania.

Pewne niezadowolenie panuje natomiast w korpusie oficerskim, nie tylko w związku z niedoborem około 4.300 oficerów i nadmiarem kursów, ale także w związku z rzekomymi niesprawiedliwościami w awansach, w których podobno dużą rolę odgrywają różne klikki, nazywane złośliwie „Seilschaften mit Flaschenzügen“ (linowe zespoły windowane przez dźwigary). W tej ostatniej sprawie interweniował „Bundeswehr-Verband“ (związek zawodowych żołnierzy) i toczą się podobno dochodzenia.

Choć inspektor wojska, gen. Moll, przewiduje przeszkolenie wszystkich młodszych oficerów na kursach spadochronowych i guerillasowskich, płk. w stanie spoczynku Studnitz, autor kontrowersyjnej książki „Rettet die Bundeswehr“, bije na alarm z powodu niedostatecznie twardego systemu szkolenia i wychowania „Bundeswehry“.

Po dostarczeniu zamówionych już 340 dodatkowych czołgów średnich „Leo-

pard“, ich ogólna ilość w oddziałach wzrośnie do 1.800. Jeśli zaś idzie o najnowocześniejsze czołgi ciężkie „70“, budowane wspólnie przez wytwórnie amerykańskie i niemieckie, to „Bundeswehr“ otrzyma w bieżącym roku 8 ich prototypów do wypróbowania. Czołgi te są niezwykle szybkie i niskie (zaledwie 239 cm do szczytu wieży — przed dodatkowym obniżeniem), zabezpieczają załogę przed radioaktywnymi promieniami i mają mieć w dwóch wieżach dział 120 mm. i wyrzutnie kierowanych rakiet o kalibrze 150 mm. Nie dziw, że nawet przy seryjnej produkcji 1.500 sztuk, poszczególny czołg ma kosztować 2,1 do 2,2 milionów marek.

UKŁAD WARSZAWSKI

Pod koniec ub. roku odbyła się konferencja, a raczej odprawa naczelnych polityków sił zbrojnych państw związanych układem warszawskim. Oto ich nazwiska: sowieccy generałowie Jepiszew i Wasjagin, polski gen. a były oficer sowiecki Urbanowicz, czeskosłowacki gen. Prchlik, rumuński gen. Coman, bułgarski gen. Czernew, węgierski gen. Borbandi i wschodnio-niemiecki wiceadmirał Verner. Niechybnie urządzili wzmocnienie obróbki „ideologicznej“.

Naczelny dowódca sił zbrojnych państw związanych układem warszawskim, marszałek Jakubowski, stwierdził wprawdzie niedawno na konferencji naukowej w Moskwie, że „armie krajów socjalistycznych przewyższają wojska NATO we wszystkich podstawowych wskaźnikach“, jednak zakończył swe przemówienie niezbyt logicznym wnioskiem, że „wobec agresywności imperializmu kraje układu warszawskiego muszą umacniać tę organizację jako tarczę przeciwko agresywnym zakusom imperializmu“.

NIEMCY WSCHODNIE

Ze zgola innych powodów wschodnio-niemiecki „Grenzschutz“ wzmocnił w ubiegłym roku dodatkowo żelazną kurtynę. Otrzymała na przestrzeni 700 mil drugie pasy zasieków, a na przestrzeni 300 mil pola minowe. Ilość wież strażniczych zwiększono do 616.

Ostatnio ujawniono ilość ofiar tzw. powstania berlińskiego z 1953 roku. Antykomunistycznych demonstrantów poległo wówczas 267, a 1.071 było rannych, gdy straty oddziałów sowieckich i wschodnio-niemieckich wyniosły 116 poległych i 645 rannych. Niezależnie od tego rozstrzelano 155, w tym sporo żołnierzy wschodnio-niemieckiej VOPO,

którzy się zbuntowali, oraz zastrzelono lub zraniono 60 osób, które po godzinie policyjnej znalazły się na ulicach.

CZESCHOSŁOWACJA

Choć oficjalny budżet resortu obrony stanowi tylko 8,9% całego budżetu państwowego wynoszącego blisko 145 miliardów koron, wszyscy żołnierze zasadniczej służby otrzymują w roku bieżącym, wysokiej jakości i nowoczesne mundury wyjściowe. Oznaki stopni, noszone na rękawach, ulegną zmianom.

Kage

BILETY

**KOLEJOWE,
SAMOLOTOWE,
OKRĘTOWE**

•

Formalności związane
ze sprowadzaniem rodzin
z Kraju
oraz wyjazdy do Polski.

Szybko, sprawnie, tanio

z a ł a t w i a

TAZAB TRAVEL LTD

273, Old Brompton Road,
LONDON, S.W. 5
Tel. FRE 1186

•

MANCHESTER 16
47, Gt. Western St.
Tel. Moss Side 4683

•

BIRMINGHAM 2
39, Corporation Street
Tel. MID 1526

PODSTAWĄ ISTNIENIA PISMA
JEST REGULARNIE OPLACANA
PRENUMERATA

Autor tej relacji, zmarły w grudniu ub. roku, zajmował jedno z czołowych miejsc w naszym życiu umysłowym i społecznym. Relacja spisana na kilka miesięcy przed zgonem obejmuje czas od wybuchu 2-ej wojny światowej do 18 marca 1943, tj. do chwili aresztowania śp. prof. Zaleskiego przez Niemców i stanowi cenny przyczynek do dziejów tego okresu.

DNIA 1 września 1939 roku świąciliśmy w Radomiu wraz z żoną moją Marią ze Zdziarskich i synem Andrzejem rocznicę bohaterskiej śmierci Tereni Grodzińskiej, sanitariuszki 4 p.p. Tu zastała nas wojna. Syn Andrzej już pod bombami zdawał egzamin wyznaczony przez jego władze szkolne w Rydzynie. Odwiedziliśmy groby moich rodziców i pojechaliśmy do Warszawy. 2-go żegnaliśmy brata żony Tadeusza, który jako porucznik rezerwy wyjeżdżał do swego batalionu do Modlina. 3-go żona odnalazła urzędującego już nie w ministerstwie wojny a na placu Unii Lubelskiej generała Rupperta, szefa sanitarnego i zgłosiła się do niego o przydział na lekarza batalionu. Otrzymałszy odpowiedź, że służba sanitarna jest doskonale zorganizowana i jej pomocy jako lekarza nie potrzebują, postanowiła wrócić do Grotowic i starać się zorganizować służbę sanitarną dla ludności cywilnej. Andrzej w Warszawie zamieszkał u brata mego Stefana, profesora Uniwersytetu, a później wybitnego działacza i organizatora szkolnictwa wyższego pod okupacją. Ja sam zamieszkałem u zacnego kolegi z Politechniki Warszawskiej, Kazimierza Węgrzeckiego przy ulicy Koszykowej 47, gdzie pełniłem jako ochotnik obowiązki w O.P.L. (Obrona przeciwlotnicza). Dźwigając ciężkie worki z piaskiem czy żywnością, nabawiłem się przepukliny.

5-go grudnia operował mnie dyrektor szpitala Wolskiego, bohaterski doktor Marian Piasecki, kolega mej żony. Już w czasie ozdrowienia otrzymałem przywiezione przez emisariusza Srokę wezwanie do powrotu na placówkę zajmowaną od 1925 roku — delegata Ministra W.R. i O.P. do spraw naukowych we Francji.¹⁾

W lutym 1940 roku wyruszyliśmy w drogę z synem Andrzejem przez Kraków i Szczawnicę, zostawiając żonę i

ZYGMUNT L. ZALESKI

Moja działalność w czasie

troje młodszych dzieci: Kazimierza-Piotra, Romana i Monikę w Grotowicach. Dnia 17 lutego pożegnaliśmy kraj ojczysty. Odprowadzał nas do miejsca gdzie zaczynała się dość stroma droga górską, pełna śniegu, profesor, później rektor Uniwersytetu Poznańskiego, Stefan Dąbrowski (dostałem od niego kapelusz i niezmiernie cenną flaszeczkę z coraminą). Droga była ciężka. Opisałem ją natychmiast po przybyciu do Budapesztu. Relacja ta została ogłoszona drukiem w „Orle Białym“.

Po przybyciu do Paryża, 18 marca 1940, jeśli mnie pamięć nie myli — objąłem moje obowiązki, witany serdecznie przez władze polskie, a zwłaszcza przez władze francuskie (prof. Albert Chatelet, dyrektor departamentu szkół średnich, prof. Paul Hazard, prof. André Mazon.) Ze zdziwieniem miałym spostrzegłem iż prof. St. Kot, pełniący wówczas obowiązki ministra, przyjął mnie nad wyraz oschle, każąc długo czekać i witając mnie słowami, które dobrze utkwily mi w pamięci: „Po co pan tu przyjechał? Cóż to — Pilsudczycy pana sprowadzili?“ Później pohamował się jednak i był bardziej uprzejmy, zaprosił mnie nawet na śniadanie do restauracji l'Univers. Gdy jednak rząd wyjechał do Angers, prof. Kot wezwał mnie i znowu potraktował w sposób wyraźnie niezyczliwy, polecając mi jednak kontynuowanie w zmienionych warunkach i w zmienionej formie, moich dawnych, przez wiele lat sprawowanych obowiązków.

Po klęsce Francji — po wahaniu — skorzystałem z ostatniej możliwości wyjazdu z Paryża i podążyłem najprzód do La Flèche, gdzie znajdował się już syn Andrzej w domu przyjaciół Francuzów (pp. de Monfort, rodziców Henryka), aby wkrótce wyruszyć do Limoges, gdzie u prezesa Trybunału, p. Joseph Babin — znaleźliśmy życzliwe bardzo przyjęcie i gościnę.

Już w Limoges mieliśmy sposobność wraz z Henrykiem de Montfort przeprowadzenia szeregu rozmów i gorących nieraz dyskusji z Francuzami różnych przekonań, ale całkowicie sprzecznych poglądów na położenie Francji po 18 czerwca 1940 roku. Wymienię tu — na chybił trafił — generała Duvala, który zdawał się pochwalać stanowisko zajęte przez gen. de Gaulle'a, ale zauważył przy tym jakby z odcieniem żalu: „malheureusement, il ne réussira pas...“ gdyż jest „trop hautain“ (w stosunku do kolegów) i nie zdoła uzyskać ich

współdziałania (tekst tej odpowiedzi nie jest prawdopodobnie dokładny, ale sens odpowiada całkowicie intencji mówiącego). Tenże gen. Duval powiedział nam, że „był świadkiem“ (chwilowego prawdopodobnie) „effondrement“ marsz. Pétain w czasie walk w Verdun. Wspomniał też wreszcie o swojej rozmowie — już po klęsce 1940 roku — z generałem Weygand, z którym łączyły go bliskie stosunki koleżeńskie. Na pytanie postawione przez gen. Duvala — „Czy sądzisz, że Foch w twoim położeniu głównodowodzącego postąpiłby (zastosowałby taką samą strategię) jak ty?“ — Weygand po namyśle miał odrzec: „Nie, nie sądzę...“

Ostre starcie z publicystą, współpracownikiem *Journal'a* oraz dłuższe przyjazne rozmowy z sędzią Marcellem Rouselet — późniejszym prezesem Trybunału 2-ej instancji (Cour d'Appel) w Paryżu, który będzie kiedyś sędził sprawę paryskiej Biblioteki Polskiej — utkwily mi specjalnie w pamięci.

W Limoges otrzymałem dwa listy, od Aleksandra Kawalkowskiego i od Adama Rose — oba wzywające abym zorganizował w strefie nieokupowanej gimnazjum polskie dla młodzieży przybyłej z Polski. Młodzież ta, wytracona przez wojnę z normalnego toru wymagała szczególnej opieki naukowej i wychowawczej. Równie palącą stawała się sprawa liczniejszych bodaj jeszcze zastępów tej młodzieży, która mając już ukończoną szkołę średnią, przerwała rozpoczęte w Polsce studia wyższe.

Natychmiast udałem się do Tuluzy, a później do Vichy i do Grenoble, aby zająć się tymi sprawami. Gimnazjum Polskie im. Cypriana Norwida, zorganizowane przez rektora Misji Katolickiej, ks. Fr. Cegielkę w Paryżu, zostało przez klęskę francuską całkowicie rozbite. Należało budować od fundamentów. Dla podkreślenia ciągłości organizacyjnej z piękną inicjatywą ks. Cegielki, zachowałem nazwę Liceum im. Cypriana Norwida. Z uczelni paryskiej przeszło do nowopowstałej w Villard de Lans dwóch bodaj zaledwie profesorów. Resztę w rozsypce trzeba było zastąpić nowymi siłami.

Pierwszą osobą zaangażowaną przeze mnie była spotkana przypadkiem w Tuluzie p. Jadwiga Alexandrowicz, inspektorka w Polsce przed wybuchem drugiej wojny światowej — równie pracowita jak „ideowa“, czasem nieco szorstka w obejściu — oddała wielkie usługi

¹⁾ Przed pierwszą wojną światową jako prezes Zjednoczenia Studentów Politechniki Warszawskiej zostałem aresztowany wraz z sekretarzem Zjednoczenia, Tadeuszem Łazowskim, i osadzony w X-ym Pawilonie Cytadeli Warszawskiej — cela 29. Po uwolnieniu uczestniczyłem w organizacji i kierownictwie Walki o Szkołę Polską (bojkot szkoły rosyjskiej). Aby uniknąć ponownego aresztowania wyjechałem do Monachium, a potem do Paryża.

2-ej wojny światowej

przy organizacji nowej uczelni.²⁾ Jako drugą z kolei osobę zwerbowałem prof. Wacława Godlewskiego, lektora Uniwersytetu w Lille i profesora Faculté Catholique. Odszukałem go — pamiętam — w Robiac, na południu Francji, w zacisznej plebanii uroczego księdza Bertrand. Siostrzeniec księdza, mieszkający z matką, profesor Marcel Malbos dał się również nakłonić do pracy w Liceum Villard de Lans, jako nauczyciel języka francuskiego.³⁾

Po upływie tylu lat i po tylu przejściach, wiele faktów i niemało nazwisk wysunęło się z mej pamięci. Tymczasem notuję po prostu w żywym nieładzie... Wysokiej miary katechetą — nie tylko doskonałym „duszpasterzem“, ale porywającym „pasterzem dusz“ stał się ksiądz Bozowski, którego w pewnym sensie „otrzymałem“ w Lourdes z dostojnych rąk księdza Kardynała Hlonda.

Ks. Bozowski objął swoje trudne obowiązki — trudne ze względu na dobór młodzieży i warunki wojenne po ustąpieniu z tego stanowiska wybitnego katechety ks. Chechelskiego.

Prawdziwym skarbem dla Liceum stał się profesor matematyki Ernest Berger, nie tylko jako wzorowy nauczyciel, ale przede wszystkim jako rozmiłowany w sztuce organizator i dyrygent chórów, które rozniósł szeroko sławę (nie lękam się zbytniej przesady używając tego słowa) chóru polskiego po całej niemal ówczesnej Francji, a raczej strefie nieokupowanej. Jeden wybitny talent śpiewaczy, Hernik, został zamordowany przez Niemców.

Dwa nazwiska — doskonałego łatinisty prof. Hrawasa i prof. chemii Gerhardta zachowała moja wdzięczna pamięć. Obaj równie dobrzy profesorem jak wytrawni pedagodzy zostali rozstrzelani przez Niemców. Myślę z przyjaznym uśmiechem o wszystko wiedzącym, rozproszonym pólmistyku, zwolenniku nauk ezoterycznych, prof.

²⁾ Stanisław Zabiello w swoich wspomnieniach pisze, że „musieliśmy się z nią rozstać“. Jest to oczywiście nieporozumienie. St. Zabiello, pełniący czynności delegata Rządu został zaarrestowany na krótko przede mną. Do dnia mego aresztowania nie było i nie mogło być mowy o usunięciu kogokolwiek bez mojej wiedzy i aprobaty.

³⁾ Prof. Marcel Malbos — na moje żądanie — spełnił bez wahania mileżkiem, misję wywiadowczą i ocalił w ten sposób wybitnego agenta angielskiego. Dziś jest p. Malbos dyrektorem doskonale prosperującej szkoły koedukacyjnej średniej (w Villard de Lans).

Tarło-Mazińskim, o którego prelekcji poeta Winczakiewicz złośliwie napisał: „Tarło się, tarło, rozmaziło się i umarło...“

Sportami i gimnastyką zajmował się atletyczny Budrewicz, któremu czasem wyobraźnia dyktowała dość niespodziane poczynania. Kiedyś, gdzieś koło północy zaalarmował mnie widocznie wystraszone, nastając gorąco, abym natychmiast opuścił szkołę i szukał bezpiecznego schronienia, gdyż grozi mi wielkie niebezpieczeństwo. Szczerze zirytowany odpowiedziałem mu jednak żartobliwie, żeby poszedł spać — mieszkał w pokoju naprzeciwko — a gdy nakłaniał mnie zbyt natarczywie do ucieczki, rzuciłem mu po prostu: „Kapitan statku — na ostatku!“ Alarm był istotnie fałszywy.

Życzliwie i po prostu wspomnę tu zanego profesora Żmigrodzkiego, cenionego wielce przez uczniów i kolegów. „Z miasta“ dojeżdżał doskonały profesor rysunków, znany architekt Zbigniew Puget.

Szukam — w tej chwili bezskutecznie — nazwiska inżyniera, który z małżonką zajmował się internatem. Pamiętam, że odbyłem z nimi miłą wycieczkę na szczyt Le Moncherolle. Potem zaangażowany został do tej odpowiedzialnej pracy i pełnił arcysumiennie swe obowiązki inż. Steffen.⁴⁾

Liceum Polskie w Villard de Lans było — z konieczności — szkołą koedukacyjną. Stąd potrzeba wyszukania odpowiednich sił nauczycielsko-wychowawczych kobiecych.

Prócz wspomnianej inspektorki Jadwigi Alexandrowicz posiadaliśmy w swoim gronie pełną powagi, taktu i doświadczenia p. Jadwigę Stefanowicz, polonistkę, oraz p. Zofię Łukasiewicz, siostrę ambasadora naszego w Paryżu, która wykładając biologię, opiekowała się równocześnie młodzieżą, i czyniła to z prawdziwie wzruszającą troskliwością i poświęceniem. Języka angielskiego uczyła p. Bolesława Keeler, równie entuzjastycznie jak „Zosia“ (tak nazywaliśmy p. Łukasiewicz) oddana sprawom szkoły w Villard de Lans.

Na specjalne podkreślenie zasługuje działalność administracyjna, równie przezorna jak owocna, zapewniająca w trudnych warunkach wojennych byt materialny zupełnie znośny całej instytu-

⁴⁾ Wynalezienie miejscowości i Hôtel du Parc zawdzięczała szkoła p. Korolko-Borowskiemu.

cji — p. Jadwigi Gostyńskiej, tzw. „Pani Inki“. Była to bratanica prezydenta Ignacego Mościckiego, którą zaangażowałem na proste polecenie p. Jurgielewiczowej, z domu Bujwidówny. Zasłużyła się p. Gostyńska specjalnie naszej instytucji organizując pracę wychowanków naszej szkoły na roli, na wynajętej w pobliżu okazji farmie. (Nigdy chyba nie powzieliśmy równie szybko decyzji). Inicjatywa równie ceniona z punktu widzenia materialnego dla dobrobytu szkoły, jak — bardziej jeszcze — z punktu widzenia wychowawczego, obywatelskiego...

Ponieważ w każdej działalności ludzkiej znaleźć się musi dechyta humoru — pozwolę sobie dygresyjnie — przytoczyć małe wydarzenie, oświetlające migawkowo styl naszego współżycia.

Czułem się zmuszony — od czasu do czasu — pod naciskiem okoliczności przemówić do zebranych w wielkiej jadalni kolegów-profesorów i uczącej się młodzieży. Tym razem przemawiałem wyłącznie pod adresem zebranych kolegów. Chodziło o to, aby podnieść nieco ton ogólny koleżeńskie współżycia, które zdawało się nabierać jakiejś niepożądanego formy rozdrażnienia, czy przygnębienia. Dotyczyło to zwłaszcza

(Dokończenie na str. 20)

KSIEGARNIA POLSKA W PARYŻU

123, Bld. Saint-Germain, PARIS 6.
Tel.: 326 04-42

OSTATNIE NOWOŚCI WYDAWNICZE

Hamel — „SŁOWNIK FRANCUSKO-POLSKI“ Fr. 20.00

Hamel — „SŁOWNIK POLSKO-FRANCUSKI“ Fr. 20.00

Marek Hlasko — „SOWA, CÓRKA PIEKARZA“
Nowa powieść znanego pisarza
206 stron Fr. 15.00

Zygmunt Zaremba — „SŁOWO O WACŁAWIE MACHAJSKIM“
Studium o polskim rewolucjonście, przyjacielu Stefana Żeromskiego
146 stron Fr. 9.00

Szymon Konarski — „O HERALDYCE I HERALDYCZNM SNOBIZMIE“

Źródłowy szkic historyczny
90 stron Fr. 12.00

— „POLSKA W PAMIĘTNIKACH GEN. de GAULLE'A, 1944—1946“ (wznowienie)

Wybór tekstów i przedmowa
Kajetana Morawskiego
40 stron Fr. 5.00

D R Z E W I E J . . .

Siódmy odcinek szkicu poświęconego przeszłości ziemi i człowieka.

Podczas, gdy na południu Słowianie opanowywali całe Bałkany, ich pobratymcy na północy szli ku zachodowi, a wschodnia ich gałąź parła na wschód i północny-wschód, gdzie doszli do jeziora Ilmen i w dorzecze górnej Oki.

Zwartą masą Słowianie zajmowali teraz Środkową Europę po Łabę, Czeski Las, rzekę Lech, górną Sawę i Drawę, i doszli do wybrzeży Adriatyku, gdzieś w okolicach dzisiejszego Triestu.

Taka zwarta „bariera“ słowiańska na wschód od Łaby, stanowiła bezspornie silną przeszkodę na drodze ekspansji wschodniej Państwa królów Frankonii.

Już od początków VI wieku datują się zabiegi Franków zmierzające do podporządkowania sobie poszczególnych plemion słowiańskich. Coraz więcej jest wzmianek o Słowianach w kronikach frankońskich. Z tekstu tych kronik widzimy dziś jasno jakim było ustosunkowanie się ówczesnego „Zachodu“ do Słowian. A także z kronik tych dowiadujemy się o istnieniu trzech, większą rolę odgrywających w ówczesnej Europie Środkowej, zgrupowań plemiennych zachodnio-słowiańskich.

Najsilniejszym wśród nich, terytorialnie i ludnościowo, było zgrupowanie Związku Wioletów.

Do plemion zgrupowanych w tym związku należeli: — Nieletycy, Doszanie, Wkrzanie, Retarowie, Doleńcy, Rzczanie, Czerezpienianie, Chyżanie i sami Wieleci.

Kronika zachodnio-europejska z IX

(Dokonczenie ze str. 19)

mężczyzn, którzy dotkliwiej być może odczuwali nieco pustelnicze — pomimo świadomie udzielanych urlopów — życie „Orlego Gniazda“ w Villard de Lans.

Otóż — słusznie czy niesłusznie — użyłem następującego zwrotu: Kochani Koledzy — Nie mogę z natury rzeczy nazwać niektórych z was „histerkami“, ale ponieważ nasze koleżanki pracujące w tych samych warunkach i przy tym samym warsztacie nie ulegają zupełnie epidemii hysterii, więc zmuszony jestem ostrzec Was przed niemłą „para-histerią“... Dostałem oklaski — nie wiem z czyjej strony. A tegoż jeszcze bodaj wieczora nasze koleżanki wręczyły mi dyplom na... „Kobietę honoris causa“. Miało to znaczyć, że i ja nie ulegam hysterii czy para-histerii.

(c.d.n.)

wieku, tzw. „Geograf Bawarski“ notuje na terytorium Wioletów 95 grodów obronnych na obszarze 4 ziem plemiennych.

Wioletowie byli ludem wojowniczym, prowadzili nieustanne wojny, z państwem Franków, Skandynawskimi Germanami, ze Związkiem Obodrytów i innymi plemionami słowiańskimi — a także i pomiędzy sobą. Ta typowo słowiańska niezgoda stała się źródłem późniejszego upadku i zniszczenia Słowian Połabskich przez ich germańskich sąsiadów.

Na zachód od Wioletów rozciągały się obszary Związku Obodrytów. Sięgali oni na Zachódzie do Morza Północnego przy ujściu Łaby. Na południu granica ich przebiegała wzdłuż rzeki Stepienicy.

Do związku tego należały zasadniczo 4 plemiona: — Wagrów, Połabian, Warńo i Obodrytów. „Geograf Bawarski“ notuje 53 grody obronne na terenie tego Związku. Nie był ten związek organizacją zwartą; często poszczególne plemiona odrywały się i prowadziły własną niezależną „politykę“ plemienną.

Wojny Związek Obodrytów prowadził z Frankami, Wioletami, Duńczykami i Sasami; i plemiona związkowe pomiędzy sobą.

Związek plemion Serbskich (Sorabskich), był organizacyjnie najsłabszym pomiędzy tych trzech związków. Właściwie tylko dwa razy w swej historii widzimy ich zjednoczonymi, i to nie na długo.

Pierwszy raz około 635 roku, pod rządami księcia Derwana, który sprzymierzył się z państwem Samona przeciwko Frankom. Drugi raz, pod wodzą księcia Miliducha, ok. 806 roku. Miliduch padł w boju z Frankami.

Do związku tego należały plemiona Niżan, Głomaczów, Nudzców, Susłów, Chotyców, Łużyczan, Milczan, Serbów, oraz Kołędyczan. Poza tymi plemionami należało jeszcze kilka bardzo małych plemion, względnie większych rodów niezależnych jak Żyrmunty, Plišni, Siempezyce i inni.

Królowie frankońscy, zgodnie ze swą tendencją roszczenia państwa w kierunku wschodnim, albo podbijali plemiona słowiańskie, albo narzucali im zależność trybutarną, a w każdym razie przez wpływy dyplomatyczne, lub intrygi na dworach książąt słowiańskich, przekupstwo a często też i przez pomoc w „znikaniu“ niewygodnych jednostek, mieszały się w wewnętrzne sprawy polityczne i społeczne tych państw, tak na nie wpływając, aby nic na

ich terenach nie działo się, co by mogło być przypadkiem nie na korzyść, lub wbrew interesom Państwa Franków.

W wewnętrznym życiu tych związków plemiennych słowiańskich widzimy częste różnice na tle politycznym, społecznym lub osobistym. A przy wrodzonej Słowianom niezgodliwości, o powody do walk wewnętrznych nigdy nie brakło. Były więc walki pomiędzy poszczególnymi książętami plemiennymi, walki w rodzinach książęcych, wreszcie wieczysta, zdałoby się, walka pomiędzy ludowym wiecem plemiennym a panującym księciem.

Te sytuacje wykorzystywali Germanie i zρέcznie wygrywali poszczególne elementy tych walk wewnętrznych na swoją korzyść. To Frankowie, to Sasi, to znów Duńczycy mieszały się w sprawy słowiańskie, i jeszcze więcej rozprzestrzeniały niezgodę i rozbięcie, gdzie tylko nadarzała się po temu okazja.

Skutki tych wpływów Zachodu na związek Obodrytów znalazły swój wyraz w zupełnym upadku władzy i instytucji wielko-księżęcej. Ostatnim Wielkim Księciem związkowym był Dobomysł (ok. 870 r.). Po jego śmierci (podobna był otruty przez agentów saskich), związek obodrycki rozpadł się na szereg małych, plemiennych państw.

Ostateczny upadek związków państwowych Słowian Połabskich nastąpił w XII wieku, ale wyraźne znamiona

BIBLIOTEKA „KULTURY“

TOM 151 — SERIA
„ARCHIWUM REWOLUCJI“

ALEKSANDER
WEISSBERG-CYBULSKI

WIELKA CZYSTKA

Przekład
ADAMA CIOLKOSZA

Ze wstępem
GUSTAWA
HERLINGA-GRUDZIŃSKIEGO

Wstrząsający dokument
z okresu stalinizmu.

Cena sh. 50/-, F 30, dol.6,50

początków tego upadku wystąpiły jednak już w wieku X-ym.

Przyczyn tego upadku należy dopatrywać się w słabości ustrojowej tych organizacji plemiennych. Rozwijająca się w VII, VIII i początkach IX wieku instytucja Związku pod prawie absolutną władzą Wielkiego Księcia, upadła już w drugiej połowie IX wieku. Jej miejsce zajęła instytucja plemiennego wiece ludowego. U niektórych plemion rozwinęła się także teokracja kapłanów plemiennych bóstw. Obie te formy władzy były z natury rzeczy słabe, przez ich niestałość, chwiejność i łatwość podlegania wpływom zewnętrznym oraz przekupstwu; nadmierne rozbudowanie roli wiece ludowego było już w tych czasach zupełnym anachronizmem. Istnienie tej instytucji hamowało, normalny w ówczesnej Europie, rozwój silnej, scentralizowanej władzy wielko-książęcej, która jedyna w tych czasach, mogłaby była zapewnić Słowianom Połabskim silną pozycję polityczną i militarną, a tym samym ocalić ich od zupełnej zagłady.

Agresja niemiecka od drugiej połowy X-go wieku zmienia nieco swoje metody działania w porównaniu z metodami z czasów Państwa Franków. Obok klasycznych sposobów ujarzmania przez nakładanie haraczu i branie zakładników, mają tu miejsce i konkretne zabory terytorialne, w ślad za którymi postępowali osadnicy niemieccy. Grody słowiańskie były obsadzone załogami wojskowymi niemieckimi, a świątynie bóstw słowiańskich równane z ziemią.

Na południe od ziem Słowian Połabskich, na ziemiach dzisiejszych Czech, Moraw, Słowacji i zachodnich Węgier, powstaje nowe państwo słowiańskie, które odegrało ważną rolę w ówczesnych czasach w Europie Środkowej. Jak sobie przypominamy, powstałe w VII wieku Państwo Samona, rozpadło się po jego śmierci na szereg państewek plemiennych, rządzonych przez miejscowe, rodzime, dynastie książęce. Tak przeszedł na tych ziemiach wiek VIII-y. Kulturalnie, był to okres rozwoju materialnego i społecznego. Pojawiają się nowe grody obronne. Specjalnie zaznacza się rozwój techniki w dziedzinie metalurgii żelaznej. Rolnictwo spokojnie się rozwijające, zapewnia dobrobyt ludności tych ziem.

Co do wydarzeń politycznych, to przez cały ten wiek ziemie te pędzą żywot raczej spokojny. Mało jest wzmianek o tych terenach w kronikach pisanych. Ze szczupłych, zachowanych danych, możemy się zorientować, że zachodził tam proces konsolidowania się władzy książęcej. Odbywało się to w warunkach stałego nacisku wojskowego i gospodarczego Franków. Zapewne

miejscowi książęta słowiańscy musieli płacić Frankom haracz i dawać im zakładników.

Jeszcze przed 800 rokiem zarysowały się wyraźnie na tych ziemiach dwa ośrodki władzy, świadczące o daleko posuniętej konsolidacji miejscowych plemion słowiańskich.

Jeden z tych ośrodków był w Velehradzie, gdzie rządził książę Mojmir; drugi zaś znajdował się w Nitrze, na Słowacji, gdzie znów rządził książę Pribina. W latach 833—836 Mojmir pokonał Pribinę, a ziemie jego włączył do swego księstwa.

W 822 roku, Mojmir wraz ze swym dworem i większością szlachty morawskiej przyjął Chrześc. Św. Przez fakt ten odjął Frankom i Niemcom jeden chociaż z pretekstów do ich ataków na Słowian.

Cesarstwo Zachodnie wciąż jednak szukało powodów do wtrącania się w sprawy słowiańskie. Gdy w 846 roku Mojmir umarł, Cesarz, Ludwik „Niemiec“, wprowadził na tron morawski młodego księcia Rościslawa, licząc, że od dziecka wychowany na dworze cesarskim, Rościslaw będzie szedł na rękę Frankom. Zawiódł się Cesarz jednak na nim. Rościslaw umocniwszy się na tronie morawskim, wcale nie miał zamiaru być lennikiem Cesarza. Kontynuował on w dalszym ciągu politykę swych poprzedników, politykę tworzenia silnego organizmu państwowego Słowian, w zupełnej niezależności od Zachodu czy Wschodu. Ludwik „niemiecki“, wyprawił się w 855 roku z dużą armią na Morawy. Chciał absolutnie „ukarać“ Rościslawa i zmusić go do uległości Cesarstwa. Wyprawa ta zakończyła się zupełną klęską Franków.

Cesarz nie mógł strawić tej, w sensie średniowiecznym, „hańby“, i w 859 roku znów idzie na Morawy z jeszcze silniejszą armią niż poprzednio. I znowu Cesarz ponosi „haniebną“ klęskę! — Ale tym razem Rościslaw nie zadawał się odparciem tylko najazdu — on

teraz z kolei najężdża ziemie cesarskie. Rozbił w Bawarii resztę sił Ludwika i po dokładnym złupieniu Bawarii „przejechał“ się ze swą kawalerią przez Turynię, też łupiąc niemało, i w tryumfie wrócił do Welehradu.

Był Rościslaw nie tylko zdolnym i odważnym żołnierzem, był on także i przewidującym politykiem. Nie tylko uniezależnił we państwo politycznie, ale także trafnie ocenił znaczenie religii w życiu ludzkim, i wagę organizacji Kościoła w życiu państwowym. Widząc, że organizacja kościelna Cesarstwa jest więcej organem politycznym w rękach władcy niż organem religii czy wykładnikiem wiary, postanawia uniezależnić się sam i swoje państwo od tego „Reichskirche“.

W 862 roku zwraca się Rościslaw do Cesarza Bizancjum, Michała, z prośbą o wysłanie na Morawy misjonarzy; postawił jednak jako warunek „sine qua non“, aby ci misjonarze głosili Słowo Boże tylko w języku słowiańskim.

Cesarz Wschodni zgodził się na ten warunek, i wysłał na Morawy dwóch uczonych mnichów z Sołunia, (dzisiejsze Saloniki, w Grecji). Byli tymi misjonarzami dwaj bracia, Konstanty i Metody, którzy byli już w tym czasie doświadczonymi misjonarzami. Ważnym też faktem było, że już poprzednio Konstanty pracował nad dostosowaniem alfabetu greckiego do fonetyki języków słowiańskich. Wynikiem tej pracy była tzw. „Glagolica“ — najstarszy alfabet słowiański. Jeszcze przed wyjazdem na Morawy, obaj bracia przetłumaczyli na język słowiański Ewang. Św., Psalterz i modlitwy liturgiczne. Dziś, zastanawiając się nad tym faktem, musimy sobie uprzytomnić, że w owych czasach wszyscy Słowianie mieli właściwie jeden, wspólny im język. Rozbicie językowe miało swój początek dopiero pod koniec IX wieku. A zupełne wykrystalizowanie i zróżniczkowanie większości języków słowiańskich dało się wyczuć nie wcześniej jak w wieku XV-ym.

NA ŚWIĘTA WIELKANOCNE 1968 KONIECZNIE COŚ NOWEGO

COOLEEG Mini Pâté 4½ oz.

ANDREWS de PARIS na wagę

ANDREWS male SZYNECZKI gotowe na stół

GRUNDSHEIM AZIE SLICED GHERKINS

COOLEEG — Kuchenschef Gentlemen's School Cocktail 5½ oz.

DEVOS-LENIMENS LEMON MAYONNAISE

BOMBONIERKI CZEKOLADOWE WEDEL ½ lb. lub 1 lb.

a także i do sklepów dostarcza firma:

ROBIŃSKI and Co. Ltd.

SPOWIEDŹ POETY

NIELATWA to rzecz recenzować pierwszy tom dziennika Jana Lechonia.*) Przede wszystkim ma się do czynienia zaledwie z fragmentem dzieła, zakrojonego na szeroką skalę, chociaż zapiski dziennika obejmują okres zaledwie dwuletni. To co mamy przed sobą to fragment, albowiem całość obejmuje bodaj cztery tomy, każdy liczący około 400 stron.

Rodzaj literacki zwany pamiętnikiem, czy dziennikiem nie jest tak popularny w literaturze polskiej jak w literaturze francuskiej, gdzie narzuca się od razu kilka nazwisk jak bracia Concourt, jak André Gide, jak Julien Green, przy czym do tych nazwisk dołączyć by należało kameralnego Amiela, Szwajcara, który należy do strefy języka i kultury francuskiej. Dzienniki głośniejszych pisarzy francuskich są przeważnie studiami psychologicznymi, natomiast dzienniki pisarzy angielskich, wśród których można by wymienić co najmniej tuzin świetnych nazwisk, począwszy od Samuela Pepysa, a kończąc na Haroldzie Nicolsonie — te pamiętniki angielskie są przede wszystkim dokumentami socjologicznymi i ukazują nam tło społeczne W. Brytanii.

Jest rzeczą zastanawiającą, że na emigracji trzech pisarzy podjęli ryzykowne zadanie pisania dziennika swoich przeżyć, przy czym akcent spoczywa na rozbiórce psychologicznym i zapatrzaniu się w samego siebie. Autorami tymi są Andrzej Bobkowski, którego „Szkice piórkiem“ zdradzają pisarza dużej klasy, Witold Gombrowicz, którego „Dziennik“ wywołuje najsprzeczniesze uczucia u czytelnika — od niechęci do zafascynowania i wreszcie — Jan Lechoń, który stanął najpóźniej do tego wyścigu.

Londyńskie „Wiadomości“ drukowały wyjątki z tej spowiedzi poety i trzeba powiedzieć otwarcie, że wybór dokonany przez autora nie był najtrafniejszy. Z fragmentów ogłoszonych w londyńskim tygodniku uzyskiwało się wrażenie, że jest to zbiór plotek, czy też, trawestując kalambury i ironiczny styl samego Lechonia — jakiś „bieg przez

plotki“, wszystko to podlane sosem snobizmu i pewnej powierzchowności. Wydana obecnie książka daje całkowicie inny obraz tej spowiedzi poety. Dziennik jego ma na pewno własne, indywidualne oblicze i kto wie, czy ten „Dziennik“ nie będzie studiowany najdłużej przez badaczy, którzy chcieliby dojść do sedna prawdy o emigracji polskiej w świecie.

Można by powiedzieć, że Lechoń stał się legendą jeszcze za swego życia, a może nawet zanim doszedł do lat męskich. Jego debiut w „Karmazynowym Poemacie“ a potem jego tom „Srebrne i Czarne“ postawiły go w pierwszym szeregu poetów wolnej Polski. Sława o jego ciętym języku, o jego szopkach politycznych podbudowana została redaktorstwem pisma „Cyrulik Warszawski“, w którym Lechoń dawał upust swojej satyrycznej weni. Ten wczesny start przypominał Artura Rimbauda, tylko że Lechoń chce być całkowicie odmienną organizacją duchową od autora „Pijanego Statku“. Jego ton był tonem koturnowym, jego wiersze przynosiły przemyślenia filozoficzne i zdawało się, że Lechoń dobije się wielkiej sławy jako poeta.

Tak się jednak nie stało. Porwało go życie dyplomatyczne, uderzył do głowy Paryż, który ma na sumieniu równą co najmniej ilość ludzi zmarnowanych jak ludzi, którzy doszli do celu. Okazało się z biegiem czasu, że Lechoń wyczerpał się w swoich pierwszych utworach i że po prostu w poezji nie mógł się już wyrazić. Pozostał mu dramat, o którym myślał nieraz, jak dowodzi tego pierwszy tom „Dziennika“. Pozostawała mu powieść, którą zaczął szkicować, ale nie doprowadził jej daleko. Urywek z tej powieści pt. „Bal u Senatora“ drukowany na łamach „Wiadomości“ był dziwnie nieporadny i widać było, że Lechoń czuje się źle w ramach powieści i że usiłuje naśladować wzór nie do naśladowania — a zatem Prousta.

Dlaczego Lechoń zaczął pisać „Dziennik“? Motywem była tutaj chęć nie tyle przedstawienia różnych faz myślenia i nastrojów, ale wola „walki z sobą“ samym. Ten moment podkreśla Lechoń parokrotnie w swoich zapiskach. Już pierwszy tom tej spowiedzi wciąga nas w atmosferę lęków, urazów, katastrofalnych przeczuć. Jest to studium o człowieku, który rozdarty był wewnętrznie — przy czym jedna jego część cieszyła się życiem, snobistycznymi zebrańiami, gadulstwem i błyskaniem dow-

cipu — a druga widziała próżnię i pustkę życia dyplomatycznego i towarzyskiego i chciała zostawić po sobie rzeczy trwałe. „Dziennik“ Lechonia uderza raczej powagą myślenia, a nie towarzyską frywolnością. Dopiero na tle tego „Dziennika“ widzimy jak głęboko Lechoń przejął się kulturą francuską i jak wielkim dysponował czytaniem. Sos snobistyczny nie razi może w tym tomie tak, jak raził we fragmentach ogłoszonych w „Wiadomościach“. Notatki Lechonia przypominają może najbardziej strony dziennika Amiela przez swoją wolę dotarcia do sedna rzeczy. Ale koloryt tych wypowiedzi jest o wiele czarniejszy niż dziennik Amiela i zbliża się bardziej do tragicznych zapisków „ojca“ dzisiejszego egzystencjalizmu — Kierkegarda.

Z czym Lechoń chciał walczyć, kiedy mówi o walce z sobą samym? Chciał walczyć z niemocą twórczą, która dawała mu się coraz bardziej we znaki; chciał walczyć z wolą samobójstwa, a mania samobójcza prześladowała go od wczesnych lat młodości. „Dziennik“ obejmujący dwa ostatnie lata życia poety, to ustawiczne pasowanie się z wolą śmierci. Freud powiedział kiedyś, że pragnienie śmierci, czyli po angielsku „death wish“, jest najszlachetniejszym popędem w człowieku. Thanatos a nie Eros.

Lechoń walczył z myślą o samobójstwie i miał za sobą co najmniej jedną jego próbę. Szukał on ratunku przed tą obsesją w religii i w wizytach u psychoanalityków, którzy niewiele mu mogli pomóc. Poeta, który napisał sam: „*albo w życie się wierzy, albo w śmierć się wierzy*“ przeszedł na stronę śmierci przed tragicznym skokiem z okna w jednym z hoteli nowojorskich.

Lechoń jest w swoich sądach o braciach-poetach i braciach-pisarzach niebywale surowy. Lektura tego „Dziennika“ nie pójdzie na pewno w smak jednemu, gdyż Lechoń dokonuje prawdziwego pogromu wielkości literackich w kraju i na emigracji. Jednocześnie Lechoń jakby tracił poczucie wartości rzeczy przez siebie pisanych. Urywki wierszy, które pisał w Nowym Jorku, są zastanawiająco słabe i jeżeli kogo naśladowało to chyba Lenartowicza i Bohdana Zaleskiego. Te wiersze nie nadają się po prostu do druku, gdyż zdradzają w okrutny sposób cały dystans pomiędzy świetnym startem o cechach monumentalnych, a wyjałowieniem lat męskich.

(Dokończenie obok)

*) Jan Lechoń, „Dziennik“ I. Wydawnictwo „Wiadomości“, Londyn 1967. Mieczysław Grydzewski wprowadza ten tom wspomnieniem o Lechoni, którego znał tak dobrze. Maria Danilewiczowa pisze rzeczowo i wnikliwie o dziele poety. Autorka wstępu podzieliła się swoimi wrażeniami o tej książce na jednym z wieczorów „Kontynentów“ londyńskich, dając świetną analizę twórczości Lechonia.

SIENKIEWICZ ŻYWY

Jako szósty z kolei tom cyklu „żywych“ wydawnictwa Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie, ukazała się książka o twórczości literackiej Henryka Sienkiewicza*). Miała wyjść wcześniej, w 50-tą rocznicę zgonu pisarza (15-go listopada 1916), ale trzeba było pokonać znaczne trudności wydawnicze, aby praca mogła spełnić swój cel określony przez redaktora prof. Władysława Günthera: „chęć stwierdzenia wciąż trwającej poczytności pisarza, która rozniosła sławę Polski po szerokim świecie“.

Na całość tomu składa się szesnaście prac różnego rodzaju: rozprawy, szkice, artykuły, wspomnienia, przyczynki: Stanisława Balińskiego, Jadwigi Chojko-Boutière, Marii Danilewiczowej, Mieczysława Giergielewicza, Władysława Günthera, Józefa Jasnowskiego, Jerze-

*) „Sienkiewicz żywy“ — Redakcja Władysław Günther, okładka Zygmunt Turkiewicz, str. 206, Londyn, Gryf Printers 1967.

**) Obszerniej o tym utworze pisze Jerzy K. Krzyżanowski; Znaczenie „Listów z podróży do Ameryki“.

Byłaby wielka szkoda, gdyby „Dziennik“ Lechonia utknął na pierwszym tomie; dokument bowiem pozostawiony przez Lechonia jest świadectwem szamotania się wielu pisarzy emigracyjnych, szamotania wynikłego z niemożności zapuszczenia korzeni w obcą glebę. Lechoń przeżył swoje najlepsze lata w Warszawie i w Paryżu i nostalgicznie wspomina i Polskę przedwojenną i Paryż przedwojenny. Zdaje sobie on sprawę z tego, że ani jedno ani drugie nie wróci, chociaż stara się wszelkimi siłami windować Amerykę na stanowisko, na którym przed wojną była Anglia czy Francja. Jego szkic o Stanach Zjednoczonych pt. „Aut Caesar, aut nihil“ był przykładem zaślepiętego entuzjazmu, graniczącego z bałwochwalstwem.

Tragedią Lechonia, tak jak tragedią wielu ludzi jest to, że przeżył swój czas. Nie potrafił już nawiązać kontaktu z nowym życiem. Z tomu „Dziennika“ wyłania się tragiczna maska człowieka zgubionego w świecie. Przeczucia śmierci tkwiły w nim głęboko: swojego czasu spowiadał się z tej manii samobójczej jednemu z lekarzy, po wielkich swoich sukcesach warszawskich, targnął się na swe życie w Krakowie. Miał wizję swojego kresu, gdy napisał w „Srebrnym i Czarnym“ prorocze słowa: *A śmierć niech mnie potarga jak żagiel rozpięty.*

go R. Krzyżanowskiego, Teodozy Lisiewicz, Józefa Łobodowskiego, Zygmunta Markiewicza, Henryka Montherlant, Kajetana Morawskiego, Mieczysława Paszkiewicza, Michała K. Pawlikowskiego, Ignacego Wieniewskiego Zygmunta L. Zaleskiego.

Sienkiewicz jest jednym z najdokładniej „omówionych“ twórców w literaturze polskiej, książka wydana przez Związek Pisarzy nie jest przejawem modnej manieri „odczytania na nowo“, niemniej jednak widoczne są chwalebne wysiłki autorów dotarcia do nowych, nieznanych dotąd źródeł informacji i uwzględnienia ostatnich badań. Czyni to przede wszystkim M. Danilewiczowa w rozprawie „Maska człowieka szczęśliwego“, w której korzysta z opublikowanej przez prof. Juliana Krzyżanowskiego części korespondencji Sienkiewicza z Jadwigą Janczewską, siostrą pierwszej żony pisarza. Praca Danilewiczowej prostując niektóre stereotypowe a niezbyt ściśle oceny doskonale określa obecną pozycję pisarza.

Znane jest zainteresowanie Sienkiewicza antykami a „Quo vadis?“ stało się tego symbolem, ale dopiero prof. I. Wieniewski („Trylogia polską Iliadą“) pokazuje jak głęboko żyło w polskim pisarzu arcydzieło Homera i jak potężny wpływ wywarło na powstanie jego epepej powieściowej.

Praca J. Łobodowskiego: „Ukraina w Ogniem i mieczem“ daje autorowi sposobność do podkreślenia u Sienkiewicza doskonałej znajomości topografii, wszystkich elementów tła i krajobrazu zadziwiającej u człowieka, który nie znał z autopsji właściwej Ukrainy.

Dużo cennych spostrzeżeń przynosi szkic M. Paszkiewicza o sarmatyzmie jako źródło popularności Trylogii. Autor bardzo trafnie analizuje to pojęcie i określa jego istotę na przykładach z powieści.

Stosunkowi Sienkiewicza do źródeł historycznych poświęcone są artykuły Jadwigi Chojko-Bautière i J. Jasnowskiego („Sienkiewicz i Tacyt“). Uwaga obojga autorów skupia się na „Quo vadis?“. Zygmunt Markiewicz interesująco ukazuje sposób przetworzenia erudycji w dzieło sztuki („Sienkiewicz-artysta w „Quo vadis?“).

Kilka prac omawia sprawy Sienkiewicza w Ameryce. Prof. M. Giergielewicz daje zasadnicze, gruntowne informacje o przekładach pisarza i rosnącej ich poczytności w Stanach Zjednoczonych, Michał K. Pawlikowski („Zakończy w Kalifornii“), mówi o poby-

cie w tej słonecznej krainie i wpływie jaki miał ten okres na rozwój twórczości autora „Listów z podróży do Ameryki“.***) O motywach „amerykańskich“ pisze S. Baliński, poświęcając wspomnienie „Latarnikowi“.

Jeśli idzie o powieści, najwięcej uwagi poświęcono w „Sienkiewiczu żywym“ Trylogii i „Quo vadis?“, mało „Krzyżakom“. Tym cenniejszy jest wnikliwy szkic prof. Günthera: „Historyk własnej epoki“, w którym redaktor tomu walczy o przywrócenie walorów „Bez dogmatu“, i „Rodzinie Połanieckich“ niedocenionym przez niektórych współczesnych Sienkiewiczowi krytyków, których sąd automatycznie powtarzano także później bez sprawdzania jego słuszności.

Przez cały tom przewija się myśl o tym jak Sienkiewicz w ciągu wielu lat, wśród zmieniających się gustów i prądów literackich zachował swoje władztwo, poczytność, żywotność. Zwracają na to specjalną uwagę: T. Lisiewicz („Dziedziczność“); Kajetan Morawski („Jak tatarska orda“) stwierdza: „Miarą wartości pisarza nie jest zapewne jego poczytność. Ale gdy poczytność ta obejmuje najszersze warstwy społeczne, ... to tego, kto to sprawia osądzać należy wedle kryteriów nie tylko literackich. „Kropkę nad i“ stawia Z. L. Zaleski, gdy mówi („Na marginesie żywego wspomnienia“): Sienkiewicz stał się genialnym przemysłowcem myśli o Polsce do serc — i to właśnie wśród szerokich mas pracujących. Tak jest! Przemysłowcem myśli o Polsce do serc był Sienkiewicz w owych czasach walki codziennej i znoju... Był nim i jest. Trwa na posterunku“.

Wzmacniajcie nerwy i oczyszczajcie krew, a będziecie cieszyć się zdrowiem i wzmogoną wydajnością w pracy!

Wyciąg z życiodajnych gruczołów zwierzęcych

KALEFLUID

Używanie naszego preparatu polepsza stan zdrowia w sposób bardzo znaczny, w wypadkach ogólnego osłabienia, depresji nerwowej, zmęczenia, wyczerpania, zaburzenia i starości. U kobiet również w wieku przejściowym. W sprzedaży w wielkich aptekach. Wysyłamy bezpłatnie w języku polskim przepisy używania.

Laboratoire B. KALEFLUID

FRANCJA

66, BLD. EXELMANS, PARIS 16-e.

ROMEO I JULIA A LA POLONAISE

Nad Cupulettich i Montecchich domem
Splukane deszczem, poruszone gromem
Łagodne oko błękitu...

Cyprian K. Norwid „W Weronie“

W najnowszej książce Zofii Romanowiczowej „Łagodne Oko Błękitu“*) Julia nie przebija się sztyletem, Romeo nie zażywa trucizny. Na odebranie życia młodemu kochankom znalazły się inne sposoby: pod więzienną ścianą i z rąk towarzyszy-żołnierzy. Rozwalka na więziennym podwórzu — to dla Julii-Misi, zaś dla Romea-„Małego“, niemieckiego żołnierza Wenera — zapewne kolba kolegi w tył głowy.

W „Oku Błękitu“ Romanowiczowa powraca do wątków i tematów znanych już nam z jej nagrodzonych przez londyńskie „Wiadomości“ „Prób i Zamiarów“. Z tamtego zbioru rozpoznajemy w obecnej książce nie tylko Joannę i jej dziecko, ale i cały specyficzny klimat, który z zamiaru, próby i wspomnień zmienił się wreszcie w opowieść o więziennej miłości dwojga wrogów.

Romanowiczowa przyjęła dla swego opowiadania — gdyż nie jest to powieść, a chyba raczej to co nazywają Anglicy „a long short story“ — pewien specjalny styl, pewne artystyczne rozwiązania pisarskie, które bym nazwała rozmyślnym i zamierzonym rozszczępieniem literackiej jaźni. Jeden bowiem nurt i jeden wątek przepływa jednocześnie przez dwie postaci dramatu, uzupełniając się niejako wzajemnie. Misia, niemal że dziecko, nieco tylko starsza od szekspirowskiej Julii, zaplątana we wstyd, przymus i wolę miłości do Niemca oraz nauczycielka jej — Domi, która z nią razem znalazła się w więzieniu. Dla czytelnika — i chyba dla autorki — Misia i Dominika to jedna i ta sama osoba. To jakby ciało i duch: ciało Misi padnie pod więziennym murem, przeszyte kulą, ale duch jej, w

narratorce Domi pozostaje z nami do końca, ażeby chłodno i bardzo oszczędnie opowiedzieć nam jak to naprawdę było.

Poza głównym wątkiem tragedii, Domi opowiada nam jednocześnie urywki dziejów trzydziestu paru kobiet, zamkniętych najpierw w klasie pewnego gimnazjum, a potem w celi, przeznaczonej na sześć osób. Domi patrzy na miłość Misi, na rozpacz Lili, na rozłożone pod płaczącymi wilgocią ścianami ciała towarzyszek, a każda z nich ma swoją historię, każda jest inna. Te kobiece postaci są niesłychanie sugestywne, żywe, prawdziwe. Tak, takie musiały naprawdę być i na kartkach książki przechodzą z niebytu swych ziemniennych mogił w nasze życie bezgłównym krzykiem o zmiłowanie: i wesoła Helena o „końskim zadzie“ i pani Radońska, tonąca pod zwałami własnej obwisłej skóry w za dużym gorsecie i Rita i Lili i Joanna.

Opowiadanie Romanowiczowej jest opowiadaniem straszliwym, tym straszliwszym, że język jej jest tak bardzo skondensowany, taki oszczędny w uczuciach jak gdyby bała się, iż jedno miększe, bezbronne słowo odbierze temu co chciała napisać najistotniejszy sens. Jaki to sens? Chyba inny dla każdego odbiorcy. Dla mnie osobiście to przede wszystkim — sens beznadziejności. „Łagodne Oko Błękitu“ nie jest prześwietlone najślabszym nawet promieniem nadziei.

Skończywszy czytać, wstrząśnięci, nie powracamy jednak myślami ani do Dominiki ani do Misi-Julii. Kołuje nam dalej przed oczami makabryczny taniec tamtych innych kobiet, nakreślonych jakby od niechcenia, tych postaci ubocznych, które miały jedynie za zadanie podmalować tło, dać nastrój, wgląd w to, co kiedyś — dla nas już niemal nie do wiary — rzeczywiście się działo na

BIBLIOTEKA

„KULTURY“

Leopold Tyrmand

ŻYCIE TOWARZYSKIE i UGCZUCIOWE

Powieść o potędze małości
w socjalizmie

Cena: sh. 43/6, F. 26, \$5.50

jednym odcinku polskiego męczeństwa.

Nauczycielka Domi, której przeżycie w celi skazanych kobiet było konieczne dla napisania książki — wydaje mi się najślabsza. Chociaż przyznaje się często, iż bała się przesłuchań i bicia, że krzyczała, mdlała i tchórzyła, chociaż rozmyśla i *wyobraża* sobie kopanie własnych grobów przez towarzyszkę (Lili to zrobi najlepiej, Helena będzie się czołgać u żołnierskich butów za minutę życia) — to jednak ta opanowana, oszczędna w słowach jak sama autorka-Domi nie jest zupełnie prawdziwa. Może tak zresztą być musi, bo — gdyby była inna czy mogłaby nam opowiedzieć o Misi-Julii, którą w tym właśnie mistrzowskim rozszczępieniu literackiej jaźni autorki — jest i ona sama?

Nauczycielka Domi patrzy na siebie-Misię i chyba nawet jej nie żałuje. Bo Misia gdyby nawet przeżyła i tak musiałaby umrzeć w jakiś sposób. Misia nie mogła wyjść z więzienia pod łagodne oko błękitu, które dla niej nie zawierało już niczego.

Osobście, po „Bańce i Barbarze“ oraz „Przejściu przez Morze Czerwone“ czekam niecierpliwie na następną książkę Zofii Romanowiczowej, na tę, którą z pewnością kiedyś napisze, kwitnącą dobrem i słodyczą życia, a nie tylko śmiercią, przeciw której, w „Łagodnym Oku Błękitu“ nawet niewarto jest się buntować.

*) „Libella“, Paryż.

WESOŁEGO ALLELUJA

życzy

WSZYSTKIM KLIENTOM

M.B. GRABOWSKI

GRABOWSKI EXPORT — IMPORT LTD.

175, DRAYCOTT AVENUE, S.W. 3.

Tel.: 589 0750 i 589 9656

STULECIE URODZIN OR-OTA

*„Wszystko, co życie najpromienniejsze
czuło:
Wiarę ostatnią, kochanie najpierwsze,
Jak serce krwawą owinięte stulą,
Tobie Warszawo, złożyłem te wiersze“.*

Słowa te, napisane w 1930 r. były jakby pożegnaniem ukochanego przez poetę miasta. Istotnie, w niespełna rok później Artur Oppman — czyli Or-Ot, jak w latach niewoli podpisywał swoje utwory — zakończył życie, a ten śpiew łabędzi został wyryty na jego płycie grobowej.

Chociaż był bardzo ceniony za życia a jego „Hymn o Wolności“, „Śmierć Sowińskiego“ czy też wzruszająca swą prostotą „Pieśń o Księżu Józefie“ recytowano przy każdej nadającej się okazji, nie zdaje mi się, żeby pamiętano o setnej rocznicy jego urodzin. Niechże choćby więc mnie, mimo mojej lwowskiej przeszłości, wolno będzie złożyć skromny hołd pamięci tego „barda Starej Warszawy“.

Szczegółów o jego przedpierwszowojennych latach znalazłam bardzo mało. Dowiedziałam się tylko, iż urodził się w 1867 r. w Warszawie i że ojciec jego, zamożny przemysłowiec, pochodził ze spolszczonej od wieków rodziny, która jeszcze za Augusta II Sasa osiedliła się w Rzplitej. Matka poety, Sierosławska z domu, kobieta o niezwyklej kulturze, wychowała małego Artura w tradycjach gorącego patriotyzmu i chwały oręcza polskiego.

Po ukończeniu gimnazjum w Warszawie, Oppman studiował polonistykę na uniwersytecie krakowskim. Doskonała znajomość literatury polskiej XVI wieku posłużyła mu w kilka lat później do napisania dwóch zwięzłych stylizowanych utworów, opartych na życiu krakowskiego mieszczaństwa owego okresu. Były to: „Historia wielce żalсна o Melchiorze Gąsce“ oraz „Imci Panów Barwinków perygrynacya do Ziemi Świętej“. O swoich początkach poetyckich opowiada nam sam autor w zbiorze „Moja Warszawa“, z lekka zabarwionym wspomnieniami autobiograficznymi. Otóż mając zaledwie lat piętnaście, wysłał Oppman jeden ze swoich młodzieńczych wierszy do redakcji „Kurierza Warszawskiego“. Ku radości redaktora, wiersz debiutanta, utwór jego został przyjęty. Musiała jednak młodemu autorowi mocno drżeć ręka, kiedy go podpisywał skrótami swego nazwiska, gdyż zecer przeczytał mylnie Or-Ot, i tak już zostało. Odtąd te pełne uczucia wiersze zaczęły coraz częściej pojawiać

się w polskich pismach, a chociaż tematem ich był przeważnie urok staromiejskiej Warszawy, trafiały one nawet do serc ludzi, którzy zupełnie tych zakątków nie znali.

„Or-Ot, to wielkości narodu płomień gorejący“ — wyraża się o nim wiele lat później Maria Konopnicka, która ceniła autora „Epopoi Napoleońskiej“ nie tylko za jego gorącą miłość ojczyzny, ale również i za jego niezwykłą dobroć i szlachebny charakter. Zostawszy w 1901 roku współredaktorem „Wędrowca“, skąd przeszedł następnie do „Tygodnika Ilustrowanego“, miał Oppman okazję do rozwinięcia swych zdolności publicystycznych, które drzemały w nim od dawna.

Ale te suche, biograficzne szczegóły, stanowiły tylko nieodzowne tło, na którym pragnęłam namalować bardziej kolorowy obraz codziennego życia poety. Jakim był za młodu? Kiedy stracił rodziców? Kim byli jego przyjaciele? Że, jak każdy poeta, kochał się często w mniej lub więcej złotowłosych panienkach wyglądających z sąsiednich „facjatek“, o tym pisze często w swoich tu i ówdzie wplecionych wspomnieniach osobistych. Śladu żony nie mogłam znaleźć nigdzie. Och, te sławne „facjatki“ staromiejskie... Mieszkaniec Kanonii powracał często do tego tematu, twierdząc że z wyżyn swego domu „patrzy na całą Polskę“.

Kiedy wreszcie ta wymarzona i wyteścikniona niepodległość stała się rzeczywistością, Oppman, pełen entuzjazmu, zgłosił się natychmiast do polskich władz wojskowych. Ponieważ do czynnej służby już się nie nadawał, przydzielono go do wydziału kulturalno-oświatowego i powierzono redagowanie „Żołnierza Polskiego“. Kiedy zaś w uznaniu zasług na polu budzenia ducha narodowego w okresie niewoli, przyznano mu stopień pułkownika wraz z prawem noszenia odpowiedniego mundurku, radość jego nie miała granic.

Ten międzywojenny okres życia Or-Ota, jako bliższy teraźniejszości i tym samym i łatwiej dostępny, w miarę zbliżania się urodzinowego stulecia, stawał się coraz bardziej upartym celem moich poszukiwań za codziennością poety. Wśród londyńskich rozbitków emigracyjnych, udało mi się wyłowić kilku znajomych, którzy „barda warszawskiego“ spotykali na sławnych w kołach literackich „herbatkach“ przy ul. Kapucyńskiej. Oppman zjawiał się tam zwykle nieco później, kiedy mógł już liczyć na liczniejszy krąg słuchaczy swoich

gawęd o przeszłości. Bo też gawędziarzem był on niezrównanym a jego ciepły uśmiech zjednywał sympatie wszystkich obecnych. Podobno — jak opowiadali moi londyńscy informatorzy, nawet Lechoń, oraz inni bywający na tych „herbatkach“ „Skamandryci“, którzy początkowo odnosili się z pobłażliwą ironią do tego „starszego pana“ — ulegli szybko czarowi jego wymowy.

Stary krzyż na Lesznie był najmilszym tematem tych gawędziarskich wspomnień Or-Ota. Pamiętał go jeszcze z czasów szkolnych, gdyż tamtędy wiodła droga do gimnazjum. W starym, zapuszczonym ogrodzie, za krzyżem, stał drewniany domek, w którym mieszkał bardzo już wiekowy stolarz. Żona jego służyła niegdyś jako pokojówka u hrabianki Ankwicz, której osoba była tak ściśle związana z rzymskim okresem życia Adama Mickiewicza. Dowiedziawszy się o tym Artur, rozpoczął pewnego dnia rozmowę ze stojącą u wejścia do ogrodu stolarzową. Gadatliwa staruszka powtórzyła mu chętnie wszystko co zapamiętała z opowiadań swojej pani.

A oto jeszcze jedno barwne wspomnienie, na które natrafiłam w czasie moich poszukiwań: Począwszy od 1920 roku, każdego pogodnego poranka, przed dom poety na Kanonii zajeżdżał około godziny dziesiątej otwarty powóz, zaprzężony w parę białych koni. Po chwili Oppman, w swoim codziennie świeżo odprasowanym mundurze, sadowił się wygodnie za plecami siedzącego na kozle ordynansa i bardzo okrężną drogą — poprzez Krakowskie Przedmieście, Nowy Świat i Aleje Ujazdowskie — jechał na Marszałkowską, gdzie znajdowała się redakcja „Żołnierza Polskiego“.

I tak trwało przez całe lat dziesięć. Oppman cieszył się odzyskaną niepodległością ukochanej ojczyzny, pysznił szarym mundurem i pisał swoje pogodne i ciepłe obrazki warszawskie.

Wiosną 1930 roku, poeta-pułkownik, pozornie jeszcze pełen sił i zdrowia, spotkał swego przyjaciela i wydawcę, Jakuba Mortkowicza i namówiony przez niego, zabrał się do napisania „Pieśni o Rynku i Zaułkach“. Jakież niewesołe myśli musiały go nachodzić przy tworzeniu tych dwudziestu staromiejskich wierszy, skoro zaraz na wstępie zaznacza: „...Bowiem ta książka jest mi, jak testament...“ Następnie zwraca się po kolei do wszystkich tych budynków, na które patrzył przez tyle lat swego życia, prosząc dzwony kościelne aby mu

(Dokończenie na str. 26)

Autorkę tego pamiętnika wiosną roku 1940 Rosjanie wywieźli na zsyłkę do Kazachstanu, skąd postanowiła uciec. Niniejszy dziewiąty kolejny odcinek opisuje przygody 22-go dnia podróży w stronę Polski.

MARIA WILCZEWSKA

Z KAZACHSTANU

NIE BYŁO już o czym mówić. Byłam przegrana. Na całej linii i w 100% przegrana. Przegrałam swoją ucieczkę — tę wielką przygodę mego życia, moje życie, no i moje dziecko. Zabiorą mi je pewnie od razu do jakiegoś DIETDOMU, jakiegoś sierocińca, jednego z setek rozsianych po całej Rosji. I wejdzie w skład tej wielkiej armii bezimiennych, samotnych sierotek. I nigdy już go nie zobaczę więcej. I nie zobaczę też jego ojca i nie zobaczę moich rodziców, do których wracałam teraz.

„u trumny zadzwoniły w tony czarodziej-skie“.

Przecucie nie zawiodło „staromiejskiego barda“. Za ledwie na półkach księgarskich ukazała się wytwornie wydana i ozdobiona ilustracjami „Pieśń o Rynku i Zaułkach“, a już nekrologi ogłaszały zgon jej autora. Artur Oppman zakończył życie w swoim domu na Kanonii 4 listopada 1931 r. Odszedł też wkrótce po nim Jakub Mortkowicz. Została tylko pieśń.

Był to okres kiedy mieszkalam już w Warszawie. Zaproszona przez p. Sz. miałam zamiar wybrać się na którąś z jej „herbatek“, w nadziei poznania tam Or-Ota, kiedy przeczytałam zawiadomienie o jego pogrzebie. Postanowiłam więc odprowadzić go na Powązki, gdzie miał spocząć w Kwaterze Zasłużonych. Jakże dumny musiał być ten zakochany w wojskowości poeta, jeśli spoza progu wieczności mógł patrzeć na honory, jakie mu oddawano na tej jego ostatniej ziemskiej drodze. Za spoczywającą na armatniej lawecie trumnie, szły tłumy publiczności a orkiestra 30 pułku Strzelców Kaniowskich, żegnała go najpiękniejszymi marszami żałobnymi.

Upłynęły lata. Burza wojenna rozbiła w gruzy całą Staromiejską dzielnicę, wraz z domem poety. Lecz pamięć o nim przeżyła klęski i pożary. Ożywili ją młodzi uczniowie Jakuba Mortkowicza. W 1947 roku wyszło ich nakładem nowe wydanie „Pieśni o Zaułkach“. Wkrótce potem ukazały się przedruki innych utworów Or-Ota. Trafiły one widocznie do dzisiejszego pokolenia, gdyż z przypadkowo napotkanej notatki z krajowego pisma dowiedziałam się, że 29 marca 1967 r. na wieczorne literackim „jednej ze szkół warszawskich, obok poezji Tuwima, Lechonia i Balińskiego, wygłoszono również i wiersze Or-Ota.“

Ciekawa też byłam, jak ta stara postąpi teraz ze mną. Czy jak tamten straszny Żyd z karczmy z krzykiem wygoni mnie na ulicę? A może zatrzyma tutaj i doniesie o mnie, gdzie należy? A może też pozwoli posiedzieć i zagrzać się u nich nim odejdę...

Stara nie odezwała się więcej. Stała chwilę niezdecydowanie przy drzwiach, a potem przeszła parę kroków przez izbę i przysiadła na ławie naprzeciw. Listek poruszony powiewem jej spódnicy poruszył się, zaszeleścił i kręcąc się posunął na środek podłogi. Był żółtawego koloru i niewiele różnił się od jasno żółtej podłogi, pokrytej ciemniejszymi plamami sęków. Niewiele na ogół poświęcamy uwagi podłogom. Ale tę zapamiętałam sobie na całe życie. I że pachniała wtedy tak mile żywicą.

Zapamiętałam też tamten kolorowy obrus, jego jaskrawe kolory jakoś niespodziewanie przypominały wtenczas wielkanocne pisanki... Jakie to śmieszne, że te drobiazgi widzi się najlepiej stojąc nad jakąś życiową przepaścią.

Milczenie przedłużało się. Wreszcie one zaczęły pierwsze: — Skąd idę i dlaczego chcę przejść granicę? Zapytała właśnie Hafija. Gdy opowiadałam, jak mnie z dzieckiem wywieziono i jak teraz stamtąd wracałam i jak trafiłam do nich Hafija nie spuszczała ze mnie wzroku. Stara kobieta jednak patrzyła na mnie surowo i podejrzliwie. Ona to też najwięcej zadawała mi pytań.

Później wszedł brat Hafii i jakiś mały chłopiec i usiedli na ławie naprzeciwko. Już dawno przestałam opowiadać. Hafija przysiadła się na tamtą stronę i coś szepotali ze sobą. Potem weszła młoda kobieta i też siedziała z nimi.

Czułam się jakoś nierealnie z tego napięcia i wyczerpania. Wcale też nie sprawiło mi przykrości, ani niepokoju takie siedzenie jakby na cenzurowanym lub raczej przed surowym aeropagiem, mającym wydać wyrok w mojej sprawie. Przyglądałam tym wszystkim ludziom z tej ławy naprzeciwko, i tylko twarze Hafiji i tamtej młodej kobiety wydawały mi się przyjazne, one też najwięcej ze sobą szepotały coraz to spoglądając na dziecko.

Mój mały zsunął się z ławki na ziemię, przeszedł kilka kroków i usiadł na podłodze. Pończoszka zsunęła mu się z nóżki i bucik miał rozsznurowany. Teraz podniósł drugą nóżkę do góry i próbował rozsznurować też i drugi, ale jakoś mu

to nie szło. Te buciki, choć miękkie i wygodne, dokuczały mu chyba. Nie zdejmowałam mu ich wcale przez te trzy tygodnie. Spał również w tych bucikach. Obawiałam się przez cały ten czas, że gdy zdarzy się nagle ze snu zerwać i uciekać, to mu nie zdążę włożyć i zostanie w pończoszkach tylko na to zimno listopadowe. Ja też przez te dwadzieścia jeden dni i nocy bucików nie zdejmowałam, ale moje to od Kamieńca były w dodatku wilgotne.

Kapturek zsunął mu się na jedno ucho i jasne, dawno nie podcinane włoski sterczały mu w nieporządnym kosmykach. Buzię miał umazaną i rączki zawalane, ale wciąż jeszcze był wesoły i chętny do zabawy. Istne cyganiątko — pomyślałam wtedy.

Synek uporał się wreszcie z tym sznurowadłem, a potem zdjął bucik i odrzucił daleko od siebie. Siedział jeszcze chwilę zamyślony i niezdecydowany, jak to będzie z tym bucikiem z drugiej nóżki. Nagle roześmiał się głośno i buzia mu zajaśniała radością: pod ławką zobaczył małego kotka. Kotek był biały, puszysty i mrucał zachęcająco. Potoczył się w jego kierunku — i po chwili już obaj siedzieli pod tą ławką i mruzcili: każdy po swojemu, widać czuli się tam obydwoj razem dobrze.

Tamtym siedzącym na ławie naprzeciwko sprzykrzyło się szeptanie. Małutki bucik porzucony przez dziecko na środku podłogi, stercząc czarnym punkcikiem, przykuł na chwilę ich ponurą uwagę na siebie. Potem przenieśli wzrok pod ławkę. Spod niej wystawała druga nóżka w buciczku i nóżka bez bucika, tylko z pomaszczoną pończoszką i dużą dziurą na pięcie. Mały właściciel tych nówek niczym się nie przejmował, obejmował kotka obiema rączkami i był bardzo szczęśliwy.

Pierwsza roztąjała babka: wyglądziły się jej zmarszczki i złagodniały oczy. Patrząc na nią teraz — odczułam wielką ulgę. Coś się w niej jednak zmieniło. I Hafija też chyba to odczuła, bo wstała i uśmiechnęła się do mnie. Myślałam, że podejdzie teraz, ale nie, ona zbliżyła się do matki i nachyliła się nad nią. Chwilę porozmawiały i stara podniosła się powoli w zamyśleniu gładząc swój fartuch, a potem podeszła do nas i patrząc na dziecko zapytała, czy dziecko jadło już kolację. „Nie jadło“ — odpowiedziałam cicho i pomyślałam żałośnie, że często przydarzało mu się nie jadać kolacji.

Znaleźliśmy się teraz w drugiej izbie i wkrótce zapachniało tam grzany mle-

D O D O M U

kiem i dziecko usnęło na ławie poza mną. Dołożono polan do pieca i zapach mleka został zastąpiony przez zapach gotującej się kapusty. Duża zielonawa butelka, z czymś, co wyglądało na wódkę, pojawiła się na stole. Na butelce nie było etykiety. Może to był samogon? Widziało się odrazu, że szykowało się tu kapuściana uczta z popijawą. W garnku, parującym na kuchennej płycie znajdowała się jednak sama kapusta. Wprost prosiło się o kielbasę do niej. Obejrzałam się na dziecko, czy już zasnęło i wstałam. Znajdowałam się w tej izbie na ławie, obok drzwi prowadzących do komory. Hafija z matką przynosiły miski i łyżki i krajały chleb. Podeszłam do Hafiji i zapytałam czy można tu we wsi, gdzie kupić kielbasę. Nie zdziwiła się wcale, że pytam. Spodziewała się chyba tego. Dałam pieniądze i mały chłopiec wybiegł. Nadzwyczajnie szybko pojawił się znowu nie tylko z kielbasą, ale i z drugą podobną butelką, a za nim weszło dwóch jego młodych wujków. Mężczyźni coś tam mrukneli od progu i podeszli odrazu do stołu. Nikt się nie zdziwił, że przyszli i przypuszczam, że się ich spodziewano. O tym, że to są wujowie chłopca, szepnęła mi potem Hafija.

Obok stołu stało parę krzeseł i rozsiadli się tam właśnie mężczyźni i chłopiec. Dwie młode kobiety przysiadły obok mnie na ławie, a stara babka w ciągłym ruchu. Najpierw krążyła między piecem a nami, potem przysiadła przy chłopach i wracała do nas.

Wódkę lało się do dużych szklanek z grubego szkła. Napelniało się je rozmaitości: chłopom po pół szklanki, a nam nieco bliżej dna. Kielbasa z kapustą była bardzo dobra, zjadłabym tego ze dwie miski chyba, tak jak mnie namawiała babka, lecz bałam się, że się rozchoruję, bo przecież mało co jadłam wczoraj i dziś.

A wódki nie chciałam pić, bo sądziłam, że w tej sytuacji jaka jest teraz i jaka — spodziewam się — będzie po północy, powinnam być trzeźwa. Ale tu obie: babka i Hafija zaprotestowały gwałtownie, że gdy się chce przechodzić granicę, to trzeba dobrze przedtem popić.

Hafija nieraz przechodziła, więc chyba miała rację, mówiąc, że trzeba. Ja pod tym względem nie miałam żadnego doświadczenia. Wypiłam to co mi podano w tej szklance i odrazu poczułam się jak tęczowa bańka wisząca na choince podczas wigilii. Właściwie to głowa moja była tęczowa i szklana i kołysała się.

Reszta mnie siedziała mocno na tej ławie przy dziecku. Czym więcej babka i Hafija mi dolewały, tym więcej jadłam tej kapusty i chleba, bo obawiałam się, że mi ta głowa odleci.

Tak minęła druga część tego najdziwniejszego ze wszystkich wieczorów mego życia. Potem nastąpiła trzecia część, coś jakby trzeci akt grany w teatrze mego życia. Dekoracja była niecodzienna: duża izba oświetlona na czerwono, to od rozpalonej kuchennej płyty, na której nic nie stało, rozchodził się ten odblask. Drzwiczki od pieca miały środek czerwony, a obrzeżone były czarno. Lampkę przyćmiono lub przyćmił ją dym z palonych papierosów. Na stole flaszek już nie było. Siedzieli przy nim: brat Hafiji i tamci wujkowie pochyleni ku sobie i rozmawiali półgłosem. Chłopiec spał, Hafija i tamta kobieta oparły się o siebie i drzemały, a babka tańczyła. A więc był i balet w tym trzecim akcie. Jedynym zainteresowanym widzem — byłam ja.

Mnie się jej taniec bardzo podobał. Była co prawda teraz trochę podobna do wiśniowej tańczącej na jakimś zebraniu czarownic. Mnie to jednak nie przeszkadzało. Urzekło mnie, że tańczyła cicho, bez żadnej muzyki czy śpiewu. Akompaniowały jej tylko trzeszczenie polan w piecu oraz ta półgłosem prowadzona rozmowa. Zdjęła buty i tańczyła boso. Wirowała, przeginała się, owijała się spódnicami i miała twarz szczęśliwą. Chustka jej opadła na kark, a siwy warkocz rozwinął się i uderzał niby batem o jej plecy. Z tym wszystkim była niezwykła. I w ogóle moim zdaniem była niezwykła: rządziła tym swoim klanem i miała silną wolę i chyba ciężką rękę, bo słuchano jej i bardzo liczone się z nią w tym domu. I miała młodą duszę i młode upodobania. Nieco później, gdy rozdawałam przed odejściem swoje skromne prezenty: chustki dla kobiet, bluzkę i jedwabną kombinację, babka wybrała właśnie tę różową koronkową kombinację. Głaskała ją i przyglądała się jej z zachwytem. Teraz babka wirowała przed piecem, którego odblask ożywił i odmiadzał jej twarz, a mnie w głowie wirowało: nigdy przedtem, ani potem, nie byłam tak rozkosznie szczęśliwa po wypitej wódce.

Wódkę tu nie było dużo, wszystko to razem nie przekroczyło zawartości dwóch kieliszków, ale w głowie nie tylko szumiał mi alkohol, lecz szumiały i tańczyły mi przed oczami te niezwykle dnie i noce, którymi przewędrowałam ponad

pięć tysięcy wiorst przez Rosję. Ludzie spotykani i miejsca, przez które przechodziłam mieszały mi się: nie wiedziałam chwilami GDZIE się obecnie znajduję. Czy wciąż jeszcze na zesłaniu, a może na dworcu w Nowosybirsku z Anią, albo w Kamieńcu w domu milicjanta czy w Kijowie, czy u cioci w Nowej Uszycy. Chwilami lęk mnie ogarniał, że jestem w tamtej karczmie. Oglądałam się wtedy, czy patriarchalna postać jej właściciela nie zbliża się do mnie, targając w gniewie długą brodę, ale widziałam tylko moje dziecko śpiące cicho poza mną na ławce. Przypominałam sobie wtedy gdzie jestem i że obok mnie drzemie Hafija, która obiecała mnie dziś przeprowadzić przez graniczną rzekę, i że piliśmy właśnie pod tę przepawę, by się odbyła szczęśliwie i że matka jej: sroga, zła i obca czarownica, odmieniła się w dobrotliwą wróżkę, która teraz tańczy przed ogniem.

Było nierealnie jakoś i dziwnie tak siedzieć w tym czerwonym odblasku w obcej izbie i spoglądać kolejno w obecne twarze: pijanych mężczyzn, śpiących kobiet i na tę babkę, od której zależał nasz los. Nie wiedziałam, czy jak wytrzeźwieją to dotrzymają mi obietnicy? — A może Hafija zaśpi, albo babka czarownica wyleci przez komin? Wszystko teraz wydawało mi się możliwe, ale nie przejmowałam się wcale: w głowie było mi tęczowo i w duszy tęczowo i czy na tym świecie osiągnę cel, do którego dążyłam przez te trzy tygodnie, czy może dostanę się niespodziewanie na tamten drugi, lepszy świat, było mi już właściwie obojętne. Zapominałam wtedy, że to małeństwo, które mi ufa i które tak spokojnie śpi tutaj w tej izbie, jakby było pod ojcowskim dachem, jest pod moją opieką. I że ci ludzie, którzy nas otaczają, mogliby nas po cichu sprzątnąć, a ciała gdzieś ukryć, i że do dnia Sądu Ostatecznego nikt by się nie dowiedział, co się właściwie z nami stało.

O jakiejś późnej godzinie tej nocy rozegrał się akt czwarty: mężczyźni znikli. Zrobili to tak cicho, że nie wiedziałam nawet kiedy. Spoglądając sennie po izbie wzrok mój zawędrował do tego stołu: zdziwiłam się, że siedzi tam, a właściwie śpi z głową opartą o blat tylko sam chłopiec. W pewnej chwili Hafija i tamta kobieta wstały, przeciągnęły się i podeszły do drzwi. Ktoś chłopca obudził, zdjął mu buty i zaprowadził na piec, gdzie położył się w ubrani i znowu zasnął. Babka podeszła do mnie i zabrała mój tobołek. — Przez chwilę w izbie byłam ja sama, ten chłopiec na piecu i Jeżyk poza mną. Potem wróciła Hafija.

Siedziałyśmy długo przed piecem i

(Dokończenie na str. 28)

Melodie zmierzchu

Ulicą wchodzę
W spokój wieczoru
Pachnący, cichy...
Tęcza kolorów
Wita mnie w drodze
Kwiatów kielichy.

Domy-siedziby,
W nich ludzie z okien
Patrzą gdzieś w przestrzeń
Jak gdyby ryby
Łupiąstookie
W puste powietrze...

Noc tak jak złodziej
Skrada się skrycie
Popod domami...
Wieczór odchodzi
Krótki jak życie
Kwiatów woniami...

Już kołysankę
Śpiewają do snu
Żółte glicynie
Zanim porankiem
Znów w światło wzrosną,
Gdy noc przeminie...

dokładaliśmy do ognia i ona opowiadała mi półgłosem o sobie, o swoim życiu, o mężu, którego straciła, o bracie i o matce. I w ogóle jak się im tu żyje. Mijały minuty, kwadransy, a potem godziny, a my tu wciąż siedzieliśmy same. Zegarka w izbie nie widziałam, a mój, dawno już nie nakręcany, był w tobołku, który zabrała mi babka. W pewnym momencie Hafija podniosła głowę i popatrzyła w okno. A po chwili wstała i szepnęła, że to już pora. Wyszliśmy przed chatę. Ona pierwsza, a za nią ja — niosąc dziecko. Zaraz za drzwiami Hafija obróciła się do mnie i powiedziała, że to ona poniesie teraz dziecko, bo zna drogę i że tak będzie lepiej. Nim zdążyłam zaprotestować, wzięła je i zaczęła iść szybko do furki. Pobiegłam za nią i znalazłyśmy się na ulicy, a potem na zboczu tego jaru za wsią. Hafija pomimo ciemności szła pewnie i bardzo prędko. Ja za nią tak samo prędko, lecz o wiele mniej pewnie. Czasami potykałam się o coś, a czasami przewracałam się jak długi. Leżałam wtedy chwilę i patrzyłam na Wielką Niedźwiedzicę rozkładającą przed moją twarzą swe gwiazdy lub gdy mi się upadło odwrotnie — twarzą do ziemi — to wahałam jesienią trawkę o przywiedłym zapachu.

(Ciąg dalszy nastąpi)

O, gdzież te wonie,
Blasków muzyka,
Światło łaskawsze,
Co pięknem swoim
Serce przenika
Na zawsze?

Wiesław Strzałkowski

STEFAN LEGEŻYŃSKI

Dzisiaj w Londynie

Stare były tu domy,
rozebrano i wywieziono je,
wieje pustką.

Kałuże są na ich miejscu,
odbijają nieśmiało,
popielate niebo.

Bieleją stupy odcinkami,
sklejanej autostrady.

Wiele spraw się dzieje,
w Londynie,
w tym dniu ponurym,
— smutno mi.

* * *

Dobre drzewo
— zasadziła je moja matka —
a więc rozkłada dłonie,
by zakryć,
ohydę tej 20-to piętrówki.

Ma kształt prostokąta,
zakończona trzema zębami,
którymi zgrzyta,
mi każdego ranka.

Staję się coraz mniejszy
wśród tych olbrzymów,
tak malutki,
że
niedługo nie zobaczycie mnie.

Stefan Legeżyński

ANKIETA „KULTURY“:

CZYTELNICTWO NA EMIGRACJI

Ankieta jest anonimowa. Prosimy jedynie o zaznaczenie płci (litery M lub K), zawodu i wieku. Odpowiedzi na poniższe punkty prosimy nadsyłać do Redakcji „Kultury“: 91, Avenue de Poissy, 78-MAISONS-LAFFITTE, France, z zaznaczeniem „Ankieta“.

Zebrany materiał posłuży nam do opracowania szkicu o polskim czytelnictwie na emigracji:

- 1) Jakie pisma prenumeruję?
- 2) Jakie pisma stale czytam?
- 3) Jakie pisma czytam dorywczo?
- 4) W roku 1967 przeczytałem:
 - książek emigracyjnych
 - książek krajowych
 - książek w innych językach.
- 5) W roku 1967:
 - a) kupiłem:
 - książek emigracyjnych
 - książek krajowych.
 - b) dostałem w prezencie:
 - książek emigracyjnych
 - książek krajowych.
- 6) Książki
 - a) kupuję w księgarni
 - b) zamawiam bezpośrednio u wydawcy
 - c) wypożyczam z biblioteki.
- 7) Czy w miejscowych wypożyczalniach publicznych znajdują się książki polskie? Czy robił Pan(i) usiłowania by miejscowa biblioteka publiczna zakupowała polskie książki?
- 8) Prosimy o wymienienie tytułów polskich książek, przeczytanych w roku 1967 z zaznaczeniem, które książki uważa Pan(i) za wartościowe.
- 9) Czy wysyła Pan(i) polskie książki emigracyjne lub książki w innych językach do kraju?
- 10) Czy kupuje Pan(i) tłumaczenia z literatury polskiej na język swego kraju osiedlenia? Czy ofiarowuje je Pan(i) swoim znajomym nie-Polakom.

OKTAWA JEDNOŚCI CHRZEŚCIJAN W ANGLII

Od wielu lat urządzone tu są oktawy modlitw o jedność wszystkich chrześcijan. Zainicjował je przed 60-ciu laty ks. P. J. Watson, duchowny anglikański Kościoła Episkopalnego. Oktawy obchodzone są na szerszą skalę dopiero po 2-gim Soborze Watykańskim i dekrete o ekumenizmie. Oprócz modlitw w poszczególnych świątyniach wyznaniowych organizuje się wspólne nabożeństwa, wymianę kaznodziei i inne obchody. Są one wstępem do szerszej współpracy, pomagają kruszyć lody wzajemnej nieufności oraz stwarzają lepszą i cieplejszą atmosferę między wyznaniem.

Oktawa tegoroczna w Londynie miała szczególnie uroczysty charakter. Wspólne wystąpienia i modlitwy przeprowadzone były duchem braterstwa i miłości chrześcijańskiej a zapal i entuzjazm jaki im towarzyszył porównany być może do czasów apostołskich. W niedzielę, 21 stycznia 1968, mury katedry westminsterskiej wypełnił tłum wielowyznaniowej ludności. Nabożeństwo prowadzili świeccy: aktor — Andrzej Cruickshand — anglikanin, Speaker Izby Gmin Horace King — metodysta i płk. Leonard Cheshire — katolik, mąż Sue Ryder, wielkiej społeczniczki i opiekunki zapomnianych aliantów ostatniej wojny, a Polaków w szczególności. Cruickshand znany wszystkim z telewizji ze swej roli dr. Camerona, mówił pierwszy. Dla niego być chrześcijaninem znaczy mieć tyle pokory, by zdać sobie sprawę jak bezbożne są lata obecne. Znaczy też czuć potrzebę zwracania się do Boga o pomoc i wskazanie drogi życiowej, po której człowiek mógłby kroczyć z zadowoleniem i nadzieją.

Po wspólnej modlitwie prowadzonej przez Speakera Izby Gmin, nastąpiło odczytanie wyjątków z mowy Chrystusa w Wieczerniku. Słowa modlitwy o przysły kościół przytoczył płk. Cheshire: „Ja nie tylko za nimi proszę, ale i za tymi, którzy przez słowa uwierzą we mnie, aby wszyscy byli jedno, jak Ty Ojciec we mnie, a ja w Tobie, aby i oni w nas jedno byli, aby uwierzył świat, żeś Ty mnie posłał. A ja chwalebę, którą mi dałeś, dałem im, aby jedno byli, jak i my jedno jesteśmy“.

Uroczyste fanfary i znany hymn kościelny odegrała orkiestra Armii Zbawienia. Zebrani oddechowali słowa melodii i świątynię wypełnił potężny chór głosów, od którego drżały mury katedry.

Gdy umilkły śpiew i muzyka spośród

wiernych wystąpił kardynał Heenan. Z prostotą i humorem oświadczył: „Nabożeństwo prowadzone przez świeckich skończyło się. Nikt nie może teraz powiedzieć: wszystko było dobrze, dopóki nie przyszedł kardynał i nie zepsuł uroczystości“. Następnym kilka uwag poświęcił drodze do jedności. W czasie ostatnich kilku miesięcy, powiedział kardynał, nastąpiło przyspieszenie tempa ekumenicznego. Zwiększyła się liczba spotkań między teologami i duchownymi wyznań chrześcijańskich. Papież wizytował Turcję. Patriarcha Athenagoras odwiedził Watykan. Spotkała się znowu Mieszana Komisja Katolicko-Anglikańska na Malcie. Katolicy i Metodysty w Anglii dyskutowali problemy jedności na wspólnej konferencji. Wszystko to stało się możliwe dzięki duchowi ekumenicznemu. Teraz właśnie jest pora byśmy zatrzymali się na chwilę i zapytali sami siebie dokąd to wszystko prowadzi i czy warte jest zachodu? Na te obydwa pytania jest jedna odpowiedź. Prowadzi nas to do jedności chrześcijańskiej, a to jest warte bardzo wiele. Nie znaczy to jednak, że mamy zamknąć oczy na wszystkie różnice doktrynalne. Jedność to nie jest kompromis religijny ani jedno credo.

Musimy przyjrzeć się sobie bliżej i zbadać dokładnie co jest zasadnicze, a co jest uprzedzeniem i przyzwyczajeniem w naszej wierze. Dowiedzieliśmy się przez usta arcyb. Ramsey'ego, że od czasów 2-go Soboru Watykańskiego osoba Papieża nie jest przeszkodą dla Kościoła Anglikańskiego, który widzi siebie jako część zjednoczonego kościoła pod przewodnictwem biskupa Rzymu.

Dowiedzieliśmy się też, że Karol Wesley, założyciel metodyzmu miał wielkie nabożeństwo do Matki Boskiej i odmawiał Różaniec. Widzimy dzisiaj jak wielką różnicę w udziale we mszy św. spowodował język angielski, choć nie tak dawno jeszcze nasi przodkowie ginęli za msze łacińskie. Dziś, gdyby zaszła ku temu potrzeba, umrzemy za wiarę lecz nie za język, obrzędy i zwyczaje. Nie mają one zasadniczego znaczenia dla wiary.

Przeciwnicy ekumenizmu mówią nam, iż grozi on indyferentyzmem, to jest uznaniem różnic doktrynalnych za nieważne. Zdaniem kardynała niebezpieczeństwo takie jest znikome, gdyż w rozmowach zjednoczeniowych biorą udział teolodzy doskonale obeznani w zasadach swoich obrządków. Niebezpieczeństwo leży gdzie indziej, nie w indy-

ferentyzmie lecz w ekumenizmie strasim.

Polega on na chowaniu głowy w piasek z fałszywym poczuciem, że wszystko dobrze idzie, że wystarczy rozmawiać, urządzać wspólne zjazdy i konferencje. Rezultat taki, że nie ma już siły i środków na wypełnianie pierwszych obowiązków chrześcijanina, to jest pracę apostołską i szerzenie ewangelii. Tymczasem, jak widzimy, coraz mniej naszych współrodaków praktykuje zasady wiary. Starsi, pomimo iż nie uczęszczają do kościoła lub nie wierzą w Boga, mają jeszcze pewien szacunek dla świętości. Młodzi natomiast często śmieją się z religii i uważają ją za zabobon.

Nawet niektórzy kapłani w swej chęci przypodobania się niewierzącym zapominają o swoich obowiązkach. „I to jest jedyne niebezpieczeństwo jakie widzę w ekumenizmie — zaniedbanie przez nas niewierzących, duchowo bezdomnych“ — oświadczył kardynał. Następnym i najważniejszym zadaniem stojącym przed ruchem zjednoczeniowym winno być odnowienie ducha ewangelii i apostołskiego zapału.

BUDOWANIE MOSTÓW

Historyczne wydarzenie miało miejsce w dniu 23 stycznia br., kiedy to anglikański prymas M. Ramsay przybył do katolickiej katedry Westminster i wygłosił tam kazanie.

Kardynał Heenan powitał dostojnego gościa pocałunkiem pokoju. Ten gest miał nie tylko symboliczną wymowę i głębię równą spotkaniu dr. Ramsay'ego z Ojcem Świętym w Rzymie przed dwoma laty, ale był też widomym znakiem zakończenia 400-letniej wrogości i podziału między obu Kościołami w Anglii.

Po raz pierwszy od czasów Reformacji władze miejskie wzięły udział w ceremonii powitalnej, w katolickiej katedrze. Przybył mer miasta Westminster, otoczony barwnym orszakiem dygnitarzy w historycznych strojach, poprzedzany przez insygnia swej władzy: trzy złote berła na czerwonej aksamitnej poduszce. Tuż za nim grupa Rycerzy Świętego Grobu w długich białych płaszczach. W świątyni oczekiwali też gościa przedstawiciele innych wyznań: grecko-ortodoksyjny Metropolita na Wielką Brytanię, Athenagoras, oraz czterech jego archimandrytów. Kapituła katedralna w pełnym składzie i uro-

(Ciąg dalszy na str. 30)

czystych strojach zajęła przednie ławy katedry. Czterotysięczny tłum wielowyznaniowy wypełnił szczerlnie świątynię i gorąco oklaskiwał obu pasterzy i ich słowa.

Witając arcybiskupa Ramsey'a u stóp ołtarza kardynał Heenan nawiązał do słów jakich użył w czasie swojej konsekracji w 1963 roku. „Biskup jest budowniczym mostów — pontifex. I ja mam zamiar budować mosty. Jeden z nich będzie łączył Westminster z Lambeth, gdzie mieszka nasz drogi przyjaciel“.

Dr. Ramsey, w swoim głębokim kazaniu podkreślił znaczenie więzi jaka łączy wszystkich chrześcijan przez Sakrament Chrztu. Przypomniał swoją wizytę w Watykanie i Wspólną Deklarację, wzywającą członków obu Kościołów do odnoszenia się z wzajemnym szacunkiem, poważaniem i braterską miłością. Rzeczą zasadniczą w naszej współpracy nie jest jednak wzajemna kurtuazja, lecz przyjęcie przez nas Chrystusa. „Gdy mówimy, że jedność musi być w prawdzie i w świętości, chcemy przez to powiedzieć, że zbliżenie jednych do drugich oznacza zbliżenie nas wszystkich do Chrystusa“. Wymaga to od nas byśmy upodobniali się do Niego w pokorze, ofiarności, odwadze i samozaparcu. Złanie się chrześcijaństwa nie może odbyć się tylko na jednej płaszczyźnie zjednoczenia kościelnego. Musi objąć unię nas wszystkich z Chrystusem. W ten sposób możemy sobie nawzajem służyć i pomagać przez modlitwę i uświęcanie się.

Zjednoczone chrześcijaństwo oznacza też wprowadzenie zasad Chrystusowych w życie społeczeństw i narodów. Oznacza również panowanie Chrystusa w duszach ludzkich, w życiu politycznym, ekonomicznym, w sprawiedliwym pokoju, w opiece nad głodnymi i potrzebującymi. Każdy uczynek, który pomaga zasklepić rany cierpienia, godzi się podzielonych jest wkładem do jedności. Na tym polu winniśmy się nawzajem spotykać.

Na zakończenie arcyb. Ramsey dziękował zebranym za tak gorące przyjęcie, a kard. Heenanowi za zaproszenie. Pomimo dużych różnic między obu Kościołami, pomimo długiej jeszcze drogi do jedności, istnieje już most, który nas łączy.

Wspólne nabożeństwa odbyły się też w Carlisle, Winchester, Liverpool i innych miastach Anglii. Wszędzie brali udział duchowni i wierni katolicycy i wierni innych wyznań, przedstawiciele Kościołów niezależnych i Armii Zbawienia. Prasa zarówno wyznaniowa jak też i ogólna, poświęciła obchodom oktawy jedności bardzo dużo miejsca.

Wacław Netter

Z ŻYCIA POLSKIEGO

Zjazd Polsko-Amerykańskiego Stowarzyszenia Historyków Polskich w Kanadzie

W dniach 28-29 grudnia ub. roku obradował w Toronto 24 Zjazd Polsko-Amerykańskiego Stowarzyszenia Historyków Polskich. Zjazd ten odbył się po raz pierwszy w Kanadzie a zorganizował go Polsko-Kanadyjski Instytut Badawczy, na czele którego stoi dr T. Krychowski.

Otwarcia Zjazdu dokonał przewodniczący Stowarzyszenia p. Z. Umiński, przedstawiając zebranym przewodniczącemu Polsko-Kanadyjskiego Instytutu Badawczego dr. T. Krychowskiemu. Ponadto przemawiali: ks. Rabięga oraz w imieniu organizacji polonijnych p. J. Burski.

W czasie zjazdu wygłoszono następujące referaty: Polish Contribution to Canadian Society (Early Outstanding Polish Canadian) — prof. L. Kos-Rabcewicz-Zubkowski. Demographic Profile of the Polish Community in Canada — p. R. K. Kogler, natomiast dr V. W. Adamkiewicz zaznajomił zebranych z zadaniami i celami oraz przebiegiem dwóch Konferencji Słowian zamieszkałych w Kanadzie, które odbyły się w 1965 i 1967 roku. Te trzy prelekcje zostały wygłoszone z ramienia Polsko-Kanadyjskiego Instytutu Badawczego. Z ramienia zaś Polsko-Amerykańskiego Towarzystwa Historycznego wygłosił referat p. H. Archacki: Polskie dary Ameryki dla Kanady. Następnie obradowały komisje zjazdowe.

Wieczorem Polonia w Toronto podejmowała uczestników zjazdu bankietem-opłatkiem. W czasie przyjęcia wygłoszono szereg przemówień a zespół taneczny „Orla Białego“ odtńczył tańce narodowe, przyjęte żywym aplauzem obecnych.

20-LECIE KOŁA S.P.K. W OXFORDZIE

Dla kombatantów polskich i dla społeczeństwa polskiego w Oxfordzie 20-ta rocznica założenia Koła SPK Nr 344 była dużym wydarzeniem. I jakkolwiek obchodzono ją raczej skromnie, bez wielkich akademii, sposób uczczenia był na pewno słuszny. W godzinach południowych (w niedzielę, 10 marca) odprawił ks. prob. A. Rataj Mszę św., w czasie której modlono się za wszystkich kombatantów, a szczególnie za tych, którzy byli członkami Koła w Oxfordzie.

Wieczorem odbyła się kolacja koleżeńska, w której wzięło udział ponad

sto osób, czyli jedna trzecia wszystkich Polaków mieszkających w Oxfordzie. Wzięli w niej także udział przedstawiciele kół sąsiednich. Gdy wszyscy zasiedli do pięknie nakrytych stołów, zabrał głos prezes Koła, kol. T. Dela, który przypomniał początki powstania Koła i podkreślił w serdecznych słowach zasługi tych, którzy przed 20 laty zakładali pierwsze fundamenty pod Koło. Niektórzy z tych zasłużonych działaczy byli na sali, inni przesłali telegramy z życzeniami. Kol. Dela mówił jedynie o pierwszych pięciu latach istnienia Koła, gdyż później sam został prezesem Koła i funkcję tę piastuje bez przerwy po dzień dzisiejszy, a więc od lat 15-tu. O jego zasługach dla Koła mówił członek Rady Głównej SPK i przedstawiciel Zarządu W. Brytania, kol. P. Hećciak. Wspomniał także wszystkich jego współpracowników, którzy razem z nim, przez lat 15 pracowali we władzach Koła. „Nie byłoby jednakże Koła, gdyby nie było członków“, którzy przez lat 20 wiernie temu Kołu służyli, biorąc udział w jego imprezach, placąc składki i podnosząc wspólnym wysiłkiem powagę Koła. Długotrwałymi oklaskami uczestnicy kolacji koleżeńskiej podziękowali prezesowi Deli i całemu Zarządowi za wytrwałą pracę i odśpiewali „Sto lat“.

Zabrał również głos płk. J. Cwiąkałski, który odczytał pierwszy okólnik czy apel, jaki przed 20-tu laty rozesłano do Polaków w Oxfordzie, wzywając ich do zapisywania się do Koła. Płk. Cwiąkałski odczytał również specjalnie napisany przez siebie wiersz z okazji 20-lecia Koła. Przemawiali i inni goście. W miłej i bardzo bezpośredniej atmosferze spędzono ten wieczór, a dawnym wspomnieniom nie było końca. Koło SPK w Oxfordzie, razem ze swą niedawno założoną szkołą sobotnią, dobrze broni sprawę polskiej.

SERDECZNE ŻYCZENIA

WESOŁEGO

ALLELUJA

składa

WSZYSTKIM

KLIENTOM

Dyrekcja

Polskiej Pralni

FLEET LAUNDRY

(Hampstead) Ltd.

144, FLEET ROAD,
LONDON, N.W. 3

Tel.: 485 1770



Pomnik JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO odsłonięty w grudniu 1967 w Rio de Janeiro, staraniem społeczeństwa polskiego w Brazylii, w ramach setnej rocznicy urodzin Wielkiego Marszałka. (por. „Orzeł Biały“ Nr 43. z lutego br.)

X ZJAZD KRAJOWEGO S.P.K. w AUSTRALII

W dniach 27 do 29 stycznia br. obradował w Sydney X Zjazd Delegatów Kół SPK w Australii. Udział w zjeździe wzięli delegaci wszystkich kół SPK w tym kraju. Prezes Federacji Światowej SPK, Karol Ziemiński, który ze względu na wysokie koszty podróży zrezygnował z osobistego uczestnictwa w zjeździe, nadesłał referat o zadaniach Stowarzyszenia, odczytany na plenum. Gen. Andersa oraz władze główne SPK reprezentował Ludwik Łubiński, dyr. Polsko-Amerykańskiego Komitetu Imigracyjnego na Europie.

Zjazd, któremu przewodniczył kol. S. Nowicki (Melbourne) — asesorami byli koledzy Mikus (Hobart) i Jarząbkowski (Brisbane) zaś sekretarzami C. Małecki (Melbourne), W. Gałązka (Geelong) — miał przebieg żywy, był interesujący ze względu na obszerną problematykę społeczną, która odzwierciedlała przekrój polskiego życia zbiorowego w Australii i dawała wierny obraz jego osiągnięć i potrzeb.

Uchwalono następujące rezolucje ideowe: „W sprawie ucisku Kościoła w Polsce“, w której zjazd apeluje „do ogniw SPK i do wszystkich polskich organizacji społecznych, aby nie szedźły wysiłków w obronie wolności wiary naszego Narodu i aby informowały

społeczeństwo australijskie o znaczeniu toczącej się walki dla wolnego świata“. Rezolucja „W sprawie młodzieży“ m.in. „apeluje do wszystkich polskich kombatanów, działaczy społecznych, pisarzy, duchowieństwa polskiego i matek Polek o dotożenie wszelkich możliwych wysiłków, celem nie tylko zachowania młodzieży polskiej w Australii przy polskości, ale również celem wychowania jej w duchu prawdziwie demokratycznym, aby młodzież ta przez kontakty z młodzieżą w Kraju mogła dopomóc tej ostatniej w znalezieniu właściwej drogi życia“.

Wreszcie rezolucja „W sprawie polskich kombatanów“ stwierdza, „że jakkolwiek współpraca czy kontakty z reżymowymi placówkami dyplomatycznymi, dysponującymi obecnie wyszkolonym personelem Bezpieki, pociąga za sobą niebezpieczeństwo stania się ofiarą i narzędziem wyrafinowanej ich taktyki... Zjazd wzywa wszystkich do kategorycznego przeciwstawienia się destrukcyjnej robocie komunistycznego reżymu warszawskiego“.

Zjazd uchwalił również szereg wniosków, jak w sprawie opieki nad cmentarzem w Casamassima we Włoszech, w sprawie Kaplicy-Mauzoleum, w sprawie budowy Domu Starca, zbiórki na inwalidów, pomocy polskim uchodźcom politycznym w Europie i in.

Zarząd krajowego SPK na nową kadencję wybrano w następującym składzie: J. Dąb-Dwórski — prezes; M. Petelczyc i Z. B. Skarbek — wiceprezesa; F. Hądzal — sekretarz gen.; J. Hulaniccki — ref. pras.; J. E. Oziębło — protokolant; S. Krugiółka — skarbnik; dr A. Przybyłski — public officer.

Gospodarzem Zjazdu było Koło SPK w Sydney z prezesem kol. J. Balickim. Wychodzący w Melbourne „Tygodnik Polski“ pod redakcją R. Gronowskiego, poświęcił Zjazdowi numer z 3 marca br.

OBRADY S.P.K. W SZWAJCARII

Stowarzyszenie Polskich Kombatanów, Oddział Szwajcaria, odbyło swój 17-ty zjazd dnia 3-go marca br. w Solurze.

Walne Zebranie poprzedziła Msza św. odprawiona przez O. prof. J. M. Bocheńskiego, rektora tutejszej Misji Katolickiej, a świetne i pouczające kazanie wygłoszone przez Ojca Profesora wysłuchano ze specjalną uwagą.

Prezes Koła Solura, B. Gmurczyk, jako gospodarz, powitał delegatów i gości. Przewodnictwo obrad objął dr. J. Rakowski. Ustępujący prezes Oddziału, płk. S. Karolus, na wstępie swego przemówienia powitał O. prof. I. M. Bocheńskiego i gościa z Rzymu

p. Witolda Zahorskiego, który reprezentował Zarząd Światowej Federacji SPK, odczytał przysłane depeche od generałów: K. Sosnkowskiego, W. Andersa, S. Pelca i K. Ziemińskiego, p. J. Godlewskiego i in., a także od Oddziałów SPK. Przedstawił działalność Oddziału w czasie dwuletniej kadencji i pod koniec oświadczył, że ze względu na zły stan zdrowia, nie może kandydować na stanowisko prezesa w następnej kadencji.

Sprawozdania zarządu, poprzednio podane na piśmie, szły szybko i sprawnie, uwidoczniły dodatnie wyniki pracy w każdej dziedzinie, składki członkowskie wpłacone prawie w 100 procentach, majątek Oddziału powiększył się o 3.000 fr., tak że obecnie wzrósł do sumy ponad 10.000 fr. opieka społeczna i opieka nad grobami w miarę sił i środków działają bez zarzutu, udział SPK w uroczystościach polskich i polsko-szwajcarskich żywy, opieranie się infiltracji komunistycznej zdecydowane i skuteczne. Sprawozdanie, głównie cyfrowe, złożył kierownik instytucji Kiermaszu Książki Polskiej, K. F. Vincenz. W okresie sprawozdawczym, za dwa lata, sprzedano książek 1.555 egz., pism, kartek, obrazków 318 pozycji. Czysty zysk: 2.252.55 fr. szwajc. prawie cały został rozdzielony na cele oświatowe, kulturalne i społeczne. Podstawą działalności KKP są wystawy-kiermasze, w wymienionym okresie było ich 49. Ponadto, KKP urządziło 25 odczytów i pogadanek. Od lat KKP organizuje nagrody im. Anny Godlewskiej, powierzone tej instytucji przez fundatora ich Juliana Godlewskiego, ostatnio 3.000 fr. dla dziennikarzy i publicystów. Rozdziela też drobne pomoce dla naukowców, literatów i studentów, których fundatorzy pragną pozostać anonimami. Pod koniec, kierownik KKP złożył podziękowanie pani Halszce Vincenz-Poniatowskiej za ofiarę i długoletnią pomoc we wszystkich pracach kiermaszowych, bez której pomocy prowadzenie instytucji KKP byłoby niemożliwe, jak również p. Jacqueline Doberskiej i kolegom: Gmurczykowi, Koniecznemu i Poprawie za pomoc w urządzaniu wystaw i transporcie książek.

Z kolei, bibliotekarka p. H. Vincenz-Poniatowska (jedyna kobieta-delegat) złożyła sprawozdanie z biblioteki-wypożyczalni, mieszczącej się z braku lokalu w mieszkaniu prywatnym. Stan biblioteki podniósł się do 700 egz., nie ma ona żadnych funduszy prócz drobnych opłat za wypożyczanie, katalog powielany był do wglądu obecnych. Stan czytelnictwa, szczególnie wśród członków SPK, jest słaby.

Na wniosek Komisji Rewizyjnej u-

(Dokończenie na str. 32)

PAMIĄTKI POLSKIE W LONDYNIE I LUNEVILLE

ZIMOWA wystawa sztuki francuskiej XVIII wieku w Królewskiej Akademii Sztuki na Piccadilly jest, niewątpliwie, największym tryumfem organizacyjnym tej akademii od końca ostatniej wielkiej wojny, zgromadziła bowiem około 1.040 dzieł prawie 300-u francuskich mistrzów, a także posiada ona dla nas, Polaków, specjalne znaczenie. Okazuje się bowiem, że na honorowym miejscu, zarezerwowanym dla rodziny królewskiej, na wielkiej zachodniej sali, powieszono portret konny naszego rodaka, Stanisława Kostki-Potockiego, malowany przez Jacques Jean Davida, najznakomitszego artystę-malarza epoki rewolucji a potem I-go cesarstwa. Obraz ten stanowi „clou“ tej wystawy, co podkreślił specjalnie londyński miesięcznik artystyczny „Apollo“, zamieszczając jego kolorową reprodukcję na okładce swego wydawnictwa.

Oto co pisał w związku z tym faktem: „Nie ulega wątpliwości, że obraz ten, jest portretem malowanym przez J. L. Davida „haute école“ hr. Stanisława Kostki-Potockiego i nie tylko jest to największy obraz na tej wystawie, lecz jest to podobizna polskiego arystokraty, czyli człowieka niemiłego dla Davida, zagorzałego rewolucjonisty, który nie ośmieszał jednak zmienić swych poglądów, gdy został nadwornym artystą-malarzem Napoleona“.

David namalował portret Potockiego w Neapolu w r. 1781-ym na zamówienie króla neapolitańskiego, Ferdynanda. Widzimy na nim Potockiego przybranego w ówczesny strój sportowy składający się z żółtych bryczesów, białej koszuli z bufiastymi rękawami, kamizelki, długich sznurowanych butów, kapelusza z piórem i niebieskiej wstęgi „Białego Orła“ na piersi... Pisał o tym portrecie francuski krytyk, Réau, w „L'expansion de l'art français“, co następuje: „Pod-

czas polowania wydanego przez króla Ferdynanda Potocki znalazł się na postoju, gdzie mu przydzielono wspaniałego gniadego konia z piękną grzywą i kręconym ogonem, którego nikt nie potrafił okiełznać. Potocki podjął się tego zadania bez wahania i cel swój osiągnął. Na obrazie wygląda jakby chciał powiedzieć: „Oto widzicie jak to się robi“. David, który gościł wtedy na dworze królewskim, zdumiał się zimną krwią Polaka, wobec czego król Ferdynand polecił mu uwiecznienie tej sceny na płótnie“.

Polski krytyk, A. Ryszkiewicz, ze swej strony podał w wątpliwość autentyczność tej historii, uważając ją za przyjemną i romantyczną legendę, niemniej jednak przypomniał w jednym ze swoich pism, że w związku z tym obrazem istnieje w Neapolu ołówkowy szkic Davida i że katalog rzymskiej sztuki z roku 1775-go wspomina o tym szkicu jakoby będącym z Muzeum Sztuki w Orleanie. Inny pisarz francuski, Lossky, zwrócił uwagę, że w r. 1775 „La Direction des Bâtiments du Roy“ nabyła od pani du Barry, kochanki Ludwika XV-go, portret konny Karola I-go, króla angielskiego na koniu, pędzla Van Dyck'a, który miał służyć za model dla portretu Davida. „Apollo“ podaje, że w obrazie tym czuje się „chrzest skrzydeł polskiej husarii“...

David (urodził się w Paryżu w roku 1748-ym), początkowo malował dość skromne portrety burżuazji francuskiej i dopiero zabił się za czasów rewolucji portretem zamordowanego w wannie przez Szarlotę Corday, dyktatora rewolucyjnego, Marat'a, obrazem „La Tricoteuse“ — będącej symbolem proletariatu paryskiego (robiły one na drutach kiedy spadały głowy na giloty-nach), pani Récamier, słynnej piękności tego okresu, aż wreszcie wspaniałą kreacją „koronacji Napoleona w Nôtre-Dame“, „Rozdziałem Orłów Cesarskich na Champs de Mars“ i podobiznami nowo-kreowanych arystokratów napoleońskich. David był członkiem Akademii Francuskiej, niemniej podczas rewolucji złożył swój podpis pod wyrokiem śmierci na Ludwika XVI-go i Marię Antoninę. Co się tyczy Potockiego, to po roku 1815-ym był ministrem edukacji za Księstwa Warszawskiego, napisał traktat po francusku, pt. „Le Winchermann polonais“. Malowali go poza tym Grasi, Antoni Graff i Angelika Kaufmann.

Na wystawie w „Royal Academy“ znajduje się również wypukła komoda

w stylu ludwikowskim, która należała niegdyś do królowej Marii Leszczyńskiej, żony Ludwika XV-go. Komodę tę zamówił on u znanego wówczas mistrza sztuki meblarskiej w trzech egzemplarzach, z których jeden dał królowej Marii, jeden sobie zatrzymał, a jeden podarował swej kochance, pani Pompadour. Królowa Maria trzymała tę komodę w swoim apartamencie w Wersalu do śmierci, po czym przeszła ona na własność króla.

Jej ojciec, zdeponizowany król Stanisław Leszczyński, osiadł na stałe, jak wiadomo, w Lotaryngii, gdzie z ramienia Ludwika XV-go był wielkorządcą do śmierci. Ludwik podarował mu pałac królewski w mieście Lunéville, i przyznał ogromne apanaże, które umożliwiły Leszczyńskiemu prowadzenie tak wystawnego trybu życia, że według Voltaire'a, nie ustępował on trybowi prowadzonemu w Wersalu. Pałac zbudował Boffart, pupil słynnego Mansarta, twórcy Wersalu i ozdobił w stylu „rococo“, który narzucił Francji i całej Europie dwór francuski. Pałac jest otoczony przepięknym parkiem, pełnym kłębów, sadzawek, fontan, pawilonów dla gości i artystów, grot, pergol oraz statui. Podczas wizyty w pałacu dwóch córek Marii Leszczyńskiej, Adelajdy i Wiktorii, król Stanisław wydał bankiet na 200 osób z udziałem aktorów i muzykantów. Istnieją szczegółowe opisy tego przyjęcia, które rywalizowało z wersalskimi. Poza zabawami jednak, król Stanisław, jako człowiek niezwykle wykształcony, okazał się świetnym administratorem Lotaryngii, w zamian za co lud tamtejszy postawił mu pomnik na placu jego imienia w stolicy Lotaryngii, Nancy, król bowiem dbał o gospodarczy rozwój swego kraju, budując drogi i mosty, szkoły, szpitale i przytulki.

Stefan Kleczkowski

(Dokończenie ze str. 31)

dzielono absolutorium ustępującemu Zarządowi z podziękowaniem za jego pracę. Dokonano wyboru nowych władz Oddziału: dr. Jerzy Paszkowski — prezes, B. Gmurczyk i K. F. Vincenz — wiceprezysi J. Jakimowicz — sekretarz i M. Respond — skarbnik. Uchwalono nowy budżet.

Dr. J. Rakowski prowadził sprawnie obrady, w czasie których dyskutowano gorąco problemy Oddziału. Dr. Rakowski również pożegnał w serdecznych słowach ustępującego prezesa, płk. S. Karolusa.

Sel.

Doskonała książka na nagrody młodzieży w szkołach przedmiotów ojczyźstych

ICH MŁODE LATA

JADWIGI OTWINOWSKIEJ

Opowieść o chłopcach z Legionów

Cena: 9/-

„GRYF“ — 171, Battersea Church Rd.
London, S.W. 11.

MARIAN SZYSZKO-BOHUSZ w dalszym ciągu swego cyklu „Millenijnego“, poświęconego 1000-letniej sztuce polskiej, wygłosił odczyt o malarstwie „Młodej Polski“ na tle ówczesnego ruchu intelektualnego. Podniósł przy tym wysoki poziom, jaki malarstwo polskie osiągnęło po powstaniu styczniowym.

W SALI POLSKIEGO OŚRODKA Zrzeszenie Plastyków Polskich w Wielkiej Brytanii urządziło odczyt prof. M. Szyszko-Bohusza, pt. „Dzień dzisiejszy w plastyce“. Następnie odbyło się przekazanie P.O.S.K. kilkudziesięciu obrazów ofiarowanych przez polskich artystów-plastyków na emigracji do stałej kolekcji malarstwa polskiego w mającym powstać Domu Polskim w Londynie.

WICEMARSZ. B. PODOSKI, prezes Rady Społeczności Akademickiej U.S.B. otworzył doroczną wystawę „Studium Malarstwa Sztalugowego“. Wzięło w niej udział 22 studentów, z których większość miała po kilka prac. Wśród słuchaczy studium jest 50 proc. obcokrajowców: Japonka, Belg, Austriaczka i Brytyjczyk.

PROF. IGNACY WIENIEWSKI, twórca przekładu „Iliady“ Homera i będącego na ukończeniu przekładu „Eneidy“ Wergiliusza, otworzył XVIII doroczną wystawę Stowarzyszenia Fotografików Polskich w sali Polskiej YMCA. Wzięło w niej udział 14 artystów z 120 kilku eksponatami. Z grona wystawiających wyróżnił się młody J. Barucki, swymi kompozycjami abstrakcyjnymi. Abstrakty w kolorach reprezentowali R. Jabubski i S. Kurzyna. Do działu nowych eksperymentów zaliczyć można jeszcze izohelia — sprowadzające obraz do dwóch walorów — Z. W. Franka, który poza tym otrzymał przechodnią nagrodę im. Arvaya za całokształt działalności.

ANDRZEJ CIECHANOWSKI, doradca artystyczny „Polonik Brytyjskich“ wydawanych przez B. O. Jeżewskiego, jest kierownikiem Heim Gallery. Równocześnie z wystawą w Royal Academy urządził on w swej galerii własną wystawę sztuki francuskiej XVIII wieku. Zawiera ona m.in. poloniki takie jak portrety Fryderyka Augusta III, Marii Leszczyńskiej i markizy du Chatelet, właścicielki Hotelu Lambert, nim został siedzibą rodziny ks. Czartoryskich.

FELIKS TOPOLSKI urządził w Grosvenor Gallery wystawę swej kro-

niki rysunkowej, prowadzonej od 1953 roku. Zawiera ona 218 prac rysunkowych i malarskich. Wystawę otworzył książę Philip, z którym łączą artystę długotrwałe więzy przyjaźni. Topolski wykonał kilka portretów i obrazów dla rodziny królewskiej. Twórczość polskiego artysty jest bardzo oryginalna i bezkompromisowa.

STEFAN KLECZKOWSKI, znany dziennikarz i rysownik, wystąpił na dorocznej wystawie w Klubie tenisowym na Putney z pokazem swych prac. Wśród 270 eksponatów było 6 olei Kleczkowskiego o tematyce rodzajowej i pejzażowej. Patronem Klubu, do którego należą też polscy tenisiści, jest książę Philip.

PIĘCIU ARTYSTÓW EMIGRACYJNYCH: K. Pacewicz (Augustus Pac), R. Black, S. Reychar, H. Nałęcz i J. Rostkowski, wzięło udział w tegorocznej wystawie stowarzyszenia artystów brytyjskich „National Society“. Prace ich stanowiły drobną część 600 eksponatów bardzo różnorodnej wartości artystów brytyjskich i innego pochodzenia. Pacewicz dał dwie akwarele: główkę i pejzaż, odznaczające się delikatnością tonacji i nawiązujące do najlepszych tradycji postimpresjonistycznych. Kilka płócien H. Nałęcz należą do nowej fazy jej nawrotu do natury. Ceramika S. Reychara wyróżnia się pomysłowością i dobrym wykończeniem i dlatego zapewne ma duże wzięcie. R. Black pokazał kilka abstraktów, a niespodzianką jest udział w wystawie prof. dr. Jana Rostkowskiego w charakterze rzeźbiarza.

HELENA WAWRZKIEWICZ odniosła duży sukces na swej wystawie w Drian Gallery, prowadzonej przez Halinę Nałęcz. Na otwarciu był tłok, a widzowie rekrutujący się z tzw. śmietanki intelektualnej polskiego Londynu, podziwiali kolekcję około 30 obrazów reprezentujących najświeższe osiągnięcia artystki, niedawnej dyplomantki „Studium Malarstwa Sztalugowego“. Jej prace malarskie wykazują jednolity na ogół poziom kompozycyjny, dobrze scharmonizowaną kolorystykę, i pociągającą oko świeżość stylową, wskazującą na wysokie usamodzielnienie się od wszelkich wpływów. Zainteresowanie ogólne winno dobrze wróżyć dalszym poczynaniem malarskim tej utalentowanej artystki. O talencie jej i walorach charakteru świadczy fakt, że

Helena Wawrzkiewicz zdobyła dyplom nauczycielski, upoważniający ją do nauczania w angielskich szkołach sztuk pięknych. Jest to chwalebny sukces pracowitości i systematyczności.

H. DORENBERG-DZIERZGOWSKA doskonała miniaturzystka, przebywająca stale w Madrycie, bawi z wizytą w Londynie, co pozwoliło zapoznać się z niektórymi jej pracami. Wśród nich znajdują się portrety-miniatury, odznaczające się dobrym podobieństwem i subtelnością wykończenia różnych osobistości z hiszpańskich kół towarzyskich z żoną gen. Franco i królową belgijską Fabiolą na czele.

KATARZYNA WILCZYŃSKA urządziła w William Ware Gallery wystawę swych prac rysunkowych i malarskich. Krytyka angielska podkreśla szczególnie udatnie wykonane rysunki robione podczas wielokrotnych pobytów artystki w Grecji.

OLGA KARCZEWSKA, dawna uczennica Studium Malarstwa Sztalugowego, urządziła w Polskiej YMCA przegląd całokształtu swej twórczości plastycznej, zaprezentowanego w 25 płótnach z różnych okresów pracy. P. O. Karczevska prowadzi w Prowancji międzynarodowy ośrodek artystyczny, który ma coraz większe wzięcie, zwłaszcza wśród Anglików.

6-ciu MALARZY Z KRAJU brało udział w wystawie w Royal College of Art Gallery. Składają się na nią prace T. Makowskiego (1882—1932), P. Potworowskiego (1898—1962), Jerzego Tchórzewskiego (ur. 1928), A. Kobzdeja, E. Markowskiego (ur. 1912) i T. Brzozowskiego. Życzliwa prasa angielska wskazuje na niereprezentatywność tego zespołu o wielkiej rozbieżności lat, wyróżniając zwłaszcza prace Potworowskiego. Wspomina przy tym o wykoszlawianiu współczesnej sztuki w Polsce „idiotyzmami ideologicznymi“. Pokazano również plakaty, które uznane zostały za mierne w porównaniu z osiągnięciami w tym zakresie z poprzednich lat.

J. Ostr.

BIBLIOTEKA POLSKA

W

LONDYNIE

NASZA WŁASNOŚĆ

NASZ OBOWIĄZEK

„GAŁĄZKA ROZMARYNU“ po 54 latach

Zdarza się, że wielkość pisarza czy artysty nie przejawia się w tym, w czym żywił największe ambicje, lub za co bywa szczególnie ceniony przez szerokie masy. Nowakowski był wielkim miłośnikiem teatru, a jednak pozostał w literaturze świetnym felietonistą. „Gałązką...” — jak słusznie na to wskazał Juliusz Sakowski — Nowakowski „poważył się” wypełnić „lukę” w narodowym repertuarze polskim. I dla porównania z nią nie znajduje się większej sztuki, jak „Kościuszek pod Racławicami”. „Gałązkę...” trudno jest uważać za coś więcej, niż za dziennikarski szkic widowiska, który czeka na poetyckie swe prerredagowanie. Legenda może się obyć bez misterium, ale ujęta teatralnym słowem, musi być owiana poezją. Z. Nowakowski nie był poetą.

„Gałązka...” cieszy się jednak pewnym powodzeniem w repertuarze teatralnym i wśród widzów. Tłumaczy się to łatwo prawem teatru, że wyraźny udział w widowisku ma poza aktorami również i widownia. Ona często dopowiada sobie to, czego brak na scenie. Sprawdzić to można było i podczas obecnego drugiego wznowienia widowiska na emigracji. Obecnie widownia „Commonwealth Institute” była w dużym stopniu wypełniona publicznością szczególnie chłonną na tę właśnie Legendę, bo wśród niej było wielu aktorów i naocznych jej widzów, dziś generalów, prezesów, ambasadorów, czy też zasłużonych bojowników o wolność innych stopni społecznych.

Widowisko zostało włączone w ramy obchodu setnej rocznicy urodzin Józefa Piłsudskiego, pod patronatem Komitetu z gen. K. Sosnkowskim na czele. „Gałązka rozmarynu” jest sztuką złożoną z serii 5 „obrazów legendy” nie związanych akcją dramatyczną, a tylko wspólnym tematem i osobami. Przewiduje ona ok. 50 wykonawców, którą to liczbę musiano zredukować do niespełna 40, nie licząc artystycznego personelu pomocniczego. Było to i tak ponad zwykłe możliwości sceny emigracyjnej. Aby podjąć zadanie musiały się stowarzyszyć dwa teatry: Z.A.S.P. i „Syrena”. Zgrać w krótkich terminach i amatorskich warunkach pracy tę masę sceniczną było zadaniem szczególnie ciężkim nawet dla tak doświadczonych reżysera, jak L. Kielanowski. Najwidoczniej musiał się on ograniczyć zaledwie do postawienia poszczególnych postaci, w czym aktorzy niewątpliwie poszli mu na rękę. Natomiast rwały się raz po raz kontakt między nimi wskazuje, że niedopisać musiała dyscyplina zespołu-

Z RÓŻNYCH DZIEDZIN

NAJPRĘDSZY SAMOLOT PILOTOWANY

Znany as amerykańskiego lotnictwa, major William Knight, poprawił w październiku ponownie swój rekord prędkości samolotu, osiągając na nowej wersji raketowego samolotu „X-15” fantastyczną szybkość 4.534 mil. czyli 7.300 kilometrów na godzinę. Oczywiście podczas bardzo krótkiego lotu. Po odłączeniu się od bombowca B-52, który wydzwignął go na wysokość 45.000 stóp, leciał na własnym napędzie zaledwie 10 minut, a następnie bez szwanku wylądował. Nowe stopy metali wytrzymały doskonale straszliwy opór powietrza.

NAJWIĘKSZE STATKI MORSKIE

Największe statki, oczywiście cysterny, budują stocznie japońskie. W listopadzie został zwodowany tankowiec „Idemitsu Maru”, mający 205.000 ton brutto i aż 342 metry długości. Olbrzym ten jest budowany w Yokohamie. Inne stocznie mają już zamówienia na jeszcze większe cysterny (około 300.000 ton).

NAJWIĘKSI PRODUCENCI I EKSPORTERZY SAMOCHODÓW OSOBOWYCH

Pod względem produkcji Ameryka oczywiście nadal przoduje, choć jej produkcja w 1966 roku (10.3 milionów) już nie stanowi przeszło połowy produkcji światowej. Na drugie miejsce wysunęły się Niemcy Zachodnie (ca 3.1 miliony), a dalsze zajmują: Japo-

nia, Francja, Wielka Brytania (od 2.2 do 2 milionów), Włochy (ca 1.3 mln.), Kanada i Szwecja.

Zupełnie inaczej układa się kolejność pod względem rozmiaru eksportu samochodów osobowych. Niemcy Zachodnie, które produkują przeważnie małe i tanie wozy, dzierżą od lat prym, gdy Ameryka, produkująca przeważnie duże i drogie wozy, znajduje się dopiero na 7 miejscu. Wyrzeczają ją (poza Niemcami Zachodnimi, które w 1966 r. eksportowały blisko 1,5 mln. wozów), W. Brytania (555.000), Francja (540.000), Włochy (360.000), Kanada (162.000) i nawet Japonia (152.000), bo Ameryka eksportowała zaledwie 120.000 wozów tego typu. Ich eksport był w W. Brytanii jedenastokrotnie większy niż import, w Japonii siedmiokrotnie a w N.R.F. pięciokrotnie.

NAJWIĘKSZA ENCYKLOPEDIA

Sowiety, nie kontentując się posiadaniem najcięższych satelitów orbitalnych i najdłuższych gazociągów czy wybudowaniem w Wołgogradzie, dawnym Stalingradzie, największego w świecie pomnika (jak głosi dowcip, chcą mieć nawet największych karłów), przystąpiły już dość dawno do opracowania największej encyklopedii. Encyklopedia ta ma składać się aż z 30 tomów i ma być w latach 1969 do 1974 stopniowo wypuszczana na rynek księgarski. Tym więcej będzie w niej herezji, przeinaczeń i kłamstw.

NAJLICZNIEJSZE SAMOLOTY PRYWATNE

Najwięcej samolotów prywatnych, tzw. handlowych, turystycznych i sportowych, posiada w Europie Zachodniej Francja, bo (podług paryskiego tygodnika „Match”) blisko 5.000, gdy Wielka Brytania i Niemcy Zachodnie mają ich tylko po ca. 2.300, Włochy 1.200, Szwajcaria niespełna 800 a pozostałe kraje zachodnioeuropejskie od 360 w dół. W sumie jest w Europie Zachodniej rzekomo aż 12.440 takich samolotów, samolotów komunikacyjnych i wojskowych nie licząc. Stany Zjednoczone mają oczywiście wielokrotnie więcej samolotów wszystkich tych kategorii.

NAJMNIEJ KORESPONDENTÓW ZAGRANICZNYCH

Najmniej korespondentów zagranicznych pism tolerują Chiny. Przynajmniej stosunkowo! Po wypędzeniu czeskiego korespondenta „Rude Pravo”, Strougata, pozostało w Pekinie już tylko 26 przedstawicieli pism zagranicznych, w lwiej części komunistycznych.

wa, choć autor tak podkreśla znaczenie zespołowości w swej sztuce.

Aby nie nadużyć ściśle wymierzonego miejsca na recenzje teatralne, trzeba się ograniczyć do wyróżnienia tylko dwóch aktorów: Teresy Nowakowskiej jako Ciotki i Ludwika Lawińskiego jako Feldmarszałka.

Scenografia i kostiumy utalentowanej pary dekoratorów J. i F. Matyjaszkiewiczów była tym razem nierówna. Przesadzono w archaizacji kostiumów Zosi i Pani Słowikowskiej, a poz. omowi dekoracji na biwaku i na linii nie dorównywały realistyczne chałupiny w innych scenach. Efekty świetlne F. Stawińskiego doskonałe. Organizacja O. Lisiewiczowej — jak zwykle — bardzo sprawna. Udział Chóru Chopina pod dyr. R. Nawrota niedostatecznie wykorzystany. Piosenek w tym wznowieniu poskąpiono. Program bogato ilustrowany zawisł poza czasem i przetrzeźnia: nie wspomina ani miejsca, ani czasu odbycia się premiery tego wznowienia.

J. Ostrowski

STARZY, MŁODZIEŻ I DZIECI

B.D.I.C

SCHORZENIA kości są jedną z najpospolitszych nieomówionych podszeregu wieku i jedną z najprzykrzejszych. Po za stawami kolanowymi, które są najczęściej atakowane u ludzi starszych, stawy biodrowe zajmują drugie miejsce w statystykach schorzeń kostnych. Przyczyną bywa najczęściej reumatyzm kończyn, znany w Anglii, jako choroba niemal narodowa, pod nazwą rheumatoid arthritis. W samej tylko W. Brytanii tysiące ludzi na progu starości, ale nierzadko także i w średnim wieku, wiedzie smutne życie, bez możliwości swobodnego poruszania się — poprzez schorzenia jednego lub więcej ze stawów. Do niedawna możliwości uleczenia ich, lub nawet tylko ulżenia im, były niewielkie. Pacjentom aplikowano środki uśmierzające ból, lecz ani proszek, ani lekarstwo nie mogły tu być pomocne do tego stopnia, aby cierpiący mogli poruszać się z całkowitą swobodą.

Ostatnio jednak poczyniono zasadnicze postępy na tym polu. Przede wszystkim zespoły uczonych postanowiły zacząć naśladować samą naturę przez — by się wyrazić codziennym, niefachowym słownictwem — „naolejanie“ chorych stawów. Poza tym w leczeniu reumatyzmu nastąpiło coś w rodzaju rewolucji. Otóż pewien chirurg-ortopeda po latach wysiłków i doświadczeń stworzył sztuczny staw biodrowy, skonstruowany ze stali oraz materiału plastycznego zwanego poyeethylene i tym to sztucznym stawem udało mu się zastąpić schorzały ludzki staw.

Dzisiaj chirurgia stawów biodrowych jest szybko postępującą naprzód gałęzią medycyny, a rezultaty osiągnięte są doprawdy zdumiewające. Stosowanie sztucznego stawu biodrowego w miejsce chorego udaje się w 95 procentach przeprowadzanych operacji, a w samej W. Brytanii takich operacji przeprowadza się ponad tysiąc rocznie. Odbywają się one w specjalnie do tego celu wyekwipowanym szpitalu nieopodal miejscowości Wigan. Większość pacjentów przybywa do szpitala albo o kulach, albo na inwalidzkich wózkach. W cztery lub pięć tygodni po dokonanej wymianie stawu opuszczają oni szpital, aby w zasadzie prowadzić całkowicie normalne życie, wolne od bólu i niemożności poruszania się.

* * *

Chociaż bożyszczą młodzieży współczesnej — The Beatles, czy też członkowie innych, konkurencyjnych zespołów „mocnego uderzenia“ zażywają LSD,

palą marihuana i ogłaszają potem w wywiadach prasowych, iż za pomocą tych podmiotów „odkrywają Pana Boga“ nie stając się jednocześnie narkomanami — stwierdzmy od razu, że zarówno LSD, marihuana, jak i wszelkie inne narkotyki nie tylko są szkodliwe, ale po prostu zgubne dla organizmu.

Poza tym, owe dwa wyżej wymienione „niewinne środki“ tak zachwalane przez nieodpowiedzialnych i niedojrzałych młodych ludzi, znajdujących się u szczytu szybko przemijającej sławy i kariery — mogą między innymi powodować poczynanie nienormalnego potomstwa, nie mówiąc już o możliwościach szaleństwa u samych zażywających.

Konopie indyjskie (cannabis), które dotychczas uważane były za jeden z najmniej niebezpiecznych narkotyków, powodują brak poczucia zarówno czasu jak i przestrzeni. Rzecz więc jasna, że człowiek palący je, który na przykład prowadzi auto, lub nawet tylko sam przechodzi przez jezdnię, może spowodować śmiertelny wypadek, lub sam stać się jego ofiarą. Poza tym narkotyk ten paraliżuje centra nerwowe (to właśnie jest jedną z przyczyn błądostanu narkomanów), czyniąc nieraz ludzi niebezpiecznymi dla otoczenia. Ale — ponad wszystko inne — owe tak zwane „niewinne“ środki zawsze torują drogę do zażywania następnych: heroiny, morfiny, kokainy i tak dalej. Po prostu organizm, raz przyzwyczajony do sztucznej podnieci — szuka coraz to nowszych jej objawów w coraz to silniejszych i bardziej zdrowie rujnących substancjach.

Ostatnio w Genewie obraduje specjalna komisja wyłoniona przez Narody Zjednoczone, która w swoim raporcie przedstawi wszystkie te tragiczne fakty. Zadaniem komisji będzie znalezienie sposobów wykorzenia u podstaw tego jeszcze jednego zła naszego wieku. Jednym z osiągniętych już na tym polu zwycięstw jest to, iż rząd Libanu, czyli kraju z którego płyną największe dostawy konopi indyjskich, zastosował wreszcie środki zabraniające hodowli cannabisu. Zamiast tego chłopci libańscy będą sadzić — słoneczniki. Organizacja Narodów Zjednoczonych wysłała do Libanu ekspertów rolnych, pod których kierownictwem chłop libański nauczył się sadzić i zbierać zdrowsze plody ze swej roli.

I może słowa ostrzeżenia komisji ONZ-tu, że rodzicom palącym konopie, lub zażywającym LSD będą się rodzice „nie dzieci, a potwory“ wstrząsnie

„młodymi zbuntowanymi“ i każe im zastanowić się nad ich odpowiedzialnością w stosunku do następnego pokolenia, które będzie pokoleniem ich własnych dzieci.

* * *

Z chwilą wybuchu epidemii w szpitalu Royal Victoria w Newcastle-upon-Tyne, podczas której ponad dwadzieścioro dzieci straciło życie pod koniec ubiegłego roku — błąd strach padł na matki w W. Brytanii. Wobec tego warto jest może wyjaśnić na czym właściwie ta epidemia polegała, podkreślając jednocześnie, że był to wypadek raczej odosobniony.

W W. Brytanii umiera rocznie około trzech tysięcy dzieci w wieku poniżej roku, a przyczyną ich zgonu bywa bardzo często infekcja dróg oddechowych. Jednym z powodów tej infekcji bywa wirus pod nazwą RSV. Niebezpieczeństwo zakażenia tym wirusem polega także i na tym, iż może on być traktowany przez matkę jako zwyczajne przeziębienie, a kiedy wreszcie odkryje się go, jest nieraz za późno na uratowanie dziecka.

Po tragicznych doświadczeniach w Newcastle, gdzie co prawda tylko w ośmiu wypadkach na 22 infekcja RSV została stwierdzona, ale istnieją podejrzenia, że miała miejsce i u reszty dzieci — lekarze brytyjscy wiedzą już nieco więcej o owym zabójcy małych dzieci (ofiary epidemii w Newcastle były przeważnie niemowlętami poniżej sześciu miesięcy życia, a tylko troje miało ponad rok). Obecnie można żywić nadzieję, że w niedługim już czasie niebezpieczeństwo dla życia niemowląt powodowane przez RSV zostanie wyeliminowane.

W przypadku tej właśnie infekcji najważniejszym czynnikiem jest szybka diagnoza. Im szybciej dziecko znajdzie się w szpitalu pod fachową opieką, tym większe będzie miało szanse na wyzdrowienie. Drugi element — to stosowanie tlenu i odpowiednich lekarstw, podtrzymujących funkcjonowanie serca i płuc a nie antybiotyków, które po tragicznych doświadczeniach z zeszłego roku, najprawdopodobniej nie są wogóle wskazane.

Na marginesie wspomnieć należy, iż lekarz domowy spotyka się nieraz ze stanowczym żądaniem ze strony rodziców, aby chore dziecko otrzymało ten czy inny antybiotyk, który „zabije wszelkie zarazki“. Otóż właśnie tak nie jest i lekarz, który odmawia dania antybiotyku ma zapewne rację.

Na zakończenie pragnę dodać, że część dzieci, które zmarły podczas epidemii były w ogóle dziećmi bardzo chorymi, z wrodzonymi wadami organizmu, których nadzieje na przeżycie były raczej znikome.

BRAIN WASHING

POZNAŁAM ją jako ośmioletnie dziecko. Była małomówna, zamknięta w sobie. Taka młoda Basia. Ładne oczy miały wyraz myślący i smutny. Przebywała w otoczeniu starszych, którzy rozmawiali o kropnych rzeczach, o wojnie, aresztowaniach, rozstrzeliwaniach. Był to okres okupacji niemieckiej w Polsce. A ze Lwowa, gdzie mieszkała ukochana ciocia, wieści też były złe. Ciocię zamordowali bolszewicy. Tatusz Basi poszedł na wojnę i choć obie z mamą żyły latami nadzieją jego powrotu, nigdy nie powrócił. Trafił do niewoli sowieckiej i pochłonęła go „nieładna ziemia“. Starsi uczyli dziewczynkę milczenia i udawania, że o niczym nie wie, niczego nie widziała ani nie słyszała. Taki zakłamany ponury świat tych starszych. Odpychający i niezrozumiały dla dziecka, które pragnie zabawy, radości, śmiechu i słońca...

Po wielu, wielu latach otrzymałam od przyjaciółek telefoniczną wiadomość, że Basia przyjechała do Londynu na kilka tygodni. Jest już oczywiście dorosła, ukończyła uniwersytet. Czy chcę ją zobaczyć? Ależ tak, tak!

Pojechałam do Londynu w najbliższą niedzielę.

Wita mnie ładna, przeszło trzydziestoletnia kobieta. Skromnie ubrana. Powściągliwa w słowach. Rzadko się uśmiecha. Zaczęłyśmy od rozmowy o tych, którzy ocalili. Później o tych, których znała w dzieciństwie, a których już wśród nas nie ma. Wreszcie o warunkach życia w Polskiej Republice Ludowej. I tu padają słowa:

— Bo u nas w krajach demokracji...

— Demokracji?! — Podskakuję na krześle. — Przecież w okupowanej Polsce nie ma demokracji, jest totalizm, tajna policja, cenzura, niemożność mówienia prawdy, niedopuszczalna jest krytyka reżymu i Sowieców... Wybory są komedią, wybiera się osoby ustalone i narzucone przez partię komunistyczną i rząd...

Widzę, jak ładna twarzyczka ściga się boleściwym skurczem, usta zacinają się.

Zmieniam więc temat. Mówimy o szmatkach, o cenach w kraju i w An-

glii. Porównujemy zarobki. Okazuje się, że na średniej jakości wełniany kostium damski trzeba w Polsce pracować przynajmniej trzy miesiące, a z czego przez ten czas żyć? A w Anglii takiż kostium można mieć za równowartość pieniędzy tygodnia — dwu, pracy.

Przyznała, że większość ludności w Polskiej Republice Ludowej (która nie jest ani Republiką, ani Ludową, nie jest w możności utrzymać się z zarobków i że ta większość „podkrada“ w najrozmaitszy sposób. Gdy zwróciłam uwagę, że to ustrój jest winien i że skutki masowej demoralizacji długo Polska będzie musiała w przyszłości odrabiać, odpowiedziała, że komunizm jest tylko dla najlepszych, którzy potrafią się wyrzeknąć różnych udogodnień życiowych.

— Tak? — spytałam zdziwiona — tylko dla elity? A gdzie jest to „dobro mas“, o którym pisał Lenin i o którym zachłystuje się propaganda sowiecko-komunistyczna już przez pół wieku? A przy tym, po co się wyrzekać? Czy dla zbrojeń sowieckich? Przecież wiadomo, jaki haracz ściąga Rosja sowiecka z krajów satelickich.

No, dobrze — myślę sobie. Nie będę już jej męczyć. Jest ofiarą wyrastania pod kloszem, przy jednostronnej, a jakże często fałszywej propagandzie. Niech więc sama patrzy i przetrawia. I niech sama dochodzi do własnych konkluzji.

Proponuję więc spotkanie następnego dnia, by od rana zacząć zwiedzanie Londynu. Reakcja jest radosna, zjawia się uśmiech, żegnamy się bez przymusu, serdecznie.

Nazajutrz zwałniam się z biura i pędzę na umówione miejsce. Stawia się punktualnie. Zaczynamy od przejażdżki po centrum miasta, a później sklepy: Marx i Spencer, Selfridge, Harrods. Jest wyraźnie oszołomiona. Jaka masa towaru! — mówi. Nie wiadomo na co patrzeć...

Wiem, że krewni obdarowali ją pewną ilością funtów, aby mogła się zaopatrzyć w bieliznę, sukienki i letni płaszcz. Proponuję więc, aby sobie coś wybrała. I tu znowu buzia robi się chmurna i słyszę słowa:

— U nas wszystkiego jest dużo, w Polsce też można się ubrać...

— Ależ tak, naturalnie — odpowiadam ubawiona takim dziecinny „patriotyzmem“. Ale nie uprawiajmy ciuciubabki. Nadarza się pani okazja uczciwego nabycia dobrych angielskich wyrobów, więc dlaczego nie? Chodźmy teraz na obiad, jak tutaj mówią — na lunch. Dobrze?

Poszłyśmy. Przy deserze moja towarzysza „rozkrochmałała się“. Umówiłyśmy się na jeszcze jedno spotkanie.

A na razie, zawiozłam ją do Instytutu im. gen. Wł. Sikorskiego. Oglądając muzeum i wysłuchując objaśnień oprowadzającego, obserwowałam skupioną twarz. Wtrąciła kilka uwag, sprostowała jedną datę. Zna historię — pomyślałam z uznaniem.

Później pokazałam Bibliotece Polską, Ognisko — gdzie wstąpiłyśmy na kawę, dom S.P.K. Słuchała mego opowiadania o trzydziestu domach SPK w Anglii, o celach tego światowego polskiego związku, o sobotnich szkołach „Macierzy“, o organizacjach młodzieży, o polskich naukowcach pracujących na wyższych uczelniach całego świata, o zadaniach emigracji w walce o wolność prawdziwą Polski.

Nie protestowała. Powiedziała tylko w zamyśleniu — „u nas piszą, że emigracja to groszrobry, którzy wybrali dobrobyt, a gen. Anders, to fałszywa i agent amerykańskiego imperializmu“...

— Znamy to — przerywam. I że reżym wydał książkę opisującą jak to gen. Anders do spółki z Churchillem kazali zamordować gen. Sikorskiego!

— Skąd pani wie? — wykrzyknęła zdumiona.

— Bo i tutaj agentury reżymowo-komunistyczne takie bzdury rozpowszechniają. Na szczęście, nasza emigracja wie dużo, zna Rosję lepiej od Anglików, czyta sporo, szuka prawdy i ma możliwość swobodnego wypracowywania swojej opinii. Dam pani do przeczytania książki: Andersa „Bez ostatniego rozdziału“, Stypułkowskiego „W zawierusze dziejonej“ i rezultat wieloletnich dochodzeń — „Katyń“. Chce pani?

— Czy to warte czytania?

— Bardzo. Otrzyma pani bezstron-

ny materiał i moc faktów. Sama pani osądzi.

Wzięła. Przyznała się później, że czytała zarywając nocy. Otworzył się przed nią świat wydarzeń okropnych, a tak starannie przemilczanych w Polsce obecnej.

Z naszych rozmów wynikły dalsze spotkania. Odwiedziliśmy Hyde Park Corner i słuchałyśmy występujących tam mówców, rozmaitych narodowców i rozmaitych przekonanych politycznych i religijnych. Przemawiali wtedy — członek jakiejś sekty religijnej, niedaleko jakiś komunista, a w pobliżu przedstawiciel żydowskiej organizacji. Tłumaczyłam, jak umiałam. Komunista atakował państwo Izraela. Żydowski mówca atakował Nasserę. Moja rozmówczyni w pewnej chwili zauważyła:

— No cóż, Izrael pierwszy rozpoczął wojnę, więc jest „agresorem“. Zaoponowałam. Wskazałam na stałe bombardowanie ziemi Izraela przez artylerię Jordanii, na zapowiedź Nasserę zniszczenia państwa Izraela i wymordowania ludności, na rolę Rosji sowieckiej, która systematycznie Egipt uzbrajała i do wojny podżegała. Izrael nie mógł czekać, musiał się bronić.

Moja rozmówczyni słuchała i milczała.

Zmieniając temat, zwróciłam jej uwagę na policjanta, spokojnie spacerującego wśród słuchaczy. Że jest nieuzbrojony i pilnuje tylko porządku. Że każdemu wolno tu przemawiać na dowolny temat, nawet komunistom, którzy dążą do podboju świata. Że wolno krytykować rząd. I spytałam — co by się stało, gdybym tak w Warszawie spróbowała przemawiać w parku lub na ulicy i zaczęła kry-

tykować Moczara i Rosję sowiecką?

— No, napewno U.B. zlikwidowałoby panią... Ale Lenin był wielkim idealistą i dużo dobrego zrobił dla mas ludowych.

— Szanuję pani złudzenia, ale ich nie podzielam. Lenin jest sprawcą straszliwych cierpień i niewoli wielu milionów ludzi. Masą ludzką pogardzał, traktował ją jako bezkrytyczne narzędzie do realizacji jego celów politycznych. Ale nie chcę sprowadzać rozmowy między nami na drogi sporu doktrynalno-politycznego. Niech pani sama robi porównania i sama wyrabia sobie pogląd na to, co przeżywa świat i nasza wspólna Ojczyzna, którą przecież obie gorąco kochamy. W tych strasznych czasach za to, że obie jesteśmy Polkami, utraciliśmy — ja męża i syna, a pani — ojca... Wszyscy oni zginęli w Rosji...

Rozstałyśmy się bardzo serdecznie i postanowiłyśmy pisywać do siebie, pamiętając jednak o cenzurze listów przez U.B. w Kraju.

Rozmowy, które w skrócie opisuję, nie są fantazją. Są one, niestety, smutną prawdą, wycinkiem naszej współczesnej polskiej rzeczywistości. Ludzie w Kraju są pozbawieni pism i książek z państw wolnych. Nie jest tam bezpiecznie mówić prawdę. A w szkołach, w radiu, w przemówieniach polityków komunistycznych, w prasie całkowicie uzależnionej od komunistycznego rządu, od cenzury, od przydziałów papieru i najrozmaitszych innych form nacisku i kontroli — stale są powtarzane z góry ukute slogany, urabiane wiadomości i oświecenia. Wszystko to dzieje się w myśl instrukcji idących z Moskwy.

Ś. † P.

CZESŁAW CHOWANIEC

Kustosze Biblioteki Polskiej w Paryżu, Sekretarz Generalny Towarzystwa Historyczno-Literackiego, członek Zarządu SPK we Francji, zmarł 22 marca 1968 roku w Paryżu, przeżywszy lat 69.

ZARZĄD S.P.K. we FRANCJI

BIBLIOTEKA „KULTURY“

„Zeszyty Historyczne“

ZESZYT XIII 1968

zawiera m.in. prace:

T. Katelbach: ZET.

Wiktor Tomir Drymer: Zagadnienie żydowskie w Polsce 1935—1939.

Stanisław Kot: Wspomnienia (III)

Edward Puacz: Powstanie Warszawskie w notatkach Adama Bienia.

Witold Babiński: Ze wspomnień o Józefie Lipskim.

Tadeusz Romer: U kolebki pewnego sojuszu.

Jan Weistein: Scenariusz ministra Gafencu.

Wypadki krakowskie w ocenie sądu.

Cena: sh. 25/-, F. 15.00, \$ 3.00

Nie mając bezstronnych informacji, nie mając możliwości czynienia porównań, ludzie w końcu zaczynają obracać się w psychicznym kręgu pojęć, narzucanych przez propagandę. I te pojęcia zaczynają być bezmyślnie powtarzane. Następuje zjawisko „wymywania“ w umysłach pojęć niedogodnych reżymowi, a wtłaczanie pojęć temu reżymowi dogodnych. Anglicy i Amerykanie nazywają to „brain washing“. Ilustracją tego były moje rozmowy z Basią, w których starałam się dać jej trochę informacji oświecających wydarzenia historyczne i obecny świat z innej strony, niż czynią to komuniści. Przy tym komuniści niczego tak się nie boją, jak prawdy o sobie. Bo każda propaganda oparta o kłamstwo, musi bać się prawdy.

Jak my mamy się wobec tych faktów zachować? Czy mamy spierać się gorąco z naszymi rodaczkami i rodakami, przybywającymi z Kraju i tworzyć między nami atmosferę kłótni i przegród? Nie! To byłaby błędna taktyka. Naszym zadaniem jest przyjść przyjeźdnym z pomocą w kształtowaniu się ich własnych krytycznych poglądów. I dlatego najlepszą drogą jest dostarczanie informacji, przyjacielskie naświetlanie, dawanie książek i materiału w rozmowach, aby obudzić do nieufnego i krytycznego traktowania komunistycznej propagandy.

ŚP. JAN JAXA-AXENTOWICZ (GIEŁGUD)

Dnia 9 listopada 1967 r., zmarł w dalekiej Limie (Peru), po długiej i ciężkiej chorobie płk. dypl. artylerii śp. Jan Jaxa-Axentowicz (GIEŁGUD).

Urodził się w 1898 roku w Krakowie jako syn światowej sławy malarza T. Axentowicza i matki z domu Giełgud. Wychowany w tradycji pradziada po kądzieli gen. Giełguda, ostatniego Naczelnego Wodza Wojsk Polskich w wojnie polsko-rosyjskiej 1830-31 r. — już od najmłodszych lat szukał dróg do realizacji swych uczuć patriotycznych. Jako uczeń III-go gimnazjum krakowskiego wstąpił w szeregi skautów, a z wybuchem I-szej Wojny Światowej, która zastała go w 6-tej klasie tegoż gimnazjum — do Legionów.

Od wiosny 1916 r. aż do kryzysu przysięgowego służył w 1 Pułku Artylerii Legionów, w 1-szej baterii haubic, stale współdziałającej z 1-szą Brygadą Legionów, a po kryzysie przysięgowym wraz z kolegami z zaboru austriackiego — został wcielony do armii austriackiej. Po upadku Austrii Jaxa-Axentowicz zgłosił się natychmiast do formującego się w Krakowie 1 Pułku Art., z którym wyszedł na front do Lwowa. Całą kampanię polsko-rosyjską 1919-1920 r. odbył w 8-mej baterii 1 Pułk. Art. Leg. i służył w tym pułku do 1925 r., do przeniesienia do 23 Pułku Art. Pol. Po paru latach wyznaczony został na instruktora do Szkoły Podchorążych Artylerii w Toruniu. W 1930 r. powołany został do Wyższej Szkoły Woj. w Warszawie, skąd po pierwszym roczniku został wysłany do L'École Supérieure de Guerre, po ukończeniu której otrzymał przydział do Sztabu Głównego, a następnie odbył staż w 1 Pułku Art. Leg. im. Józefa Piłsudskiego w Wilnie. Wybuch wojny 1939 r. zastał go jako Szefa Sztabu 24 Dyw. Piechoty.

Wzięty do niewoli sowieckiej we Lwowie, najpierw osadzony został w Starobielsku, skąd po krótkim czasie jako oficera II-go Oddziału

przewieziono Go do Moskwy, do więzienia na Łubiance.

Po wybuchu wojny sowiecko-niemieckiej zwolniony do formującej się Armii Polskiej na Wschodzie, był początkowo wyznaczony na Szefa Oddz. II A.P.W., a następnie na Szefa Sztabu 7 D.P. Po ewakuacji do Iraku objął dowództwo 8 Pułku Art. Lekkiej, po rozwiązaniu którego był przez dłuższy czas oficerem do zleceń gen. Wł. Andersa. Ze względu na stan zdrowia, które pobyt w więzieniu znacznie pogorszył i którego już nigdy nie odzyskał — pozostał w Kairze jako oficer łącznikowy Wojsk Polskich na Środkowym Wschodzie.

Po zakończeniu wojny, przejściowo przebywał w Anglii (w Londynie), skąd wkrótce zdecydował się na emigrację do Peru, w nadziei stworzenia tam sobie lepszych warunków bytu. Mimo oddalenia utrzymywał niemal do końca swego życia żywą łączność z kolegami i organizacjami społecznymi w W. Brytanii.

Był założycielem i prezesem Samodzielnego Koła SPK w Peru oraz przewodniczącym Komisji Skarbu Narodowego. Wśród Polonii w Limie odgrywał czołową rolę i był powszechnie uznawany za jej seniora.

Śmierć Jego boleśnie odczuli Polacy w Peru oraz Jego koledzy — kombatancki w świecie.

Wybitny oficer, o chlubnej karcie służby, odznaczony Krzyżem Niepodległości, 4-krotnie Krzyżem Walecznych, Złotym K. Z., 2-krotnie Legią Honorową (francuską) — posiadał wiele innych odznaczeń polskich i zagranicznych.

Odchodząc osierocił żonę, zamężną córkę, wnuka i wnuczkę. Ubył z naszych szeregów najlepszy zawsze życzliwy Kolega, pozostawiając po sobie głęboki, szczery żal. Pamięć o Nim pozostanie trwała w naszych sercach.

Niech Mu ta daleka i obca ziemia lekką będzie!

KOLEDZY ROCZNIKA 30/32 W.S.W.

Księgarnia S.P.K.

20, QUEENS GATE TERRACE,
LONDON, S.W. 7.

Anders Władysław
BEZ OSTATNIEGO
ROZDZIAŁU 35s

Sosnkowski Kazimierz
MATERIAŁY
HISTORYCZNE 63s

Rudnicki Jan
SŁOWA A CZYNY 65s

Narbut-Łuczyński J. A.
U KRESU
WĘDRÓWKI 52/6s.

Korboński Stefan
W IMIENIU
RZECZYPOSPOLITEJ 63s

Nowakowski Zygmunt
WIECZORY
POD DĘBEM 42s

Tomkiewicz Mina
BOMBY I MYSZY 35s

Grabowski Zbigniew
OJCZYZNA EUROPA 50s

Kuniczak W. S.
THE THOUSAND
HOUR DAY 42s

Korboński Stefan
WARSAW IN EXILE 42s

Przesyłka każdej książki 4s.

SŁONECZKO

TAK SIĘ jakoś złożyło, że mimo najszerszych chęci nie byliśmy u Sewilskich na tradycyjnym czwartkowym zebraniu przed pójściem do szpitala pana domu. Naturalnie, dowiedziawszy się, że wrócił do domu i że zwykle przyjęcie w trzeci czwartek miesiąca odbędzie się, pośpieszyliśmy z żoną, aby odrobić poprzednie zaległości. Dowiedziawszy się od gospodarza, że — jasna rzecz! — wszelkie badania w szpitalu nie dały wyniku, bo „skąd te konowały miałyby się na czymś więcej znać, niż na zapisaniu aspiryny na ból głowy“ — rzuciłem okiem na zebrane towarzystwo. Oczywiście, wszyscy stali bywalcy stawili się w komplecie: doktor Dojda z żoną, Erywańscy, Szponderska, major Miecz-Szabliński, Astrachańska z mężem. Ale w rogu pokoju, otoczony gronem zaśmiewających się pań, stał z kieliszkiem w rękę jakiś nieznan mi mężczyzna w naszym wieku (ja, nawiasem mówiąc, przyznaję się do przynależności do raczej bliżej nieokreślonej grupy wieku „pod pięćdziesiątkę“ — moja żona, raczej uporczywie, od kilku lat utknęła na czterdziestu pięciu), o dość ponurym wyrazie twarzy i imponującej łysinie.

— Kto to jest? — szepnąłem do Sewilskiej.

— To? Ach, to nasz nowy nabytek, państwo go jeszcze nie znacie. Naprawdę nazywa się Emil Bezstronny, ale my go nazywamy Słoneczkiem.

— Słoneczkiem? — zdziwiłem się.

— Tak, Słoneczkiem. Pojęcia pan nie ma, cóż to za pogodny i sympatyczny człowiek. A dowcipny! Potrafi zabawić całe towarzystwo przez cały wieczór.

Po takiej rekomendacji nie pozostało mi nic innego, jak tylko udać się na osobiste rozpoznanie, tym bardziej, że moja żona już się zdążyła przyłączyć do otoczenia Słoneczka i śmiała się serdecznie. Znalazłszy się w zasięgu słuchowym Bezstronnego, usłyszałem, jak mówił:

— Właściwie nie wiem, po co ja tu przychodzę. Wódki mało, wyżywienie kiepskie, panie dawno już przekroczyły wiek poborowy...

Dalsze słowa Słoneczka zagłuszyła prawdziwa eksplozja śmiechu zebranych. Najgłośniej rechotał sam gospodarz.

— Pan to zawsze coś takiego wymyśli, panie Emilu, że człowiek chce, czy nie chce, musi się śmiać — powiedziała Astrachańska.

— No, pani to wiele nie potrzeba — odpowiedział posepnie Bezstronny.

Znowu ogólna radość. Zauważywszy

mnie, gospodarz pociągnął mnie za ramię.

— Panowie się jeszcze nie znają, prawda?

Słoneczko spojrział na mnie przelotnie zdruzonym wzrokiem i westchnął:

— Jeszcze jeden kandydat na emeryturę?

Wszyscy — prócz mnie — zachichotali. Poczulem się dotknięty.

— Wybacz pan... — powiedziałem porywczo, ale w tej chwili otrzymałem dyskretnego szturchańca pod piątę żebro.

— Śmieję się! — syknęła mi w ucho żona — Nie rób ze siebie durnia.

Uśmiechnąłem się, ale — przyznaję szczerze — bez entuzjazmu. Tymczasem Słoneczko zwrócił się do Szponderskiej:

— Pani rudera jeszcze się nie zawaliła?

Śmiech ogólny, graniczący prawie z histerią u samej Szponderskiej. Poczulem się nieswojo, wiedząc, jak bardzo Szponderska dumna jest ze swojej rezydencji.

— Jeszcze nie! — wykrztusiła na koniec odpowiedź Szponderska.

— Zawali się, zawali, niech się pani nie boi! Ale bo też pomysł kupować budynek, nadający się do rozbiórki! — zawyrokował Bezstronny z niezmiennie posepnym wyrazem twarzy.

Wśród ogólnej radości, towarzyszącej ostatniej wypowiedzi Słoneczka, odciągnąłem przemocą na bok moją żonę.

— Powiedźże mi, o co tu chodzi? Co w tym wszystkim jest śmiesznego? — zaytałem cicho. — Z czego wy się śmiejecie?

Obrzuciła mnie spojrzeniem, pełnym bezbrzeżnej pogardy:

— Ach, ty ponuraku! Nawet nie umiesz ocenić prawdziwej pogody ducha i prawdziwego humoru!

Co powiedziawszy, wyrwała mi się i i powróciła do licznego grona, opasującego zwartym kołem Słoneczko. Oddalając się ku kredensowi, na którym stały butelki, aby wzmocnić moje poczucie humoru, dosłyszałem jeszcze głos Bezstronnego:

— Jasna rzecz, że pana musieli wyrzucić ze szpitala bez diagnozy. Myśli pan, że oni się na markierantach nie umieją poznać? Ubzdurał pan sobie jakąś dolegliwość, ale w gruncie rzeczy zdrów pan, jak koń, i gdyby nie to, że prędzej czy później szlag pana trafi w wypadku samochodowym, żyłby pan do setki.

Dostrzegając roześmianą twarz Sewil-

skiego, do którego zwrócone były słowa Słoneczka, przyspieszyłem kroku, aby szybciej dotrzeć do zbawczej butelki.

Nie było jednak ratunku. Salonik Sewilskich jest nieduży i co chwila znajdowałem się w zasięgu tubalnego głosu Słoneczka, który poinformował Erywańską, że ma zeza (święta prawda, ale dlaczego zaraz mówić przy wszystkich?), jej mężowi oznajmił, że po nosie na sto metrów można w nim poznać pijaka (owszem, Erywański ma raczej jaskrawo zabarwiony organ powonienia, ale czy o tym trzeba koniecznie mówić?), doktorowi Dojdzie powiedział, że dorabia się na procentach od miejscowego towarzystwa pogrzebowego (doktor istotnie stracił ostatnio kilku pacjentów na skutek odkomenderowania ich do św. Piotra, ale to nie jest temat do rozmów towarzyskich), a majorowi Miecz-Szablińskiemu sprzeciwił jasno swoje poglądy na inteligencję kawalerzystów („Całe szczęście, że macie konie, żeby za was myślały!“). Wszyscy się okropnie śmieli, a poszkodowani najbardziej. I tak powoli upływał wieczór.

W pewnym momencie podążyłem na piętro domku Sewilskich do tak zwanego „cichego ustronia“, które, jak w wielu tego typu siedzibach, zawiera również i łazienkę. Tam natknąłem się na Bezstronnego, który z posepnym wyrazem twarzy mył ręce. Zobaczywszy mnie, powiedział:

— Naturalnie. Zjadł pan za cztery osoby, wypił za pięć, i teraz musi pan biegać.

Zamiast wybuchnąć serdecznym śmiechem, spojrziałem mu chłodno w oczy i powiedziałem:

— Drogi panie! Niech pan schowa swoje niewybredne dowcipy dla innych, bo mnie to wcale nie bawi.

Zastanowił się przez chwilę.

— Tak pan uważa, — zapytał z namysłem.

— Uważam? Panie, za tego rodzaju bzdury, które pan wygaduje, u mnie w domu wyleciałyby pan za drzwi w ciągu pięciu minut.

Po raz pierwszy w ciągu wieczoru Bezstronny uśmiechnął się.

— Bardzo się cieszę, że pan jest tego zdania — powiedział.

Ze zdumienia zamilkłem na chwilę.

— Pana to dziwi? Widzi pan, ja się z panem absolutnie zgadzam.

— Więc po co pan to wszystko mówi? — wybąkałem nakoniec.

Uśmiechnął się znowu.

(Dokończenie na str. 40)

— Proszę pana, niech pan na mnie spojrzy. Przyzna pan, że nic szczególniego sobą nie przedstawiam.

— Absolutnie nic — potwierdziłem gorąco. — Nawet... nawet powiedziałbym, że pana wygląd jest raczej niesympatyczny.

— Widzi pan! — ucieszył się. — Teraz pan chyba już wszystko rozumie.

— Wprost przeciwnie, pojęcia nie mam, o co panu chodzi.

— No tak, na inteligentnego to pan nie wygląda — powiedział swoim dawnym, towarzyskim tonem.

— Niech się pan ze mną nie wysila, dobrze? — przerwałem ostro.

— Siła przyzwyczajenia, proszę pana, siła przyzwyczajenia. Ale wróćmy do mnie. Widzi pan, przez długi czas w życiu wszyscy mnie uważali za straszliwego przeciwnika, i w biurze i w towarzystwie. Wszystkie kobiety, w których się kochałem, zawsze wybierały kogoś efektowniejszego.

— Co nie było trudne — mruknąłem. Spojrzał na mnie z wyrzutem:

— Teraz pan znowu zaczyna, tak? Ale wszystko jedno, niech pan słucha dalej. I tak pewnie działałoby się dalej, gdyby nie to, że pewnego dnia przyszedłem na zebranie towarzyskie z bólem

głowy i wogóle w fatalnym humorze. I, jak to mówią, zacząłem wszystkim rąbać prawdę w oczy. Ku mojemu zdumieniu wszyscy uważali to za świetny kawał i stałem się ośrodkiem zainteresowania.

— I od tego czasu przyjął pan to, jako stałą taktykę — zakończyłem za niego.

— Jasna rzecz. Z początku było mi trochę głupio, ale później się przyzwyczaiłem. A jak to działa, sam pan widział.

— Widziałem, widziałem — powiedziałem w zamyśleniu. — I ożenił się pan z piękną kobietą?

— Z trzema, proszę pana, z trzema — zapewnił mnie. — Naturalnie po kolei. A w biurze dostaję awans, bo uchodzę za surowego, ale sprawiedliwego krytyka. Niezawodny system, powiadam panu.

— Na to wygląda — zgodziłem się. Rozstaliśmy się w najlepszej komi-tetywie. Obserwowałem go zresztą przez resztę wieczoru i przysiągłbym, że kilka razy podchwyciwszy mój wzrok, mrugnął na mnie znacząco.

— Czarujący człowiek, ten Bezstronny — powiedziała moja żona w autobusie.

— Owszem — przyznałem.

— Tyle ciepła, tyle bezpośredniości, tyle optymizmu! — entuzjazmowała się. — Żebyś ty miał choć jedną dziesiątą tego wdzięku!

Postanowiłem spróbować. Spojrzałem na nią badawczo i powiedziałem:

— Robi ci się brodawka na nosie.

Zamiast wybuchnąć śmiechem, porwała nerwowo za torebkę i spojrzała w lustro, a potem na mnie — z prawdziwą, zupełnie nieukrywaną niechęcią.

— Dureń jesteś! — powiedziała.

I nie zamieniliśmy już tego wieczoru ani słowa. Okazuje się, że nie każdy może być Słoneczkiem.

Wojciech Stefański

LISTY DO REDAKCJI

„SYMBOLICZNE PRZEKAZYWANIE OBRAZU“

Szanowny Panie Redaktorze,

Będąc w Polsce, wziąłem udział w uroczystościach religijnych w diecezji katowickiej z okazji przekazywania obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej z kościoła do kościoła.

Jak wiadomo, władze „ludowe“ nie zezwoliły na tę akcję, wobec czego odbywało się symboliczne przekazywanie obrazu. Na ołtarzach zazwyczaj były same ramy lub obraz Jasnej Góry w cierniach.

Oto zwrotka jednej z pieśni, śpiewanych w czasie tych uroczystości:

Z dawna Polski Tyś Królową, Maryjo,
Zwiedzasz kraj swój dziś na nowo,
Maryjo,
Choć Cię nie widzimy wcale,
Tyś duchowo z nami stale, Maryjo.

Łączę wyrazy poważania,

P. W.

(nazwisko znane redakcji)

POSZUKIWANIE

JAN KORBEL — przebywający prawdopodobnie w Stanach Zjednoczonych A.P. lub w Kanadzie ma wiadomości od rodziny. Proszony jest o skomunikowanie się z Kierownikiem Polskiego Osiedla (Polish Home), Penrhos nr. Pwllheli, Caerns., Gt. Britain.

Ś. † P.

TADEUSZ JÓZEF MARYNOWSKI

Kapitan

Odnaczony Krzyżem Niepodległości z Mieczami, Krzyżem Walecznych i innymi, żołnierz Pierwszej Brygady Legionów i Armii Krajowej, działacz SPK w Niemczech i od 1947 r. Superintendent Polskich Oddziałów Wartowniczych, zmarł dnia 20-go lutego 1968 r. w M. Gladbach, przeżywszy 68 lat. Pogrzeb odbył się 25 lutego 1968 na cmentarzu Hardt.

W Zmarłym straciliśmy serdecznego Kolegę i wybitnego działacza niepodległościowego.

Cześć Jego pamięci!

ZARZĄD S.P.K. W NIEMCZECH

Adres WYDAWNICTWA: PCA Publications Ltd., 20, Queens Gate Terrace, London, S.W.7, gdzie mieści się także adres redakcji. Korespondencję z Redaktorem Naczelnym kierować można na: 171, Battersea Church Road, London, S.W. 11 (telefon: BAT 0879 lub BAT 1445). Adres ADMINISTRACJI: „Gryf“ — 171, Battersea Church Road, London, S.W.11. Tel. BAT 1445. Oddział Redakcji we FRANCJI: „Syrena“ — 20, rue Legendre, Paris, 17-e. Tel. WAG 0045, Editions ELKA S.A.R.L. c/c p. No. 5507-30 Centre Paris, oraz na pld. Francję — S. Horodyski, Ecole des Filles, La Penne s/Huveaune (B. du Rh.); w BELGII: J. Korab Bzozowska-Csáky, 19, rue Amédée Llnen, apt. 67, Bruxelles 3, konto poczt. 7315.20; w NIEMCZECH: S. Mikiciuk, Muenchen, 45, Gablonzerstr. 7/I; w SZWAJCARII: S. J. Karolus, 10 rue Ingold, CH-2500, Biel-Bienne 4; w SZWECJI: Polski Komitet Pomocy, Jungfrugatan 30/II, Stockholm; we WŁOSZECH: W. Zahorski, Ass. Comb. Polacchi, Via Licia 19, Roma; w ARGENTYNIE: „Libreria Polaca“, Serrano 2076, Buenos Aires; w AUSTRALII: „Vistula (Australia) Pty Ltd.“, Daking House, Rawson Place, Sydney; w KANADZIE: T. Krychowski, 101, Islington Ave South, Toronto 18, Ont. lub „Gryf“, Londyn; w STANACH ZJEDN.: J. Bienkowski, 627, Tracy St., Utica, N.Y.; Polish-American Book Co., 1136 Milwaukee Ave, Chicago 22, Ill.; „Księgarnia Ludowa“, L. Zukowski, 5347 Chene St., Detroit 11, Mich. ORAZ OGNIWA S.P.K. W POSZCZEGÓLNYCH KRAJACH. Egzemplarz pojedynczy: 3/6, \$ 0.50, Fr 2.50. PRENUMERATA — kwartalnie: £ 0.10.6, \$ 2.00, Fr 7.00; półrocznie: £ 1.1.0, \$ 4.00, Fr 14.00; rocznie: £ 2.2.0, \$ 8.00, Fr 26.00 — względnie według przeliczenia waluty miejscowej. Dopłata za przesyłkę lotniczą według taryfy. Przedstawicielstwo w Wiedniu: Stowarzyszenie Polskiej Kultury, Fr. Schmidplatz 4, Wien VIII.

przywdziania polskiego munduru marszałkowskiego „po otrzymaniu na gorąco tego stopnia wojskowego” jest wprost śmieszne i trzeba nie znać zupełnie Piłsudskiego, by mu przypisać stosowanie się do takich czy innych zamiarów francuskich. Stambrowski, pisząc o „otrzymaniu na gorąco” stopnia Marszałka Polski przez Piłsudskiego nie wie nic w tej sprawie, co kwituje wymownie twierdzeniem, że było to „dopiero po wojnie”! (Omyłkę zrobił też pod tym względem gen. Głabisz w swoim wspomnieniu o Marszałku w numerze grudniowym 1967 r. pisząc, że Piłsudski nie był marszałkiem w czasie bitwy warszawskiej w 1920 roku). Piłsudski otrzymał stopień Marszałka Polski od Komisji Weryfikacyjnej Wojska Polskiego w dniu 19 marca 1920 roku.

Stambrowski uważa, że Piłsudski „ubierał się raczej jak leśnik”, myśląc o jego „szarym stroju”. Przecież wojsko za jego czasów ubierało się w polowe mundury, raczej koloru szarego lub ciemno-zielonego. Ten „szary strój” nosił Marszałek — zdaniem autora — „prawie do końca życia”, co było po tym „prawie” Stambrowski nie pisze. Wreszcie, zdaniem p. Stambrowskiego, mundur marszałkowski jaki nosił Piłsudski „zwłaszcza jeżeli chodzi o kolor, absolutnie nie podpadał pod przepisy o umundurowaniu naszego wojska”. Obawiam się, że autor mało zna się na tych sprawach. Mundur Marszałka różnił się tylko kolorem od mundurów „khaki” naszego wojska, zaś krojem i szczegółami mundurowymi nie różnił się niczym. Jedyną różnicę stanowiła maciejówka strzelecka zamiast rogatywki. No, ale taki człowiek jak Piłsudski mógł sobie pozwolić na taki partykularizm, co nie było dowodem „cywilności” a starym ubiorem Strzelca i Legionów Polskich a później wojska polskiego, formowanego w dawnej Kongresówce i Galicji w pierwszych latach niepodległości.

Od świadków wielkiej epoki w historii Polski można wymagać większej ścisłości wrażeń i lepszej pamięci.

Łączę wyrazy poważania

Adam J. Dąbrowski
Londyn

OD JAWORSZCZYKÓW DO 19 PUŁKU ULANÓW WOŁYŃSKICH

Szanowny Panie Redaktorze,

Radośnie były serca kawalerzystów czytając listę pułków kawalerii, których sztandary udekorowane zostały orderem Virtuti Militari. Kilka pułków zostało wyróżnionych ponownie. Do tych, których sztandar został dekorowany należy 19-ty pułk ułanów Wołyńskich.

Nie wszyscy jednak wiedzą, że tradycje tego wspaniałego pułku sięgają miesiąca maja 1917 roku, kiedy to por. Feliks Jaworski sformował w Płoskirowie „Polski Oddział Konnych Zwiadowców”, podlegający dywizji gen. Symona. Od tego czasu oddział istniał pod rozmaitymi nazwami do dnia 30 września 1920 r. Choć przyswierała im idea walki o niepodległość

ZNACZENIE WYRAZÓW

Poziome: 1) i 5) okres Kochanowskiego; 3) i 16) bratnia dusza; 8) zbyt mało, aby się nią najeść (wspak); 10) obowiązek towarzyski l.m.n.; 11) chętniej je się robi niż słucha; 12) Matyjasz Dobrzyński (5, 2, 8); 15) i 18) dostoyny owoc?; 20) głos cierpienia; 21) pijacka awantura (wspak); 29) kraniec Europy wg. de Gaulle'a (wspak); 25) źródło historyczne (wspak); 26) raptus. 27) naprawia i psuje (7, 6).

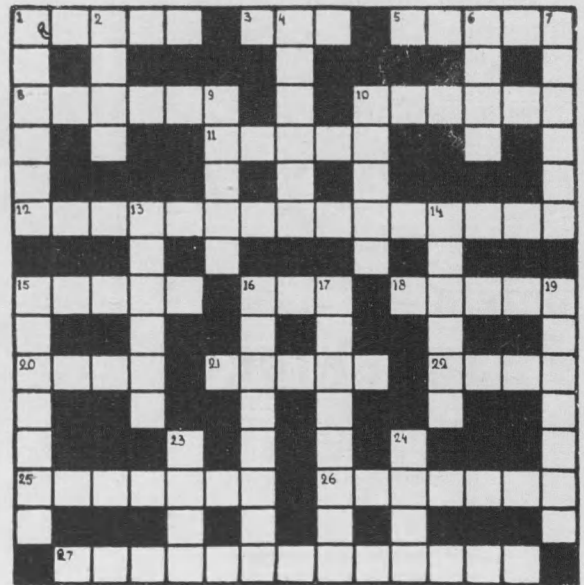
Pionowo: 1) tym chcesz diabła oblaskawić?; 2) i 6) Słowacki, Lamartine czy Schiller; 4) granica głosu; 7) „Jesteśmy Nocy czarnej straszne, groźne córki; Kłótwami zwa nas w naszej podziemnej ojczyźnie” (Aj-schylos); 9) taka chata; 10) gminna jest arka przemiaza (Mickiewicz); 13) granice (wspak); 14) byt w Arkadii; 15) rodzaj majątku; 16) mimo to; 17) Gerwazy; 19) rozprawa (wspak); 23) i 24) postrach mórz.

Polski, najbardziej palącą sprawą wówczas na Podolu i Wołyniu była konieczność ratowania życia i mienia osiadłych tam, często od wieków, tysięcy Polaków przed szalejącymi pogromami rewolucji rosyjskiej. Jak „Jaworszczycy” wypełniali to zadanie — pisała o tym p. Zofia Kossak-Szczucka w swej książce „Pożoga”. Wspaniałą była również odezwa „Komitetu Obywatelskiego”, adresowana do por. Jaworskiego, po obronie Antonin przed rozgrabieniem.

Kiedy armie bolszewickie zalewały Polskę w 1920 roku mjr. F. Jaworski otrzymał rozkaz sformowania w rejonie Lublina „Ochotniczej Jazdy Lubelsko-Wołyńsko-Podolskiej. Organizujące się oddziały odwiedził Marszałek Piłsudski. Nie na darmo miano zaufanie do tej formacji, na czele której stał człowiek wielkiego męstwa i nadzwyczajnej, rycerskiej brawury. Zaufanie tego Ochotnicza Jazda nei zawiodła.

Przebyła ona wprawdzie 16 sierpnia 1920 roku i uderzyła w bok pracującej na Warszawę armii bolszewickiej. W błyskawicznym marszu, po zdobyciu Międzyrzecza, rozbiła nieprzyjacielskie pułki piechoty: 508, 509 i 510 pod Kąkolewicą. 19 sierpnia zdobyła Surasz, folwark Frankopol oraz most na Bugu, zdobywając siedem sztandarów, tysiące jeńców, parę tysięcy wozów taborowych. W tym samym czasie inne zgrupowanie Ochotniczej Jazdy Jaworskiego zdobyło most pod Drohiczyńnem. Po zdobyciu tych przepraw oddziały mjr. Jaworskiego ruszyły w pościgu na Briańsk, Bielsk Podlaski, Augustów, Suwalki, gdzie walczyły z oddziałami litewskimi. Ogromna szybkość marszów, brawura szarż i natarć sprawiły, że oddział szerzył popłoch wśród nieprzyjaciela.

Oddziały Jazdy Ochotniczej zostały wy-



ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI Nr 602/68

Poziome: 1) i 5) opieszalec, 3) i 16) garbus, 8) statek (wspak), 10) Łukasz (wspak), 11) proso, 12) prostoliniowość, 15) i 18) Sobolewski, 20) Alpy (wspak), 21) Klara, 22) łuki, 25) zasługa (wspak), 26) lekytka, 27) przekroczenie.

Pionowo: 1) piękno (wspak), 2) i 6) intelekt, 4) Antoni, 7) całość, 9) splot, 10) Zosia, 13) swojak, 14) nawała, 15) szyszak, 16) Baltazar, 17) strzelec, 19) inicjał, 23) i 24) wszelkie.

cofane z frontu i rozwiązane w październiku 1920 r., celem nowej reorganizacji. Dowódca ich, mjr. Feliks Jaworski, wydał wówczas rozkaz, który w skrócie podaję:

„W wykonaniu rozkazu Naczelnego Dowódcy z dnia 30 września 1920 roku z dniem dzisiejszym Grupa Jazdy Ochotniczej, dowodzona przeze mnie, zostaje ostatecznie rozwiązana.

Składowe jej części przechodzą w nowo zorganizowane formacje, na miejsce 1-go pułku Wołyńskiego, 2-go Lubelskiego, 3-go Siedleckiego oraz dawnego Dywizjonu Wołyńskich Strzelców Konnych powstają pułki: 19 Pułk Ułanów Wołyńskich i szwadron zapasowy tego pułku, Pułk Ułanów Lubelskich i IV Dywizjon Strzelców Konnych.

Ku chwale Ojczyzny zesłaliśmy, ku Jej chwale pracowaliśmy i przelewaliśmy krew naszą. Z Jej rozkazu i na Jej chwałę stajemy do pracy w nowych formacjach.

Pracujmy więc nadal wytrwale, nie pamiętając o jakichkolwiek celach i ambicjach osobistych. Mjr. Feliks Jaworski”.

Jestem synem jednego z najstarszych Jaworszczyków i uważam za swój szlachetny obowiązek przypomnieć o ich wkładzie krwi w tym morzu ofiar, które dały nam niepodległość.

Łączę wyrazy prawdziwego szacunku

Jerzy Kownacki, ppor., rez. kaw.
Wednesfield

Staraniem Komitetu
Uczczenia
SETNEJ ROCZNICY
URODZIN
JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO

ukazała się **PŁYTA**

zawierająca przemówienie

Józefa Piłsudskiego

nagrane w roku 1924
przez firmę B. Rudzki
w Warszawie

Na tejże stronie płyty

Etiuda Rewolucyjna
w wykonaniu
J. Kropiwnickiego
Pierwsza Brygada
fragment w wykonaniu
orkiestry

Na 2-ej stronie płyty

Wypowiedzi
Józefa Piłsudskiego
z lat 1919—1921
czyta Józef Opieński
„O jednej z prawd
życia“
„O ofierze w pracy
dla Polski“
„O cywilizacyjnej
misji Polski“

CENA 30 sh., przesyłka 2/6
US \$ 5, włącznie z przesyłką

DO KSIĘGARNI POLSKIEJ

ORBIS
66, KENWAY ROAD,
LONDON, S.W. 5.

Data

Zamawiam płytę z przemówieniem
Marszałka Piłsudskiego
i załączam należność

£

\$

Nazwisko

Adres



Gryf Publications Ltd

SIENKIEWICZ ŻYWY

16 rozpraw naświetlających
żywo i wszechstronnie
sylwetkę najpopularniejszego
z pisarzy polskich

Cena: 30 sh.

WÓDKI I LIKIERY NAJWYŻSZEJ JAKOŚCI

J. A. BACZEWSKI

Lwów

1782

Wiedeń

Wiśniówka — Krupnik — Słarka — Wiśniak
Jarzębiak — Malinowa — Tea Rum — St. Bernhard

Importowane przez:

PODOLIA COMPANY LIMITED

Zamówienia kierować do:

PODOLIA CO. LTD. — 159, Waterloo Street,
Oldham, Lanc's. Tel.: 061 MAI 4626

lub do:

J. A. BRUCE & CO. — 9, Lenthal Place,
London, S.W. 7. Tchl.: 373 5808

Żądać wszędzie

Ceny przystępne

W setną rocznicę urodzin

MARSZAŁKA JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO

KSIĄŻKA PAMIĄTKOWA

O POLSCE I WOJNIE

Myśli i aforyzmy Józefa Piłsudskiego

WYDAWNICTWO OZDOBNE

CENA: 18 s.

Tłoczone w Oficyne Poetów i Malarzy
w ograniczonej ilości numerowanych egzemplarzy

Do nabycia u wydawcy:

KONRAD LIBICKI — 11, Malbrook Road, London, S.W. 15.

**PROSIMY
O ODNOWIENIE PRENUMERATY
NA ROK 1968**